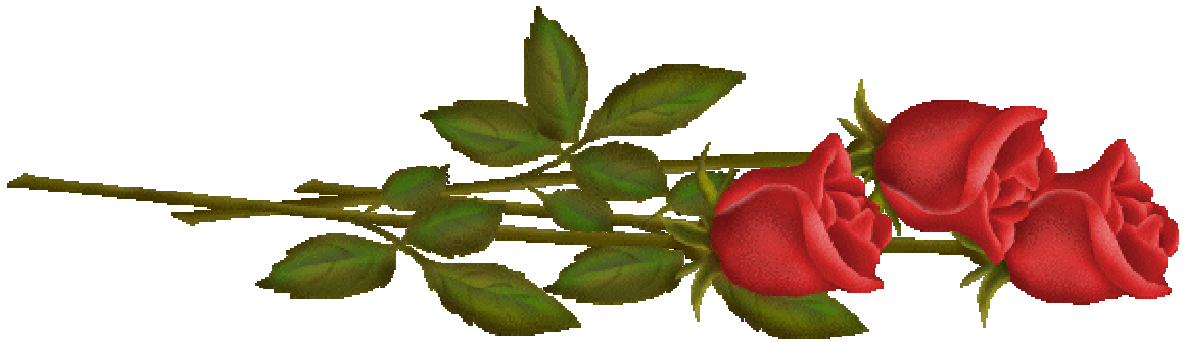




Ann Carter



Władca słów

Przełożyła Bożena Bielak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Paige Maitland w zamyśleniu przewracała kolorowe strony miesięcznika literackiego. Od dawna jej uwagę przyciągały ogłoszenia o pracy na nadchodzące wakacje. Była jednak wybredna. Wiedziała, czego szuka. Marzyła się jej posada asystentki powieściopisarza. Sama kiedyś w przyszłości napisze powieść, na razie chciałaby podpatrzeć, jak robią to inni.

Małe mieszkanko, które zajmowała wspólnie z koleżanką z roku, wypełniała wibrująca muzyka latynoamerykańska. Dochodziła północ. Paige policzyła z rozrzewnieniem dni, jakie miały ze sobą jeszcze spędzić. Już wkrótce każda z nich pojedzie w inną stronę świata. Czteroletnią przyjaźń zwieńczy uroczystość rozdania dyplomów. Joan wybierała się do Anglii na roczne studia pomagisterskie. Paige... No właśnie, Paige postanowiła sprawdzić swoje pisarskie talenty. Miała lekkie pióro, świetny materiał, który częściowo wykorzystwała przy pisaniu pracy magisterskiej. Brakowało jej jednak pewności siebie, którą potrafi dać doskonale opanowany warsztat literacki. Praca z pisarzem, możliwość obcowania z żywą tkanką literatury, współobecność przy akcie jej narodzin; czuła, że musi tego doświadczyć, zanim sama odważy się cokolwiek napisać.

— Masz coś interesującego? — zawołała z sypialni Joan. Leżała rozciągnięta wygodnie na łóżku, czytając książkę przy świetle nocnej lampki.

— Nic szczególnego. Przejrzałam ostatnie numery „Reader's Digests”, „Writer”, no i „Review”. Nudy na pudy — odparła znudzonym głosem Paige i bynajmniej nie zrażona sięgnęła po starszy numer. Pochyliła głowę nad szybko wertowanymi kartkami. Gęste, czarne włosy spłynęły kaskadą z jej ramion. Odrzuciła je w tył ze zniecierpliwieniem. Duże, błękitne oczy znieruchomiały.

— Chryste, ale pech! — jęknęła. — Posłuchaj, Joan. Potrzebna inteligentna, pracowita absolwentka wyższej uczelni do pracy przy redagowaniu i przepisywaniu powieści o wyprawach krzyżowych. Zgłoszenia osobiście u agenta, którego imię i nazwisko podamy listownie osobom o zadowalających referencjach. O, przyjęciu zadecyduje wynik testu praktycznego. Potencjalni kandydaci powinni być gotowi spędzić cztery do pięciu miesięcy na wyspie w superkomfortowej willi. Służba. Wyśmienita kuchnia. Malownicza okolica. — Paige zawiesiła głos

zaskoczona. — Do licha, daję głowę, że nie zgadniesz, kto dał to ogłoszenie...

Joan, zaintrygowana, podeszła do kanapy, na której leżała Paige. Popatrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

— Wymyśliłaś to sobie, przyznaj!

— Nie, przysięgam. Wszystko masz tutaj, patrz... — Paige poderwała się na nogi. Spódnica w duże geometryczne wzory ciasno opięła jej smukłe biodra.

Joan spojrzała na koniec ogłoszenia. — Zeller! Ten sławny pisarz, który miał u nas odczyt w zeszłym roku?

Paige skinęła głową potakująco. — Ten sam. Ale jestem bez szans. Spójrz. Magazyn jest sprzed dwóch miesięcy, a ogłoszenie nie zostało ponownie zamieszczone w żadnym z następnych numerów.

— Opuściłaś słowo „letnich” — sprzed miesięcy. Wakacje jeszcze się nie rozpoczęły. Co ci szkodzi napisać parę słów i wysłać je na adres Box 265 A, Harewood, California.

— Pamiętasz go, Joan? Był wprost boski... Rany, gdyby miał choć z pięć lat mniej, Albo gdybym ja była o te dziesięć lat starsza...

— Daj sobie z tym spokój, Paige — Joan potrząsnęła głową z dezaprobatą. — Szkoda cię. Facet o takiej sławie i forsie żyje w innym wymiarze.

— Chciałabym dla niego pracować. Sama praca nad jego rękopisem to gratka nie lada.

— Czasami miło jest pomarzyć — Joan zwróciła przyjaciółce magazyn. — Lepiej zostań na uczelni i zapisz się na kurs dla początkujących pisarzy, złotko. Póki co, idę spać. Tobie radzę zrobić to samo, już północ — Joan zamilkła spostrzegłszy, że Paige wcale jej nie słucha.

Paige ponownie odczytywała treść ogłoszenia. Wyspa. Hm, to brzmi interesująco. Dwa lata temu paromiesięczny pobyt na jakiejś zapomnianej przez świat wysepce uważałaby za stratę czasu. Ale nie dziś. Nie przy boku tak wspaniałego mężczyzny. Zaraz, kiedy to ostatni raz była tak wrażliwa na wdzięki męskie...? Chyba na pierwszym roku. Tak, pamięta romantyczne randki ze Stanem Archerem. Do końca nie była pewna, czy kocha go z wzajemnością. Dawne dzieje. Teraz inaczej patrzy na te sprawy z perspektywy czasu. Czy to była miłość... Stan ożenił się zeszłego lata z

dziewczyną z ich rodzinnego miasteczka. Paige szczerze wierzyła, że będą ze sobą szczęśliwi.

Cztery lub pięć miesięcy na wyspie. Mogłaby codziennie pływać, no i, oczywiście, czekałaby ją żmudna praca nad rękopisem. Tak, właściwie nie potrzebowałaby nic więcej poza pracą, pływaniem i towarzystwem jednej lub dwóch osób. No, byłoby to spore ryzyko, musiała to przyznać. Skończyła palić papierosa. Zdusiła żarzące się w popielniczce resztki tytoniu. Wstała i podeszła do niewielkiego sekretarzyka. Dopiero drugi z napisanych listów w pełni ją usatysfakcjonował. Przeczytała go raz jeszcze, podpisała i zaadresowała kopertę. Po namyśle dopisała na niej „Via airmail”. Wyślizgnęła się cicho na korytarz i wrzuciła list do skrzynki. Zdążyła jeszcze przed ostatnim, nocnym wybraniem poczty. Jak dobrze pójdzie, powinien dotrzeć do Kalifornii jutro po południu, to znaczy dzisiaj po południu, poprawiła się. Poczula dreszczyk emocji. Zdawała sobie sprawę z nikłej szansy nawiązania kontaktu z agentem Zellera. Właściwie granoczyło to z cudem.

Jednakowoż, tłumaczyła sobie szcزتkując włosy w łazience, nie ma znowu tak wiele absolwentek anglistyki biegle stenografujących i piszących na maszynie, a do tego czynnie zainteresowanych pisarstwem, w stopniu równym co ona.

Leżąc w łóżku przez moment wsłuchiwała się w miarowy oddech przyjaciółki. To całkiem przyjemne mieć wszystko tak szczegółowo zaplanowane, jak Joan. W najbliższy czwartek leci do Nowego Jorku, skąd w poniedziałek odpływa do Europy. Czeka ją cudowna morska podróż na pokładzie luksusowego statku transoceanicznego. Ma szczęście, że jej rodziców stać na to.

Paige pomyślała o swoich najbliższych. Mama, wciąż piękna i ze smakiem dobierająca swoje stroje, z pewnością wolałaby spędzać więcej czasu z przyjaciółkami w klubie, niż niańczyć parę nieznośnych nastolatków. Tom i Sue rozsadzali niemal swoją żywotnością wielki, biały dom rodziców. Paige uśmiechnęła się na wspomnienie ich nie kończących się kłótni i poczuła ukłucie tęsknoty w sercu.

Pojedzie na tydzień do domu, a potem, jeśli nie otrzyma żadnej oferty pracy, będzie musiała szukać dalej. Być może, przeprowadzi się na wschodnie wybrzeże i zamieszka w Nowym, Jorku, znajdzie pracę w jednej z licznych firm wydawniczych, a w wolnych chwilach zabierze się za pisanie własnej powieści...

W końcu usnęła. Obudził ją koło ósmej zapach świeżo parzonej kawy i opiekanych tostów. Joan właśnie dopijała sok pomarańczowy, gdy do mikroskopijnej kuchenki wtoczyła się Paige owinięta szczelnie w biały, frotowy płaszcz kąpielowy.

— No, no... Co tak oficjalnie od rana — zażartowała na widok Joan wystrojonej w twarzowy kostiumik z zielonego lnu. — Dokąd się wybierasz?

— Mam do załatwienia parę formalności na uczelni. Potem idę na lunch z Billem Nicholsem. Paige, dołączyłabyś do nas o dwunastej. Przyrowadź Kipa.

— Tylko nie Kip! W życiu nie spotkałam większego nudziarza.

Joan roześmiała się. — Chodź, wypij swój sok. Rozchmurz się i przyrowadź, kogo chcesz.

— Innym razem. A co, boisz się słodkiego sam na sam z Billem?

— Przecież wiesz, że nie! Uzgodniliśmy wszystko we wtorek wieczorem — Joan zerknęła na swój zaręczynowy pierścionek. — Za dwa lata Bill kończy medycynę, potem zacznie specjalizację...

— A potem się z tobą ożeni, o ile nie zapomni... Z drugiej strony to cudownie mieć tak wszystko w życiu poukładane. Ja nawet nie wiem, co będę robić za miesiąc. — Paige zaczęła pić sok małymi łydkami.

Do drzwi zadzwonił listonosz. Joan odebrała od niego pocztę i wróciła trzymając w ręku list dla Paige. — Od twoich rodziców.

Koperta nadana w Riverdale, stan Washington, miała nalepkę lotniczą.

— Pozwolisz? — spytała Paige otwierając list. Zaczęła czytać, podczas gdy Joan kończyła pić kawę i dojadać tost.

— Rodzice chcą, bym spędziła wakacje w domu — rzuciła Paige nie odrywając wzroku od listu, uśmiechnęła się — Ted i Sue znaleźli już pracę na lato. Ted na stacji benzynowej, a Sue w bibliotece. Mam przyjechać na kilka tygodni do domu i oddać się słodkiemu leniuchowaniu. Rodzice uważają, że mi się to należy po roku wyteżonej pracy przed obroną dyplomu. Mama martwi się, że pewnie bardzo zmizerniałam.

— W rzeczy samej — zgodziła się Joan, patrząc z zazdrością na gładką jak aksamit cerę i zgrabną sylwetkę Paige. — Wyglądasz, jak amerykańskie wcielenie Twiggy.

Paige posłała jej uśmiech pełen wdzięczności i wróciła do listu. „Pozdrowienia od taty — przeczytała na głos — chce cię zabrać ze sobą na

ryby. Może i ja się gdzieś wybiorę, korzystając z okazji. Przyjedź, będzie cudownie."

A niech to, list mamy jest jakiś smętny, pomyślała Paige. Ma pewnie powyżej uszu domowych kłopotów. Zajmę się dzieciakami i ojcem, a ona niech jedzie na tydzień gdzieś się rozerwać.

— Zawsze możesz wrócić i objąć wakujący etat młodszego asystenta na wydziale literatury angielskiej, wiesz o tym przecież — Joan przerwała pełną niezdecydowania ciszę, jaka zapadła, gdy Paige skończyła czytać.

— Niezła propozycja dla kogoś, kto nie ma bladego pojęcia o tabunach nierobów usiłujących studiować na młodszych latach. W dodatku słyszałam, jak profesor Jensen zapowiadał w swoim zespole, że wszyscy młodzi nauczyciele mają mieć otworzony przewód doktorski w przyszłym roku. — Paige odłożyła filiżankę z kawą.

— Nie chcę tostu, dziękuję. Idź już, bo się spóźnisz. Ja pozmywam.

— O.K. Do zobaczenia po południu. Będziesz w domu? — Joan zatrzymała się w drodze do wyjścia. — A może spotkamy się w kampusie, wybierzemy się po raz ostatni na zakupy, co?

— Nie kuś, wiesz, że jestem bez grosza. W dodatku mam długi — odrzekła ponuro Paige. — Zostanę w domu. Spakuję trochę rzeczy i przygotuję je do wysłania do domu pocztą.

Paige szybko uporała się ze sprzątaniami małego mieszkania i południe zastało ją klęczącą pośród stosu ubrań, jakie pieczołowicie wyławiała z przepastnego dna swej szafy. Starła się odkładać na bok te, które nie będą jej potrzebne podczas nadchodzącego lata. Na pierwszy ogień poszły kombinezony narciarskie, wełniane swetry oraz dresy, jakie nagromadziła w ciągu trzech ostatnich lat. Pakując je do dużego pudła nie mogła się oprzeć nostalgicznym wspomnieniom, jakie obudził w niej widok zimowych ciuchów.

Rozmarzyła się wspominając cudowny wypad w góry Kaskady. Albo niezapomniany weekend w Timberline Lodge na Mount Hood. Była wtedy do szaleństwa zakochana w Stanie. Pojechali tam w towarzystwie dwóch innych par. Paige nigdy w życiu lepiej się nie bawiła. Wrócili cali obolali, z twarzami opalonymi wiatrem i słońcem, bez grosza przy duszy.

Rany, roztkliwiam się nad sobą jak stara baba. Nie można przecież zakładać, że w wieku dwudziestu dwóch lat wszystko, co najlepsze, ma się już za sobą. Wrzuciła do pudła ostatni kombinezon narciarski i przypomniała sobie, co powiedział jej w zeszłym tygodniu promotor.

„Jest pani najmłodszą studentką, jaką dopuszczamy w tym roku do egzaminu magisterskiego. Mam nadzieję, że potrafi to pani należycie docenić, Miss Maitland.”

Udowodniła to. Starannie napisana praca, świetna obrona postawionej tezy na końcowym, ustnym egzaminie przyniosły jej najlepszą z możliwych ocen. To było parę dni temu. Pijana sukcesem i odniesionym zwycięstwem, zdążyła już nabrać tchu i nieco ochłonać. Sue miała rację pisząc jej w liście, że musi uważać, by woda sodowa nie uderzyła jej do głowy. Za parę dni zjedzie się na uroczyste wręczenie dyplomów cała rodzina. Paige nie chciała uchodzić w oczach młodszego rodzeństwa za nadętą ważniaczkę.

O drugiej miały się rozpocząć ostatnie zajęcia. Nic ważnego, odbiorą stare prace kontrolne, powspominają wspólnie spędzone lata. Formalnie nauka była już zakończona i Paige zrobiło się smutno na .myśl o czekających ją pożegnaniach.

Wzięła prysznic, założyła czarny, szykowny kostium i właśnie miała wyjść, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce zaskrzeczał głos telefonistki.

— Harewood, Kalifornia, proszę czekać, łączę.

— Miss Maitland? — łagodny męski głos koił niczym balsam rozlegające się w słuchawce piski i gwizdy. — Randolph Cary po drugiej stronie. Jestem agentem pana Zellera. Oferta pracy jest nadal otwarta. Czy może pani przylecieć na spotkanie?

— ...Tak, sądzę, że mogę — wykrztusiła z trudem. — Mam jakąś szansę? — wypaliła z głupia frant. W głowie jej huczało, przed oczyma, niczym fatamorgana, stał rząd cyfr uświadamiając znikomy stan jej bankowego konta.

— W ciągu ostatniej godziny dowiadywałem się o przebieg pani studiów. Wszyscy profesorowie wystawili pani doskonałe opinie. Co więcej, pan Zeller twierdzi, że panią pamięta!

Podwieczorek — przypomniała sobie nagle. Uroczysty podwieczorek, jaki serwowano z pompą po odczycie Zellera. Uznane sławy profesorskie ze świata literatury wymieniające zdawkowe uwagi nad dymiącymi filiżankami herbaty. Nie ma mowy, nie mógł mnie zapamiętać.

— Pan Zeller był mile zaskoczony na wieść o zgłoszeniu, jakie nadeszło z pani uczelni. Z przyjemnością wspomina weekend, jaki tam spędził. Czy może pani przylecieć jeszcze dziś wieczorem? Pan Zeller chciałby jak najszybciej mieć nową asystentkę. W poniedziałek leci do Nowego Jorku na spotkanie ze swym wydawcą. Ma już ustalony termin oddania gotowej

powieści, i niebagatelną sprawą jest, by jego asystentka zdolna była do szybkiej i efektywnej pracy. Czy uświadamia sobie pani doniosłość zadania, jakiego się pani chce podjąć, młoda damo?

— Ach... Tak! Jak najbardziej! Przylecę pierwszym wieczornym samolotem. Powiadomię pana faksem o dokładnej godzinie przylotu... — świat musiał chyba zwariować, pomyślała pijana ze szczęścia, zapisując adres.

Po odłożeniu słuchawki siedziała przez moment nieruchomo, wpatrując się z niedowierzaniem w telefon. Potem wyciągnęła z torebki książeczkę czekową i sprawdziła stan konta. Było dokładnie tyle, ile zapamiętała. Zamówiła międzymiastową R-kę. Pani Maitland obiecała pokryć wydatki związane z podróżą córki. Paige zobowiązała się zwrócić dług z pierwszej wypłaty. I nagle uświadomiła sobie, że agent nie poruszył w rozmowie tak przyziemnej sprawy, jak zwrot kosztów podróży.

No cóż, to się pewnie rozumie samo przez się. Żaden pisarz, bez względu na to, jak byłby obrzydliwie bogaty, nie narażałby studentki na zbędne koszta nie dając jej szans, że ją zatrudni, pocieszała się Paige.

Cztery godziny później siedziała już w samolocie. Nad szachownicą pół stanu Waszyngton powoli zapadał zmierzch. Na myśl o pracy i wyzwaniu, jakim będzie musiała sprostać, ogarniała ją fala podniecenia. Jej życie nabrało błyskawicznego tempa.

„Jeszcze nie dostałam tej pracy! — studziła w myślach zbytnią pewność siebie. — Nic nie zostało postanowione. Chryste! — uszczypnęła się. — Ja chyba śnię”. Co za szczęśliwy traf, że zaglądnęła właśnie do tego wydania „Review”. I kto by przypuszczał, że propozycja pracy będzie ciągle aktualna...? A może Zeller ma tak wysokie wymagania? Nie wolno jej zapominać o jego wielkiej, ciągle rosnącej, międzynarodowej sławie, o tytułach naukowych, jakimi obsypywały go, niczym z rogu obfitości, amerykańskie i europejskie uniwersytety. Zatrzęsa się z wrażenia. Była pewna, że nie wydusi z siebie ani słowa podczas rozmowy kwalifikacyjnej, jaką bez wątpienia już wkrótce z nią odbędzie.

Ogarnęła ją panika. Poczowała mdłości. Porywa się z motyką na słońce!

Dwie godziny później wylądowała na lotnisku Los Angeles, gdzie czekał na nią agent Cary.

Gdy schodziła po schodkach, powitał ją chrapliwy dźwięk megafonu skandujący jej nazwisko. Błyskały gęsto flesze. Razem z nią opuszczał pokład samolotu gubernator stanu Oregon oraz śliczna jak jutrzienka

Królowa Święta Róż. Jej fotografie i wybite tłustym drukiem nazwisko miłościwie zapanowały ostatnio we wszystkich niemal dziennikach północno-zachodniego wybrzeża.

— Miss Maitland? — zapytał wysoki, szczupły mężczyzna stojący nieopodal stanowiska informacyjnego.

— Zgadza się, Paige Maitland — odpowiedziała.. Zlustrował ją baczным spojrzeniem. Paige, bynajmniej nie speszona, czuła się pewnie w ciemnym kostiumie z eleganckimi dodatkami.

— Chodźmy do samochodu. Zawiozę panią do hotelu w Harewood. To niedaleko stąd. Pan Zeller chciałby się z panią spotkać jeszcze dzisiaj wieczorem. Oczywiście, o ile nie jest pani zbyt zmęczona podróżą. Jutro chce wracać na wyspę. Nie cierpi wszelkich opóźnień. Czy chciałaby pani odłożyć termin spotkania? — spytał dla zachowania pozorów.

— Nie, jestem do jego dyspozycji. Czy nie robi się jednak zbyt późno? — nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że zobaczy go tak szybko.

— Pan Zeller oczekuje pani w hotelu. Przyjmie panią, jak tylko będzie pani gotowa, Miss Maitland.

Dotarli na miejsce około jedenastej. Czekał tam na nią zarezerwowany pokój. Przebrała się szybko w ciemną wieczorową suknię, przez ramię przerzuciła jedwabny, biały szal. Spojrzała w lustro. Stała tam wysoka, szczupła dziewczyna z roziskrzonymi, błękitnymi oczyma, z włosami zebranymi w skromny węzeł u nasady szyi. Poczowała się spokojniejsza, ale wcale nie była pewna, czy z równym powodzeniem uda się jej zapanować nad nerwami podczas spotkania.

Agent Cary już czekał. Miał ją przedstawić Zellerowi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Paige zapomniała, jak bardzo był przystojny. Na jej widok podniósł się z kanapy rosły, ciemnowłosy mężczyzna. Subtelna, inteligentna twarz o łagodnym wyrazie koncentrowała całą swą energię w pięknych, piwnych oczach. Paige dostrzegła czający się w ich kącikach smutek. Powtórzył ciepłym głosem jej imię, gdy wybrzmiały ostatnie powitalne frazesy. Paige zorientowała się po chwili, że Randolph Cary dyskretnie się oddalił, pozostawiając ją swemu losowi. Usiadła na wskazanym jej przez gospodarza krześle, spięta niczym struna. Zauważyła, że miał ogorzałą od słońca i wiatru twarz i posiwiałe skronie.

„Musi mieć koło czterdziestki, jak nic” — oszacowała go w myślach.

On także usiadł i przyglądał się jej w milczeniu przez chwilę. Potem poczęstował ją papierosem. Rozmowa potoczyła się nad podziw gładko. Paige była pod wrażeniem jego ciętego dowcipu, elokwencji i nieskazitelnych manier. Miał w sobie coś z Somerseta Maughama, Shawa i Santayany oraz, a może przede wszystkim, z Halliburtona i Thomasa. Taki współczesny typ nieustraszonego poszukiwacza przygód, a przy tym konesera sztuki i naukowca.

— Pozwoliliśmy sobie, a raczej zrobił to za mnie Cary, prześledzić z bliska pani życiorys zawodowy, Miss Maitland. Pani, oczywiście, zdaje sobie sprawę, że praca, ta wymaga daleko większych kwalifikacji aniżeli umiejętność poprawnego stenografowania i pisania na maszynie. Zdarza się, że pracuję, w zależności od nastroju, o różnych porach. Dobrą pracę potrafię sownie nagrodzić, zapewniam panią.

— Proszę — podał jej kartkę i ołówek. — Najpierw zapisze pani to, co będę dyktował, a potem odczyta mi to pani.

Jej ręce drżały z emocji, gdy zaczął dyktować. Posiadał głęboki, świetnie ustawiony głos, właściwy bardziej aktorowi dramatycznemu niż pisarzowi. Wyrzucał z siebie słowa szybko i w wielkiej obfitości, nie zostawiając jej prawie wcale czasu na dostosowanie się do jego tempa. To było trudne dyktando, niemniej fascynujące. Najeżone rzadko spotykanymi terminami, a nawet symbolami geograficznymi, pełne urwanych w połowie zdań.

— A teraz proszę mi to dokładnie odczytać — poprosił.

Paige zaczęła cokolwiek nieśmiało, nabrała jednak szybko właściwego tempa i skończyła w iście brawurowym stylu, starając się ukryć swój tryumf. Wiedziała już, że sobie poradzi.

— Czasami używam dyktafonu. Lubię jednak pracować z asystentką. Patrząc na jej reakcję, wyobrażam sobie, że tak właśnie reaguje przeciętny czytelnik.

— Ale — zaprotestowała — przeciętny czytelnik nie czyta pańskich książek, panie Zeller. Chciałam powiedzieć — poprawiła się — że są one raczej przeznaczone dla znawców historii, miłośników literatury.

Zeller zaciągnął się papierosem.

— Hm... Jestem w kropce — powiedział powoli. — To był komplement czy obelga? Zresztą, to nieistotne, Miss Maitland. Czy mogę mówić pani po imieniu ? Nie ma pani nic przeciwko temu, prawda? Nie chcę już dłużej mitrzyć cennego czasu na poszukiwaniu asystentki. Wszystkie poprzednie kandydatki okazywały się w najwyższym stopniu nieodpowiednie do tej pracy, z przykrością to przyznaję. Miały piękne główki, tyle że puste. — Zdusił niedopalek papierosa, opanowując ogarniające go zniecierpliwienie. — Miło zatem odkryć, że piękno i inteligencja mogą jednak ze sobą harmonijnie współistnieć. — Skinął głową, jakby siadając hołd jej urodzie.

Poczuła się nieswojo, zastanawiając się, czy dostałaby tę posadę, gdyby nie była w równym stopniu atrakcyjna, co zdolna.

— Porozmawiajmy o terminach. Czy możesz już tu zostać? Zawiozłbym cię jutro na wyspę. W poniedziałek lecę na wschodnie wybrzeże, ale o tym już ci pewnie wspomniał Cary, nieprawdaż? Wracam w czwartek. A zatem w piątek rano moglibyśmy rozpocząć pracę. Odpowiadałoby ci to? Lubię pracować intensywnie i jestem bardzo wymagający, ale nie bój się, dopilnuję, byś się nie przepracowywała. — Wymienił wysokość wynagrodzenia i Paige poczuła, że otwierają się przed nią bramy raj.

W kilka minut później znalazła się na powrót w swoim pokoju. Musiała się wyspać. Jutro z samego rana postanowiła wrócić na uczelnię. Nie potrafiła odmówić sobie obecności na uroczystości wręczania dyplomów. Pojedzie z rodzicami do domu, a za parę dni zjawi się ponownie w Harewood.

— Cary przewiezie cię na wyspę w piątek rano. Pamiętaj, że rozpoczniemy pracę jeszcze tego samego ranka — ostrzegł ją Zeller przy pożegnaniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mała łódź z doczepionym silnikiem czekała już na nią na przystani w Marina. Raymond Cary nie towarzyszył Paige w drodze na wyspę. Zatelefonował do niej poprzedniego dnia przeprasząc i dokładnie tłumacząc, co powinna zrobić, by nie zbłądzić.

— Miss Maitland...? — siedzący obok łódki mężczyzna zwrócił w jej stronę ponurą twarz. Spojrzał na nią z ukosa i wstał ociężale czekając, aż to potwierdzi.

— Tak. Kapitan Morrison, prawda?

— We własnej osobie. Dobra, panienko, ładujmy te pinkle do środka i odbijajmy. Czas na nas. Odpływ jak trza. Zrobiło się tak płytko, jak lubię.

Zeskoczyła na pokład i odebrała swoje bagaże układając je w piramidę, uważając, by nie zastawić stanowiska sternika. Łódź okazała się większa i wygodniejsza, niż to było widać na pierwszy rzut oka. Paige usiadła na miękkiej ławce, obiegającej wewnętrzną stronę burty. Zagrał rytmicznie silnik i łódź płynnym ruchem oderwała się od nadbrzeża.

Kiedy wypłynęli na szersze wody zatoki, Morrison zwiększył obroty silnika, sprawnie torując sobie drogę pośród przepływających obok holowników, barek uginających się pod balami drewna i sportowych jachtów. Paige ze zdziwieniem skonstatowała panujący wokół ruch. Nie przypuszczała bowiem, że ta niepozorna miejscina może być aż tak ważnym węzłem komunikacji morskiej. Minęli stojący na redzie kuter rybacki. Promienie zachodzącego słońca odbijały się złotym blaskiem w rozwieszonych na takielunku sieciach, używanych do połowu łososia i kalifornijskiego tuńczyka.

Niebo na zachodzie mieniło się tysiącem barw. Powietrze zaś drgało od portowych odgłosów: fal rozbijanych o nadbrzeża doków, buczenia latarni morskiej, ostrzegawczego sygnału holowników oraz mew wyklócających się ponad rejami o resztki rybackich kolacji.

Tyle rzeczy naraz tu się dzieje, pomyślała zachwycona Paige. Chciałabym zamieszkać tu w pobliżu. — Daleko stąd na wyspę? — krzyknęła do Morrisona.

— Będzie z siedem mil w poprzek, panienko. W poprzek ujścia, znaczy się. Rzeka ma źródło w górach Sierra, a tu jest najszersza, parę mil dalej łączy się z wodami Pacyfiku — zasznurował usta na znak, że wyczerpał zapas informacji przysługujący na całą podróż.

Chciała zapytać, jak duża jest wyspa, ale wstrzymała się. Sama to oceni, jak tylko tam dotrze. Morrison utrzymywał dużą szybkość kosekwentnie prac pod prąd. Zostawili w tyle malownicze zatoczki, kilku łowiących z łódek rybaków i dwie niewielkie żaglówki z grupą młodzieży na pokładzie, śmiejącą się i dowcipkującą bez troski.

W miejscu, gdzie rzeka zakręcała, zatoka zwązła się niespodziewanie gubiąc z horyzontu widok portu. Minęli przycupniętą na lewym brzegu maleńką wioskę rybacką oraz trzy wysepki z widocznymi na nich z oddali konturami gospodarskich zabudowań. Za każdym razem myślała, że to ich wyspa. Z pewnością miała jakąś nazwę. To dziwne, pomyślała Paige, że ani raz do tej pory nie padła nazwa wyspy, na którą zmierzam. Kierunek nieznany, uśmiechnęła się. Nigdy jeszcze nie podróżowałam w ciemno.

Jaka jest żona Zellera? — zastanowiła się. Wiedziała, że ma żonę. Cary wspomniał o niej. Cóż, lato zapowiadało się wyjątkowo smętnie w tym roku. Cała nadzieja w interesującej pracy. Westchnęła.

Popatrzyła na kapitana Morrisona. Wydawał się być całkowicie pochłonięty obserwacją rozpościerającej się przed nimi zatoki.

— Boi się panienka, że jej się tu nie spodoba?

Pytanie padło tak niespodziewanie i obnażyło bezceremonialnie jej myśli, że Paige omal nie podskoczyła z wrażenia. Głowa Morrisona ani przez sekundę nie zmieniła swego położenia.

— Skądże znowu... Wprost przeciwnie. Na pewno mi się tu spodoba. Nawet bardzo — dodała kładąc nacisk na ostatnie dwa słowa.

Wtedy się odwrócił i spojrzał na nią.

— Oby się to panience spełniło — i wrócił do sterowania.

Paige poczuła się jakoś dziwnie. Jego słowa zabrzmiały w jej uszach złowieszczo. Wzruszyła ramionami. To śmieszne, czyżby...? Było coś w tonie, jakim to powiedział. Szkoda, że nie widziała jego twarzy.

— Często bywają tu latem sztormy?

— Bywają. Jesień to ich pora.

— Mieszka pan na wyspie?

— Nie na tej. Moja leży naprzeciw Crown Point.

— A ta, na którą płyniemy, jak się nazywa? — zapytała z nadzieją, że popatrzy w jej stronę.

— W dawnych czasach żeglarze nazywali ją Wyspą Zmarłych. Ale późniejsi jej właściciele nie lubili używać tej nazwy. Zeller nazwał ją

Wyspą Ptaków, jako że przybrzeżne skały są miejscem lęgowym dzikiego ptactwa. Bywa, że przyplływają na nią foki.

Wyspa Zmarłych. Pewnie wiąże się z nią zapierająca dech w piersiach historia. Wyobraziła sobie piracką karawelę zawijającą do miejscowej zatoczki. Hiszpańscy konkwistadorzy musieli żeglować tędy na północ, na długo, zanim siedemnasty wiek litościwie dobiegł końca. We wsi, jak słyszała, zachowały się wspaniałe mury hiszpańskiej misji z tamtego okresu.

— O, widać ją, panienko. Prosto przed nami! —zawołał Morrison, jak tylko wyszli na prostą z kolejnego zakola rzeki.

Wyspa nie była duża. Cała spowita w gęstej zieleni, zazdrośnie strzegła swego wnętrza. Spodnad młodego zagajnika tu i ówdzie wystawały fragmenty czerwonych dachów. Zaraz za nim strzelały w niebo, niczym maszty dumnego żaglowca, dwa olbrzymy; sosna i świerk. Linie brzegową wyspy urozmaicały liczne, większe i mniejsze, zatoczki oraz majestatycznie górujące nad nimi skalne urwiska. Morrison zmniejszył do minimum obroty silnika, tak że łódź praktycznie stanęła. Przyjrzał się uważnie wyspie, jakby widział ją po raz pierwszy, po czym wprowadził ostrożnie łódź do zatoki. Oczom ich ukazała się piaszczysta plaża, a tuż obok niej mały port rybacki z kilkoma kutrami. Skryta za zasłoną rozpiętych na słońcu sieci, rozciągała się sporych rozmiarów przystań wioślarska. Na drewnianym moło można było dostrzec postać mężczyzny opalającego się na jaskrawozielonym leżaku. Na ich widok mężczyzna podniósł się i wolnym krokiem przemierzył moło. Zszedł na pomost. Miał miękkie, płynne ruchy, jak kot, pomyślała Paige. Przyznała, że wyglądał zniewalająco w granatowych szortach i białym podkoszulku.

Morrison wyłączył motor.

— Rzuć mi linę, Jed! — krzyknął Zeller. — Zacumuję łódź.

— Wolnego, panienko! — ostrzegł ją Morrison, widząc, że poderwała się na nogi.

— Czy miała pani przyjemną podróż, Miss Maitland? — wesoło zagadnął Zeller.

— Owszem! — Paige przyglądała się, jak łódź dobija do brzegu.

— Pomogę panience! — zaofiarował się Morrison.

— Dziękuję! — odpowiedziała z uśmiechem. — Wspinanie to moja specjalność. — Wdrapała się zwinnie do góry po drabinie, czując wzrok

Zellera na swoich smukłych łydkach. Poczwała, że się rumieni. Zeller podał jej swoją dłoń. Nie było sposobu, by mogła przed nim ukryć swą twarz.

— Już wkrótce poczuje się pani tu w porcie jak u siebie w domu. Mam nadzieję, że nie omieszka pani skorzystać ze wspaniałych możliwości wiosłowania. W każdym razie oddaję do pani dyspozycji swoją łódkę. Jed, wózek na walizki stoi tam wyżej, załaduj na niego cały bagaż.

Ścieżka prowadząca z plaży do domu niepostrzeżenie zaczęła piąć się ku górze. Paige, oglądając się wstecz, ze zdziwieniem odkryła, że znajduje się na znacznej wysokości. Szafirowa tafla morza zlewała się z czerwonym pasmem niebosłonu, na którym wolno nikły ostatnie błyski zachodzącego słońca, kładąc się głębokim cieniem u podnóża gór znajdujących się na sąsiedniej wyspie. Całość sprawiała zaiste imponujące wrażenie.

— Jak tu pięknie! — wyszeptała przejęta Paige.

— I cicho — dodał Zeller.

Dopiero wówczas zdała sobie sprawę z panującej wokół ciszy; niemal dźwięczała w uszach. Szli przez las, ponad ich głowami, z rzadka, odzywały się na pół uśpione ptaki. Martwy las, pomyślała Paige i wzdrygnęła się. Intuicyjnie czuła napierającą zewsząd pustkę, owładnęło ją poczucie irracjonalnej izolacji. Popatrzyła z niepokojem na Zellera. Odwrócił do niej uśmiechniętą twarz. Strach prysnął jak bańka mydlana.

— Żona prosiła, by powiadomić panią, że spotkacie się dopiero jutro rano. Nie czuje się dobrze dziś wieczór. Jose poda nam kolację na patio. Czeka nas chłodny wieczór, radziłbym zatem założyć coś ciepłego.

— Zrobię, jak pan radzi. Dziękuję.

Zatrzymała się i chłonęła wzrokiem przepięknie położony dom i ogród. Budynek był okazały. Przez całą jego długość biegł balkon-z balustradą ręcznie kutą w żelazie. Dom zbudowany pod wyraźnym wpływem architektury hiszpańskiej zadziwiał starannością detali. Wydawał się, jako żywo, przeniesiony z hollywoodzkich plenerów filmowych apoteozujących bogate Południe sprzed wojny secesyjnej. Zwiewne warkocze winnej latorośli obsypane białymi kwiatami pieśczośliwie oplatały koronkowy azur ogrodowej altany. Była ona, podobnie jak balkon, wykuta w żelazie i misternie spleciona z przyległym doń skrzydłem budynku. Na matach rozłożonych wprost na trawie stały bambusowe fotele i kanapy, zaś pomiędzy nimi stoły o szklanych blatach. Rozpięte nad nimi markizy nadawały temu miejscu malowniczej egzotyczności. Znajdująca się nie opodal sadzawka z radośnie tryskającą fontanną, klatka z parą papużek

falistych miłośnię się przekomarzających, ciężki zapach tropikalnych kwiatów unoszących się szpalerem nad krętymi ścieżkami ogrodu, wreszcie majaczące gdzieś w głębi zarysy szklanej oranżerii i stajni dopełniały wrażenia obfitującej we wszelkie dobra krainy szczęśliwości.

— Podoba się tu pani? — spytał Zeller.

— Nie mogę wprost uwierzyć w to, co widzę. Kiedy ktoś przybywa do tak dzikiego zakątka, nie spodziewa się raczej żadnych luksusów. Czy pan to sam zaprojektował?

— Na szczęście nie musiałem. Prawdę mówiąc nie stać by mnie było na taki trud. Odkryłem to miejsce całkiem przypadkowo, przepływając w pobliżu łódka. Należało do jakiegoś poety... nie pamiętam nazwiska... kogoś w stylu Don Blandinga, wie pani, co mam na myśli?

— Dom wagabundy... — odpowiedziała Paige. — Moja siostra uwielbia jego wiersze — zaczerwieniła się na myśl, że może być posądzona o podobne gusta, więc szybko dodała — ma dopiero siedemnaście lat.

— Tak, to ją usprawiedliwia... — odparł cierpko. — Nie chciałbym, by ktokolwiek nazywał ten dom „domem wagabundy”, pomimo że niektóre elementy jego wyposażenia mogą wydać się pani cokolwiek egzotyczne. Jeśli chodzi o mnie, to zdecydowanie preferuję prostotę, nie dbam o luksusy. Nie jestem skomplikowanym człowiekiem, Paige, mogę się tak do pani zwracać, mam nadzieję?

Sądziłam, że to raz już zostało postanowione, pomyślała poirytowana Paige skinąwszy potakująco głową.

— O! Nadchodzi Jed z twoim bagażem. Pamiętaj, obiad punktualnie o siódmej. Masz ochotę na koktajl przedtem?

— Nie, dziękuję — odparła z pewnym wahaniem. Nie chciała, by wziął ją za osobę zbyt to się spoufalającą ze swym szefem. Zjawił się meksykański służący.

— Pokaż, proszę, Miss Maitland drogę do jej pokoi. Mężczyzna skłonił się ceremonialnie i poprowadził ją w górę po schodach. Zatrzymała się na półpiętrze i spojrzała w dół na Zellera. Stał przy stoliku i nalewał sobie drinka. Wychylił go jednym haustem, po czym gwałtownym ruchem odłożył pustą szklankę na miejsce.

Miała do swej wyłącznej dyspozycji dwa pokoje. Duża, przestronna sypialnia wyposażona była tylko w niezbędne sprzęty — wszystkie w stylu hiszpańskim. W oknach zamiast firanek wisiały bambusowe rolety. Mały salonik oprócz biurka, krzesła i kanapy miał rozłożony na podłodze wesoły,

indiański chodnik. Nie spodziewała się tak przestronnego apartamentu, musiała to przyznać. Z sypialni drugie drzwi prowadziły wprost do łazienki o ścianach pokrytych śnieżnobiałymi kafelkami. Było tu czysto i przytulnie. Paige czuła, że polubi to miejsce. Zobaczyła swoje walizki ustawione rządkiem przed szafą.

— Mahrija to hrozpakuje — obiecał Jose. — Ona hrobi tehraz obiad.

— Powiedz jej, że nie musi tego robić. Dziękuję. Sama sobie poradzę.

Zamknęła za nim masywne, drewniane drzwi i odruchowo zasunęła zasuwkę. Raptem oprzytomniała i oderwała od niej palce, jak od rozgrzanego żelaza.

„Po kiego licha zamykam się na cztery spusty?” — pomyślała rozbawiona.

Niemniej rzeczy rozpakowała przy drzwiach zamkniętych. Ubrała się w białą wizytową bluzkę i ciemnozieloną spódnicę. Dla ochrony przed zimnem założyła sportowy, wełniany żakiet. Wyrzała ciekawie przez okno. Istny raj.

Nie opodal w gąszczu listowia przemknął kolorowy ptak. Dom spowijała głucha cisza. Wzdrygnęła się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obiad był niezwykle wystawny. Jose w białej marynarce z muszką z niebywałą wprawą serwował wyszukane potrawy, dyskretnie napełniał kieliszki. Stół stał na patio. Dwie boczne ściany skąpane w winnej latorośli stanowiły naturalną izolację przed chłodnymi podmuchami wiatru znad oceanu.

Paige ani przez moment nie opuszczało uczucie dziwnego skrepowania, choć, Bóg świadkiem, robiła co mogła, by się go pozbyć. Pan domu był uosobieniem wdzięku i gościnności. Sportowa marynarka z beżowego kaszmiru, ciemne, jedwabne spodnie i także koszula współgrały harmonijnie z atmosferą, jaką poniekąd narzucał wybór miejsca i potraw. W tych ostatnich zaskoczył ją orientalny smak. Zaciekawiona spytała o składniki sałatki, którą właśnie jadła.

— Cieszę się, że ci smakuje — odparł Zeller. — Sekret jej przyrządzenia zdradził mi sam szef kuchni hotelu Royal Hawaiian w Honolulu. Podam ci najpierw, jakie składniki są potrzebne, a potem zapiszesz przepis na sos. Mam nadzieję, że wkrótce zasmakujesz z równą przyjemnością w innych moich ulubionych potrawach.

Przy deserze zapytała o zdrowie pani Zeller. Odniosła wrażenie, że temat go drażni, choć mogła oczywiście się mylić.

— Zawsze, gdy wyjeżdżam, Rita korzystając z okazji nadrabia zaległości w pracy w ogrodzie. Nasz ogród to jej wielka miłość. Wszystkie rabaty z kwiatami, ozdobne krzewy i ogródek różany tylko dzięki jej niestrudzonej pracy wyglądają tak pięknie. Jose, niestety, robi się coraz bardziej leniwy i, obawiam się, również niezdyscyplinowany. Praca w ogrodzie należy przecież do jego obowiązków... — urwał, po czym, jakby to wyjaśnienie miało wyczerpać temat, zaczął opowiadać o swojej pracy.

Dowiedziała się zatem, że przestudiował uważnie niezliczoną ilość książek dotyczących wypraw krzyżowych. Miejsca, które miał zamiar opisać w swojej powieści, przemierzył wszczegółowo i wzdłuż — pieszo, samochodem, a także wierzchem, na koniu bądź wielbłądzie.

— Pierwsze krucjaty ruszyły w kulminacyjnym dla naszej historii momencie — kontynuował Zeller. — Dwa obce sobie kulturowo światy zwały się w śmiertelnych zapasach. Krzyżowcy odnieśli spektakularny sukces pod Niceą i Dorilay. Rozpalone serca i głowy pchnęły ich aż pod Antiochię. Zdobyli ją bez większych ofiar. Działo się to jesienią 1098 roku.

Paige siedziała zasłuchana, zapominając o posiłku. Oczyma wyobraźni zobaczyła fort na górze Maregat, zawieszoną na stromym zboczu bramę św. Pawła, drogę do Aleppo wypełnioną tłumem wiernych z zapalonymi pochodniami, wreszcie mężne drużyny śmiałków gotowych ponieść najcięższe ofiary w poszukiwaniu grobu Chrystusowego, podobnych tysiącom innych, którzy wcześniej z nie mniejszą determinacją szukali świętego Graala. Nadmiar szczegółów zaciemnił jej obraz. Poczowała, że się gubi.

— Proszę mi dać trochę czasu na poznanie historycznego tła epoki. Szczerze mówiąc niewiele wiem na ten temat.

— Zmęczyłem cię, drogie dziecko. Musisz mi wybaczyć! Ale w ten sposób dowiesz się wszystkiego o wiele szybciej. Czytanie opracowań na ten temat jest bardzo czasochłonne. Opowiedz mi teraz o sobie, proszę.

Paige zawahała się. Cokolwiek powie, wyda się to zapewne trywialne i małe w porównaniu z osiągnięciami i zamierzeniami wielkiego Zeller a. Cóż mogło go obchodzić jej dzieciństwo spędzone w prowincjonalnym miasteczku, szkoły, które kończyła, rodzeństwo, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Całe jej dotychczasowe życie nagle zbladło i stało się mało ważne... Zbyła je pustymi frazesami i ponownie skierowała rozmowę na wspomnienia z podróży, jakie odbył na Bliski Wschód.

To było jak sen. Jadła kolację sam na sam z pisarzem, którego twarz uśmiechała się ze zniewalającym wdziękiem we wszystkich poczytnych tygodnikach dla kobiet, jak Stany długie i szerokie. W chwili gdy fakt ten dotarł do jej świadomości, sparaliżowało ją. Jedzenie przestało smakować, w głowie poczuła pustkę. Gdyby mogła, uciekłaby od stołu gdzie pieprz rośnie.

Zeller poczęstował ją papierosem. Zapaliła z wdzięcznością, mając nadzieję, że papieros pozwoli jej nieco ochłonąć. Jose uprzątnął stół po posiłku i przyrządził drinki.

Wolno sączyła likier miętowy, którego znajomy smak działał kojąco na podrażnione nieznanymi potrawami zmysły. Postanowiła wziąć się w garść.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym pójść się położyć. Czuję się zmęczona podróżą. O której mam jutro zacząć pracę?

— O ósmej. Jose przyniesie ci śniadanie do pokoju o siódmej trzydzieści — wstał od stołu i pomógł jej odsunąć krzesło. — Dobranoc, dziecko. Wybacz, jeśli cię zatrzymałem dłużej przy stole.

Z okna jej pokoju rozpościerał się imponujący widok na ciemne masy wody otaczające zewsząd wyspę. Po drugiej stronie zatoki, nisko nad horyzontem, mrgały światełka neonów. To San Marello, miasteczko, które odwiedziła w drodze na wyspę. Przypomniała sobie o gazecie, którą tam kupiła.

Ubrała się w piżamę i odnalazłszy gazetę zabrała ją ze sobą do łóżka. Zanim na dobre rozpoczęła czytanie, wstała jednak, cicho podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwkę. Ułożyła się na powrót w łóżku i przebiegła wzrokiem nagłówki.

Zignorowała doniesienia z dziedziny lokalnego smali businessu, hotelarstwa, działalności społecznych klubów, pogadanek wygłaszanych w miejscowym ratuszu i, zdziwiona, zatrzymała wzrok na krótkiej wzmiance. Zawiadamiała ona, że do miasteczka, jak co roku, przybyła trupa młodych aktorów o nazwie The Arden Players. W przyszłym tygodniu rozpoczynają się otwarte próby. Wśród czterech tytułów sztuk teatralnych, które mieli zamiar wystawić w tym sezonie, jedna niespodziewanie okazała się przeróbką sławnej powieści Zellera. Niewątpliwie miał to być gwóźdź sezonu, albowiem sam autor, zamieszkujący pobliską wyspę, miał być obecny na niektórych próbach, co więcej, miał nawet zaprojektować kostiumy. A jeśli czas mu pozwoli, może osobiście wcieli się w jedną z głównych postaci...

Paige westchnęła. Ciekawe, czy Zeller zamierza rzeczywiście zaangażować się w prace nad sztuką, czy też był to czczy wymysł żadnych reklamy młodych artystów? Wiedziała jedno, Zeller będzie wściekły, gdy to przeczyta. Na pewno nie zaryzykuje z nim rozmowy na ten temat. Zbyt dobrze wiedziała o napiętych terminach, które narzucały im styl pracy. Odwróciła stronę z lekceważeniem.

Zobaczyła na następnej zdjęcie młodych aktorów. Na oko wszyscy byli w jednym wieku. Opuścili świeżo mury uczelni i skrzyknąwszy się w zespół, zamierzali stworzyć prawdziwy teatr. Trzy przyczepy kempingowe, z oknami szczelnie wypełnionymi roześmianymi twarzami, stały na przeciwko luksusowego hotelu. Tuż obok, jak głosił podpis, reżyser i opiekun roku z przejęciem konferowali z czarnym kucharzem.

Najwidoczniej trupa stanowiła sporą atrakcję w miasteczku. Wzmianki o ich przybyciu wypełniały pozostałą część strony. Pewna restauracja zamieściła reklamę: „U nas bawią się aktorzy, baw się i ty!” Dom handlowy

zachęcał: „Tylko my mamy dresy firmy Sport Clothes noszone przez aktorów!”

Popatrzyła raz jeszcze na fotografię. Nazwisko reżysera widniało pod spodem. Lance Dały. Był wysoki, bardzo przystojny i czarująco się uśmiechał. Wyłączając światło pomyślała, że gdyby jednak Zeller zainteresował się sztuką, pobyt na wyspie nie musiałby być taki nudny.

Obudziły ją promyki światła figlarnie przeświecające przez bambusowe rolety. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Piękno rozpościerające się wokół zapierało dech w piersiach. Hen, daleko, na błękitnych falach, unosiły się dwa żaglowce z białymi żaglami wzdętymi poranną bryzą. W miejscu, gdzie linia horyzontu zlewała się z morzem, widniał na niebie mały obłoczek dymu, znacząc trasę dużego frachtowca poruszanego silnikiem diesla.

Umyła się szybko pod prysznicem. Niebawem miał nadejść Jose ze śniadaniem. Ubrała tę samą bluzkę i spódnicę, którą nosiła poprzedniego wieczoru. Pomyślała z nadzieją, że Maria na pewno będzie mogła zająć się praniem.

Nagle uprzytomniła sobie, że w domu, oprócz Marii i Jose, nie ma nikogo więcej ze służby. Maria musi zatem zajmować się zarówno gotowaniem, jak i utrzymywaniem porządku w całym domu. Z pewnością Jed pomagał jej przy cięższych pracach. A może był tylko przewoźnikiem?

Jose zapukał do drzwi, gdy kończyła się czesać. Wszedł do pokoju, położył tacę na małym stoliku, po czym przeniósł całość pod otwarte okna do saloniku. Strzepnął olbrzymią płachtą gazety i podał ją Paige. Zauważyła, że była to „Chronicie”, wydana w San Francisco.

— Dziękuję, Jose.

— Bardzo proszę. Mahria pyta, czy ma panienka coś do wyphrania?

— Podziękuj jej, Jose. To miło z jej strony, że chce się tym zająć. Nie mam jeszcze nic brudnego. Może w przyszłym tygodniu?

Skinał głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nalał do filiżanki kawę, odstawił dzbanek i stanął, oczekując dalszych poleceń.

— Czy podać coś jeszcze?

— Nie, dziękuję. Możesz odejść. Sama zniosę tacę na dół.

— Nie trzeba. Mahria to zhrobi, jak przyjdzie sprzątać pokój.

— Jose, czy pan Zeller już wstał?

— Siedzi na patio. On już phracuje, panienko.

— Muszę się pośpieszyć.

Jose wyszedł niepostrzeżenie z pokoju. Usłyszała tylko, jak zamyka cicho za sobą drzwi. Zaczęła jeść w pośpiechu. Rzuciła niespokojne spojrzenie na zegar i ze zdziwieniem odkryła, że ma jeszcze całe dwadzieścia pięć minut. Odprężyła się i wolno zaczęła smakować przygotowane dania. Był tam schłodzony grapefruit, gorąca zapiekanka z kukurydzą i bekonem oraz jajko po wiedeńsku. Kawa pachniała aromatycznie i miała przedni smak. Paige wyprężyła się z lubością jak kocur.

Punktualnie o ósmej otworzyła szklane drzwi prowadzące na patio. Zeller wstał z krzesła.

— Witam. Jak minęła noc?

— Dziękuję, dobrze.

— Popracujemy dziś na świeżym powietrzu. Przygotowałem dla ciebie notatnik i ołówek. Zapiszesz to, co ci podyktuję. Po południu zostawię cię samą i będziesz mogła się zająć przepisaniem tekstu na maszynie.

Przy świetle poranka wglądał młodziej. Świeżo ogolona twarz nabrała zdrowego, rumianego koloru. Tylko oczy, z lekka przymglone, znamionowały olbrzymi stopień koncentracji umysłu. Ujął ją za ramię i delikatnie skierował w stronę stolika, gdzie leżały zatemperowane ołówki i notatnik. Sam usadowił się wygodnie w dużym, klubowym fotelu ze skóry i zaczął dyktować. Robił to wolno, dobitnie akcentując końcówki, dbając o poprawną składnię. Rzadko przerywał i poprawiał zdanie. Dyktował bez dłuższych przerw na zastanawianie się. Palce Paige, kurczowo zaciśnięte na ołówku, niemal automatycznie zapełniały strony notatnika małymi hieroglifami.

Z głębi domu nie dochodził nawet najłżejszy szmer. Jose i Maria musieli dokładać nielicznych starań, by wypełniać swoje obowiązki bezszelestnie. Jedynie radosny szczebiot papużek nierozłączek i plusk spływającej z fontanny wody towarzyszyły im w pełnej skupienia pracy.

— Odczytaj mi, proszę, trzy ostatnie akapity — przerwał niespodziewanie.

Poruszając bezdźwięcznie ustami, szukała gorączkowo miejsca, od którego powinna zacząć.

— Uspokój się, kochana, nie denerwuj się tak, przecież cię nie zjem.

W końcu udało jej się znaleźć żądane miejsce. Uśmiechnęła się z widoczną ulgą. Ich oczy spotkały się.

— Powiedz mi, dziecko, co cię tak wytrąciło z równowagi? Zachowuję się jak tyran, tak? Przyznaję, jestem czasem szorstki w obejściu, ale to tylko

pozory. Tam, w głębi, jestem łagodny niczym baranek. A teraz, dziecinko, postaraj się odczytać to, co masz zapisane, tak, jakbyś czytała wiersz miłosny swemu ukochanemu...

Twarz Paige pokryła się rumieńcem. Wolałaby nie słyszeć tego, co powiedział. Zaczęła czytać.

To naprawdę dobre, skonstatowała ze zdziwieniem. Przez cały czas tak była pochłonięta stenografowaniem, że nie zwracała uwagi na treść. Była ekscytująca. Pierwsza część była opisem tła wydarzeń. Skończyła czytać i czekała z ołówkiem gotowym do notowania.

Spojrzała na Zellera zdziwiona jego milczeniem. Poderwał się nagle na nogi. — To byłoby na tyle... Przeszła mi ochota do pracy. Przepisz to na maszynie i przygotuj na drugą. Wtedy ponownie się spotkamy — podszedł do stolika, przy którym siedziała, i niespodziewanie przypatrzył się jej z bliska. — Dlaczego czeszesz się w ten sposób? Niezbyt ci w tym do twarzy. Wyglądasz jak zasuszona pensjonarka. Bądź sobą, nie bój się tego.

Odszedł parę kroków i zatrzymał się przy końcu patio.

— W bibliotece znajdziesz otwarty sejf, a w nim fragmenty maszynopisu. Możesz go przeczytać, jeśli chcesz — zniknął bez słowa pożegnania.

Paige wstała. Ręką trzymała się za gardło, jakby chciała powstrzymać dobywający się z głębi jęk. Cała płonęła. To jej wina. Ona go rozproszyła.

Zabrała się do pracy tłumiąc wyrzuty sumienia. Skończyła przepisywanie na maszynie tuż przed południem. Zaciekawiona wyjęła z sejfu maszynopis. Znajdował się w teczce cedrowego koloru, przewiązanej białą taśmą i opatrzonej napisem, „Krucjaty — tekst bieżący”.

Przysiadła na brzegu pokrytego skórą krzesła, stojącego tuż przy kominku. Chwilę siedziała bez ruchu sparaliżowana nadmiarem emocji. Oto trzyma w ręku nie opublikowany tekst powieści. Najprawdopodobniej nikt go jeszcze nie czytał. Nawet wydawca z Nowego Jorku. Pamiętała bowiem, że Zeller wybrał się do niego z ostatnią wizytą w celu przedyskutowania planu. Maszynopis wymagał korekt. Mogłaby to zrobić w wolnych chwilach. Ale — pomyślała — może Zeller chciał jeszcze sam wprowadzić jakieś poprawki, a nawet przerobić pewne jego partie.

Rozglądnęła się ciekawie po bibliotece. Praca, a potem powieść tak dalece pochłonięły jej uwagę, że niewiele obchodziło ją miejsce, w którym przyszło jej pracować. Ściany dookoła pokryte były boazerią z mahoniu, a dwie z nich od podłogi aż po sufit zapełniały półki z książkami w drogich oprawkach ze skóry. Złocene, tłoczone napisy mieniły się w jaskrawych

promykach słońca, przedostających się tu i tam przez zamknięte żaluzje. Na podłodze leżał piękny, wełniany dywan w kolorze zgasłej zieleni. Stały na nim dwa biurka. Przy jednym, wyposażonym w nowoczesny sprzęt do stenografowania i pisania na maszynie, właśnie przed chwilą zakończyła pracę.

Zaczęła czytać.

Straciła poczucie czasu i przestrzeni. Drgnęła z przestachu słysząc obok siebie głos Zellera.

— Tu jesteś! Lunch za pół godziny. Jak skończysz, to powiesz mi, mam nadzieję, co o tym myślisz.

Z trudem przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte i nie mogła wydusić słowa. Powoli odzyskiwała kontakt z tężyzną. Siłą woli opanowała falę gniewu na Zellera, że śmiało bezceremonialnie przerwał jej tak cudowną lekturę. Zaraz potem rozgrzeszyła go. Przecież to on napisał...

— Przepraszam — wymamrotała skruszona. — Czytanie pochłonęło mnie tak bardzo, że zapomniałam o całym świecie.

— Wyjdź na świeże powietrze — uśmiechnął się. — Trzymając się lewej strony ogrodu, dotrzesz do różanego ogrodu mojej żony. Pracuje tam teraz.

Aluzja, by poszła i poznała jego żonę, była aż nazbyt oczywista.

Wstała, strząsając resztki zapomnienia, w którym się totalnie pograżyła czytając powieść, i ruszyła ku drzwiom. Stała na zewnątrz oślepiona słonecznym blaskiem. Przysłoniła ręką oczy chroniąc je przed bólem. Po chwili spojrzała na ogród. Zobaczyła ścieżkę biegnącą wzdłuż bardzo starego i bardzo wysoko przyciętego żywopłotu. Ruszyła w tamtą stronę. Szerokie, kamienne schody sprowadziły ją łagodnie w dół, niemal zapraszając. W odległym kącie alejki zobaczyła odwróconą tyłem kobietą sylwetkę. Kobieta pochylona nad klombem metodycznie strzygła delikatne źdźbła trawy przy pomocy ogromnych nożyc.

Paige poczuła się nieswojo. Nie wiedziała, jak ma zwrócić na siebie jej uwagę. Zdecydowała się delikatnie chrząknąć.

Sylwetka bynajmniej nie zareagowała. Paige zaszurała głośniejszymi nogami, posuwając się parę kroków w przód po posypanej żwirem alejce.

Jak ona właściwie wygląda, oburzyła się Paige. Pochylona kobieta równie dobrze mogła okazać się Marią. Nosila zwykły roboczy strój: wyblakły żakiet z perkalu, dzinsy, które niegdyś zapewne były czarne, i pełen dziur słomkowy kapelusz.

Paige inaczej wyobrażała sobie żonę Zellera. Widziała ją raczej jako kobietę eterycznie szczupłą, odzianą w zwiewne, pastelowe szaty, szalenie inteligentną i pewną siebie, i, powiedzmy, o ciągle świeżej urodzie.

Kobieta nie zmieniła pozycji do momentu, aż Paige, speszona i udęczona niepewnością, stanęła przy niej.

— Panna Maitland? — spytała krótko i wyprostowała się.

Paige zaniemówiła. Przez całą długość twarzy kobiety biegła duża biała szrama. Od skroni po górny brzeg wargi. Oczy, lazurowo błękitne, przypominały martwe oczy lalek sprzedawanych w drugstorach. Spod kapelusza wymykały się niesforne kosmyki włosów, świadczące o braku starannej fryzury. Ciemna, spalona słońcem twarz, jak u żon okolicznych rybaków, chowała się w cieniu kapelusza.

— Tak, nazywam się Paige Maitland. Pani Zeller, nieprawdaż — upewniła się, ciągle zbita z tropu.

Dłonie kobiety zacisnęły się na uchwytych nożyc. Paige poczuła się jak intruz.

— Proszę nie przeszkadzać sobie w pracy. Pani mąż zasugerował, że mogę przyjść i przedstawić się.

— Rozumiem — ton jej głosu zdawał się mówić: właśnie to zrobiłaś, a teraz odejdz. Ostrza nożyc odcięły złamaną łodyżkę róży.

— Pójdę przygotować się do lunchu. Już czas. Pani Zeller, nieporuszona, wróciła do obcinania trawy.

Paige oddaliła się cicho. Czuła się srodze upokorzona. Co za koszmarna sytuacja! Biegła tą samą drogą, którą przyszła. Nie знаła zresztą innej. Wpadła jak bomba do biblioteki. Zeller siedział przy biurku.

Popatrzył na nią. Jego twarz przez sekundę posmutniała. Paige minęła hall i wbiegła schodami na piętro. Wysilek pomógł jej odzyskać równowagę. Do pokoju weszła już całkowicie opanowana.

— Muszę trzymać w ryzach swoją wybujałą wyobraźnię! — upomniała się w myślach. — Biedna pani Zeller! Zauważyła moje zaskoczenie na widok blizny. Zachowałam się podle i bez sensu! Zeller mógł mnie jednak uprzedzić... Albo Cary... A może obaj tak przywykli do tego widoku, że nie stanowi on dla nich żadnego problemu...?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pod koniec pierwszego tygodnia udało im się ustalić coś w rodzaju planu pracy. Paige stenografowała na żywo bądź z dyktafonu do trzeciej po południu. Potem przepisywała wszystko na maszynie.

Zeller wstawał bardzo wcześnie. Jadł śniadanie o siódmej i zanim Paige była gotowa do pracy, zdążył zawsze przeczytać i poprawić tekst przygotowany przez nią poprzedniego dnia.

Paige przyzwyczała się do spożywania śniadania i lunchu w zaciszu swojego pokoju. Z Zellerem spotykała się codziennie na patio, gdzie pracowali nie tracąc nic ze wspaniałej aury panującej na wyspie. Tylko przy wyjątkowych okazjach, gdy nagle się ochłodziło, lub gdy znad zatoki podpełzała gęsta mgła, przenosili się piętro wyżej, na przeszkloną werandę.

Margarita, jego żona, pokazywała się tylko podczas obiadu. Przeobrażała się wówczas w światową damę. Paige z zapartym tchem śledziła każde jej wejście do jadalni. Fascynujące toalety, perfekcyjny makijaż, styl i wdzięk, o który nigdy by jej nie podejrzewała, zbijały Paige z tropu. Zastanawiała się, który z paryskich kreatorów mody projektuje jej stroje.

Dzisiejszego wieczoru Paige wprost nie mogła oderwać od niej oczu. Pani Zeller miała na sobie suknię o luźno puszczonej rękawach, spiętą w talii złotą broszką. Całość wysmakowana w każdym detalu, miała coś ze stylu charakterystycznego dla egipskich posążków z okresu wczesnego Jeruzalem.

„Margarita poraża dziś swym pięknem” — pomyślała Paige, patrząc na nią, jak wstaje z sofy, dając tym znak, że czas przejść do jadalni. Po raz pierwszy Paige postanowiła towarzyszyć im w salonie przy koktajlach. Fascynowało ją to miejsce, tak różne od pozostałych pokoi. Salon był bardzo przestronny, choć gubił tę cenną zaletę w nadmiarze mebli i elementów dekoracyjnych. Arrasy, unikatowe egzemplarze starej porcelany, rzadkiej piękności wyroby z kości słoniowej, miedzi, mosiądzu i srebra umieszczono z gustem w różnych miejscach pokoju, tak by w pełni wydobyć ich walory artystyczne. Zapewne każdy z tych przedmiotów krył w sobie niezwykle interesującą historię. Paige pozostawała nadzieja, że pozna choć część z nich przed opuszczeniem wyspy.

— Podoba się tu pani, panno Maitland? — spytała pani Zeller, gdy siadali do stołu.

— Tak, jest pięknie. Teraz rozumiem, dlaczego pan Zeller wybrał to miejsce do pracy.

— A nie doskwiera ci tu samotność? — zapytał z zaciekawionym autorem, popijając koktajl, który przyniósł do stołu.

— Skądże znowu! Nie mam na nią czasu. Tyle tu wrażeń, nowych, nieznanych, no i pozostaje jeszcze praca, która wypełnia mi niemal każdą wolną chwilę.

— Berty, chyba nie przeciążasz panny Maitland obowiązkami? — spytała zaniepokojona pani Zeller.

— Staram się, jak mogę! Choć, przyznaję, przychodzi mi to z trudem, bo Paige aż się rwie do współpracy. Nigdy jednak nie przedłużamy raz ustalonych godzin pracy.

— Nie mam powodów do narzekań, wprost przeciwnie — zaproponowała Paige. Rzeczywiście nie spodziewała się, że ich współpraca ułoży się tak gładko.

Posiłek spożywali w jadalni. Na zewnątrz było mgliście i chłodno, w pokoju ciepło i przytulnie. Na kominku płonął ogień rzucając złote refleksy na stół przykryty białym obrusem oraz ustawione na nim kryształowe kielichy i srebrne sztuce. Potrawy były, jak zwykle, wyśmienite. Danie główne stanowił pieczony łosoś, podany na srebrnym półmisku, polany pikantnym sosem i obłożony chrupkami frytkami. Jose wniósł sałatki i, chwilę później, dopiero co wyciągnięty przez Marię z pieca francuski chleb czosnkowy.

— Nie, dziękuję, Jose — poddała się Paige, gdy po raz trzeci zaproponował jej dokładkę. — Obawiam się, że w krótkim czasie będę zmuszona liczyć przy stole kalorie, w przeciwnym wypadku grozi mi tu żałosny koniec...

— Bez obrazy, kochanie, ale nie cierpię kościstych kobiet — Zeller uśmiechnął się puszczając do niej oko.

— A ja ci radzę mieć się na baczności. Figura Marii w pełni potwierdza twoje obawy — poparła ją pani Zeller. — Tylko dzięki fizycznej pracy w ogrodzie oraz unikaniu lunchu udaje mi się zachować jaką taką linię.

To był najweselszy posiłek, jaki dotąd spożyli razem. Poprzednie odbywały się w ciszy przerywanej jedynie uwagami Zellera na temat potraw, użytych do ich przygotowania ingrediencji, stopnia zawiesistości sosów i, na koniec, dywagacjami na temat doboru odpowiednich trunków.

Tego wieczoru nie podano, ku zadowoleniu Paige obawiającej się skutków przejedzenia, słodkiego deseru. Wniesiono za to ser.

— Popatrzcie, moje drogie, na co się przypadkiem natknąłem we włoskim sklepiu po drugiej stronie zatoki.

Stary Partrich zzieleniałby z zazdrości, wiedząc o tym odkryciu, prawda, Rito? — Zeller z namaszczeniem ukroił cienki plasterk i położył na talerzyku Paige. — Przypatrz mu się dobrze. Jest dojrzały, posiada pleśń i cudowny aromat. Spróbuj go szybko. Chcę wiedzieć, jak ci smakuje.

— W życiu nie jadłam czegoś podobnego — przyznała uprzejmie Paige smakując odrobinę. Z przerażeniem poczuła, że język jej sztywnieje z obrzydzenia. Szybko upiła spory łyk czarnej kawy. Za nic w świecie nie obraziłaby gustów Zellera.

On tymczasem rozsmarował ser na krakersie i zaczął zajadać delektując się smakiem. Paige nerwowo zachichotała. Poczowała na sobie wzrok Rity. Nie śmiała odwrócić głowy w obawie przed tym, co mogła wyczytać w jej oczach.

— A propos, Partrich i jego żona wybierają się do nas z wizytą w przyszłym miesiącu. Będzie niezła zabawa, malutka — rzekł obrzucając Paige figlarnym spojrzeniem.

Rita nie odezwała się. Jej twarz przybrała nagle zimny wyraz. Oczy stały się jakby nieobecne.

— Partrich to mój wydawca — pośpieszył z wyjaśnieniem Zeller widząc pytające spojrzenie Paige. — Diabeł w ludzkiej skórze! Uwielbia gnębić ludzi. I do tego perfekcjonista, tak sam o sobie mówi. Zmusza mnie do ciągłego przerabiania moich tekstów. I to nie raz, a dziesięć razy! Przekonasz się, jak tu dotrze.

— Może tym razem da ci spokój. Masz taką wspaniałą asystentkę... — wtrąciła Margharita.

— Niestety! — Zeller roześmiał się na cały pokój. — Mój perfekcjonizm nie obroni mnie przed jego złośliwością. Lubi patrzeć, jak się pocę z wysiłku.

— Wspominałeś coś o przyjeździe Daphne...? — spytała Rita z podejrzaną słodyczą w głosie.

— Tak. Uff! Obawiam się, że będziesz się nią musiała zająć.. Trzymaj to babsko z dala ode mnie. Wyjedź z nią na jakiś tydzień. Partrich nie powinien tu dłużej zabawić.

— Utopiłabym ją chętnie w łyżce wody... Ale nie bój się, postaram się, żeby ci nie wchodziła w drogę.

— Poczekaj, aż ją zobaczysz, Paige, a zrozumiesz, co mamy na myśli. Jeśli tu zostanie, zmusi nas do zatrudnienia pół miasteczka, by dogodzić swoim zachciankom.

— Spróbuję ją namówić na tygodniową wycieczkę w tropik.

— Światło mojego, życia! — Zeller przesłał jej całusa. — Jesteś nieoceniona, jak zawsze!

Kolacja dobiegła końca w przyjemnej atmosferze. Wrócili do salonu, gdzie Zeller chciał posłuchać płyt. Paige wymówiła się od obecności koniecznością napisania listów do najbliższych. Siedząc w swoim pokoju, słyszała ponure dźwięki majestatycznej muzyki rezonującej przez ściany budynku.

Paige napisała najpierw do Joan, później do domu. Był to już drugi list do rodziców. Pierwszy, bardzo zdawkowy, napisała w drugim dniu pobytu na wyspie. Teraz postanowiła nadrobić wszystkie zaległości, nie spiesząc się. Opisała piękno przyrody, życie, jakie tu wiodła, dziwne zachowanie Rity, scharakteryzowała Zellera i parę meksykańskich służących.

Paige najbardziej zbliżyła się do zażywej, korpulentnej Marii. Lubiła jej jasne, szczere spojrzenie i humor. Maria odwzajemniała jej uczucie, starając się uprzyjemnić samotne życie Paige drobnymi niespodziankami. Codziennie rano Jose wnosił tacę ze śniadaniem ozdobioną piękną różą, wetkniętą w mikroskopijnych rozmiarów flakonik. Uprane ubranie, które oddawała Paige zawsze na czas, odprasowane było do najmniejszej zakładeczki. Pewnego poranka Paige postanowiła odwdziaczyć się Marii za jej pracę sutym napiwkem.

— O nie! Dios! Nie mogę tego przyjąć, panienko. Zellehr mnie zabije!

— Zeller nigdy się o tym nie dowie, Mario. Ciężko pracujesz, należy ci się.

— Dobrze! — zgodziła się po chwili wahania. — Wezmę na fundusz dla Anity.

— A co to za fundusz?

— Anita to nasza cóhrka. Ona uczy się na aktóhrkę w Nowym Johrku.

— Gratuluję! — Kto by pomyślał, że nawet wśród służby znalazła się osoba związana z teatrem. To jakieś fatum, pomyślała Paige.

Dni płynęły spokojnie jeden za drugim. Paige poczuła, że zaczyna jej brakować ruchu. Pewnego razu zapytała Marię o miejsce, - gdzie mogłaby bezpiecznie popływać.

— Jose panience pokaże — odwróciła się do męża, który właśnie wszedł do kuchni z naręczem świeżo porąbanych szczap. Zamienili parę zdań w niezrozumiałym dla Paige języku. Maria zatrzepotała rękoma, najwidoczniej mówiąc coś o Zellerze.

— Mario, znasz takie miejsce, gdzie mogę sama pływać? — zapytała pośpiesznie Paige. Na twarzy Marii pojawił się cień zrozumienia.

— O to mi chodziło, panienko. Ty nie pływaj z Zellehrem, ani z Senora Hrita. Ty pływaj sama. Tak będzie najlepiej dla małej Paige.

Paige poczuła ucisk w sercu. O co, do licha, chodzi Marii?

— Jose pójdzie juthro hrano z panienką o szóstej trzydzieści, będzie dobrze?

— Świetnie! Zejdę od razu w stroju kąpielowym. Następnego ranka obudziło ją terkotanie budzika.

Szybko naciągnęła granatowy kostium kąpielowy, stopy wsunęła w plażowe klapki i zarzuciła na ramiona płaszcz kąpielowy. Zbiegła w dół schodami dla służby. Cały dom pogrążony był we śnie. Zeller chyba jeszcze nie wstał. Poczowała ulgę. Jose czekał na nią w kuchni. Maria pożegnała ją konspiracyjnym uśmiechem.

Szli skrajem urwistego zbocza. W pewnym momencie odwróciła się i spojrzała na górujący ponad koronami drzew szczyt.

— To Highpoint — objaśnił Jose. — To bardzo niebezpieczne miejsce. Był wypadek...

— Jaki? — podchwyciła ciekawy temat Paige.

— Dawno temu — Jose pokręcił głową. — Niedobrze o tym mówić.

Spojrzała na niego pytająco. Odwrócił wzrok.

— Tam w dole dobre miejsce do pływania. Mała zatoczka, ciepła i osłonięta od wiathru. Panienka Hildegahrda lubiła tam chodzić.

— Panienka Hildegarda...? — powtórzyła Paige w zamyśleniu.

Jose milczał jak zakłęty. Zdenerwowało to Paige. Pomyślała, że bredzi o czymś bez związku. Raptem skojarzyła imię z inicjałami H. K. widniejącymi na kopertach, jakie kiedyś sortowała na polecenie Zellera. Wyglądały na dość stare, tak na oko mogły pochodzić sprzed czterech, pięciu lat. Szła w milczeniu przez resztę drogi. Zagadka nie dawała jej spokoju. Może uda się ją wyjaśnić przeglądając stare papiery?

Jose wskazał ręką miejsce. Minęli łąkę piasku i Paige zobaczyła strome skały otaczające coś na kształt naturalnego basenu. Idealne miejsce do

plywania, pod warunkiem, że nie ma tam podwodnych skał, niebezpiecznych zwłaszcza przy nurkowaniu podczas odpływu.

— Głęboko tu?

— O tak. W czasie przyływu musi być jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp. Mamy przyływ. Dobra pohra.

Paige zanurzyła się w wodzie. Na sekundę straciła oddech na skutek gwałtownej zmiany temperatur. Wzięła szeroki zamach i popłynęła, leniwie obserwując zmieniające się na niebie kolory. Czerwona kula słońca barwiła wschodnią linię horyzontu delikatnym różem. Wzgórza na sąsiedniej wyspie nabrały ciepłego, miodowego kolorytu ponad zwiewną otoczką opadającej mgły.

Dopłynęła do końca zatoczki i wspięła się na brzeg największej skały. Zdjęła czepek i strzepnęła włosy. Tego właśnie jej brakowało. Całkowitego luzu i odprężenia.

Położyła się na skale. Poczuła na skórze jej chłód — szkoda, że płaszcz kąpielowy został na plaży. Postanowiła wracać. Nagle w pobliżu rozległ się terkot spalinowego silnika o zwolnionych obrotach. Zaciekawiona wyjrzała sponad wierzchołka skały.

Do jej zatoczki zbliżała się samotna łódź. Nie była to żadna z łodzi należących do Zellera, tego była pewna.

W łodzi siedział mężczyzna i kierował nią wprost do miejsca, gdzie stała Paige. Przez moment nie była pewna, czy ją zauważył. Zadrzała z obawy o jego bezpieczeństwo, widząc, że zamierza wpłynąć do wnętrza zatoczki nie bacząc na tkwiące tuż pod powierzchnią ostre pazury skał.

Musiał ją jednak zauważyć, bo pomachał jej ręką. Pewnie i błyskawicznie wprowadził motorówkę poprzez skały, a Paige widząc, z jaką wprawą to zrobił, nabrała pewności, że już wcześniej musiał odwiedzać to miejsce.

— Hej tam na skale! — głos miał młody i dźwięczny.

Pomachała mu ręką. Od przeszło dziesięciu dni nie widziała nikogo obcego. Była ciekawa, kto to.

Wyłączył silnik i przebył ostatnie jardy wiosłując. Dopiero gdy wyszedł na brzeg i zaczął przywiązywać cumę, zauważyła palik wbity w ziemię obok olbrzymiego pnia.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej obecności? — wyszczerzył rząd równych, białych zębów w szerokim uśmiechu. — Mogę z tobą popływać? — ciasno przylegające do czaszki włosy, niby hełm,

wymownie świadczyły o tym, że sam pływał już tego ranka. Spod sportowej kurtki wystawały końce granatowych kąpielówek.

Paige miała wrażenie, że gdzieś już widziała jego twarz.

— Nazywam się Lance Dały. Przyjechałem tu z grupą młodych aktorów. Mieszkamy w pobliskim miasteczku.

Zanurzył się w wodzie i zaczął płynąć w jej stronę. Mocne, rytmiczne uderzenia rąk i nóg burzyły spokojną toń wody. Był dobrym pływakiem.

Zatrzymał się przy skale, na której siedziała niezdecydowana, i ponowił pytanie.

— Czy mogę?

— Pewnie. Wskakuj na górę.

— Pracujesz dla Zellera, prawda? — i nie czekając na odpowiedź usiadł na brzegu skały. — Miałem nadzieję, że cię tu w końcu zastanę. Chciałem cię prosić o wstawiennictwo. Nasza grupa chciałaby się spotkać z Zellerem.

— Chyba żartujesz?

— Nie, dlaczego? — popatrzył na nią zdziwiony. — Sprawa jest jak najbardziej poważna. Wiemy od agenta, że Zeller zawałony jest pracą i terminami. Ale dał nam wcześniej zgodę na przerobienie swojej powieści na sztukę teatralną. Mamy gotowy tekst i chcielibyśmy go przekonsultować przed przystąpieniem do prób.

Zapał, z jakim wyłuszczał argumenty, przekonał Paige, że mówi o najważniejszych w jego życiu sprawach. Oczarowało ją to.

— Obsadę stanowią najlepsi z naszego grona. Mamy kilku wybitnie utalentowanych nowych aktorów. Pozostali to gwiazdy ubiegłych sezonów, ściągnęli tu zwabieni perspektywą zagrania w pierwszej sztuce Zellera! Zeller już wcześniej przez krótki czas współpracował z nami. Ale potem wyjechał stąd nagle, bez uprzedzenia. Pewnie z powodu tragedii, która rozegrała się na jego wyspie kilka lat temu.

— Jakiej tragedii? — zapytała. Już drugi raz w ciągu jednego poranka słyszy wzmiankę o tajemniczym wydarzeniu. — Co to było?

Wyciągnął z kieszeni hermetyczną papierośnicę i poczęstował ją. Paige z bliska przypatrzyła się przystojnym rysom jego twarzy.

— Nie słyszałaś nic o wypadku? Dziwne. To było jakieś pięć lat temu. Skończyłem wówczas pierwszy rok studiów i po raz pierwszy przyjechałem do San Marello — przerwał i zamyślił się.

Paige przypomniała sobie podpis pod zdjęciem w gazecie. Wynikało z niego, że Lance był asystentem reżysera.

— Asystentka Zellera spadła w przepaść, tu niedaleko. Zmarła nie odzyskawszy przytomności — wrzucił do wody nie dopalonego papierosa. — Była piękna. Wszyscy ją lubiliśmy. Często przyplýwała do nas na łód w sobotnie popołudnia i spędzała z nami cały weekend. Zatrzymywała się w hotelu. A potem, w czerwcu, przestała się nagle pokazywać. Nie zjawiała się nawet na próbach, choć Zeller pozwolił jej wziąć udział w scenie zbiorowej podczas premiery. Zaprojektował nawet dla niej piękny egipski kostium. Wiesz, Zeller jest kapitalnym projektantem. Tworzy prawdziwe dzieła sztuki.

Paige poczuła, że cała drży. Lance zapalił drugiego papierosa.

— Przepraszam, że zaczynamy naszą znajomość od tak smutnego opowiadania.

— Sama o nie prosiłam — zauważyła Paige. — Jose wspomniał coś na ten temat, ale odmówił wszelkich wyjaśnień:

— Jose? Ach, tak, ten meksykański słuźący. To zrozumiałe, był ostatnią osobą, która widziała Hildegardę przy życiu.

Paige drgnęła na dźwięk tego imienia. Jose wspomniał, że ta dziewczyna także lubiła tu pływać.

— A... jak zginęła?

— Musiała się po prostu poślizgnąć. Nie mogliśmy zrozumieć jednak, w jakim celu wspięła się tak wysoko sama... I jeszcze jedna rzecz nie dawała nam spokoju: Hildegarda miała na sobie kostium teatralny... Długa, sięgająca kostek szata musiała w znacznym stopniu krępować jej ruchy przy wychodzeniu na szczyt...

— Śledztwo miało dziwny charakter — podjął Lance po chwili milczenia. — Jose na przykład zeznał, że widział ją ubraną w żakiet i spodnie. Tymczasem pani Zeller, która znalazła ciało na plaży, twierdziła, że Hildegarda miała na sobie strój teatralny, w którym miała wystąpić z nami tamtego wieczora — odrzucił nie dopalonego papierosa. — Chodź, popływamy lepiej!

Temat nie należał do przyjemnych, przyznała ubierając czepek. Skoczyła ze skały. Opłynęli razem zatoczkę, po czym skierowali się ku piaszczystej plaży. Paige z przyjemnością poddawała się orzeźwiającemu dotykowi słonejszej wody. Wspaniale ją relaksował. Po dziesięciu dniach wyteźzonej pracy czuła organiczną potrzebę wypoczynku, zwłaszcza że, jak słusznie się obawiała, teraz, przed przyjazdem wydawcy, będą pracować jeszcze intensywniej.

Opadli zmęczeni na piasek uśmiechając się do siebie.

— Muszę wracać — odezwała się pierwsza. — Zaczynam pracę o ósmej.

— Na mnie też już czas. Nasz kucharz nie cierpi, gdy ktoś spóźnia się na posiłki — wstał i podał jej rękę, pomagając wstać. — Miło cię było poznać, Paige.

— Mnie także. Zobaczą, co da się zrobić z tym spotkaniem. Najlepiej jednak będzie, jak wyślecie mu pisemne zaproszenie.

— Już to robiliśmy, i to kilkakrotnie. Nie odpowiedział na żadne.

— A nie przyszło wam do głowy, że może zmienił zdanie? — zasugerowała. Jakoś jednak nie mogła sobie wyobrazić Zellera odkładającego na bok swoje sprawy, po to, by się zająć czymś równie absorbującym, jak przygotowanie amatorskiego przedstawienia.

Lance pokręcił głową.

— Widać nie znasz Zellera. Byłby wspaniałym dramaturgiem, teatr to jego żywioł. Sama się o tym przekonasz, zobaczysz. Problem polega na przyciągnięciu jego uwagi. Jak tylko połknie haczyk, żadna siła go nie powstrzyma przed pełnym zaangażowaniem się. Ciebie też w to wciągnie, idę o zakład!

— Wykluczone! — zdecydowanie zaproponowała Paige.

— Założymy się?

— Daj spokój! — roześmiała się. — Słuchaj, Lance, Zeller nie ma czasu na zabawę w teatr. Ma terminy, których nie wolno mu przekroczyć.

— Pożyjemy, zobaczymy... — optymizm Lance'a zdawał się bezgraniczny. — Spotkajmy się tu jutro o tej samej porze, zgoda?

Zawahała się przez moment. A właściwie dlaczego nie miałyby pływać codziennie rano... Zgodziła się.

— Zatem układ stoi — ucieszył się Lance. — Muszę dbać o kondycję, a to najlepszy ze znanych mi sposobów. Ejże, Paige, może odwiedziłabyś nas w ten weekend? Zarezerwuję dla ciebie pokój w hotelu. Mógłbym zabrać cię stąd o dziesiątej. Zjedlibyśmy lunch i przedstawiłbym ci pozostałych członków naszego zespołu. Wiem, że bardzo chcą poznać nową asystentkę Zellera — zarumienił się jak dziewczyna. Paige domyśliła się, że przypomniał sobie Hildegardę.

— W ten weekend nie mogę, może w następny — powiedziała na przekór sobie, nie wiedząc czemu. Była zła na siebie. Propozycja nęciła perspektywą wesołej zabawy i dawała szansę oderwania się od monotonnego życia na wyspie. Głupio robi... A zresztą... — Ja... no,

dobrze, przyjedź po mnie. Tylko nie chciałabym na razie spotkać się z twoimi przyjaciółmi, jeśli nie weźmiesz mi tego za złe.

— Absolutnie nie! — wykrzyknął szczęśliwy. — Wybierzemy się na wycieczkę i odwiozę cię na wyspę przed zmrokiem.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mijając hall zobaczyła przez okno Zellera. Siedział już na patio. Spojrzała na zegarek. Nie musiała się śpieszyć. Miała mnóstwo czasu na kąpiel i śniadanie.

Pijąc kawę uśmiechnęła się na wspomnienie planów na nadchodzącą niedzielę. Musi powiadomić o nich Zellerów, by nie czuli się później zaskoczeni jej nieobecnością.

Obowiązki, jakie na nią czekały tego dnia, pochłonęły ją tak dalece, że ze zdziwieniem powitała zapadający zmierzch. Była sama w bibliotece. Na moment wstała od biurka, by rozprostować zdrętwiałe nogi. Usiadła i jeszcze raz odczytała ostatnie cztery strony gotowego maszynopisu.

Zeller jest geniuszem, stwierdziła bez cienia wątpliwości. Tym razem przeszedł wszelkie oczekiwania. Przypomniała sobie zajęcia z literatury, na które uczęszczała w ostatnim semestrze. Omawiali wtedy jego ostatnią powieść. Dużo by dała, by zobaczyć minę swego wykładowcy, gdy dostanie do ręki tę, nad którą Zeller obecnie pracuje!

Zeller nie zszedł na kolację tego wieczoru. Zaniepokojona Paige zapytała Margharitę o jego zdrowie.

— Dostał ataku migreny. Przeworsował się przy wspinaczce na Highpoint dzisiaj po południu. Jest niepoprawny, jak dziecko. Postępuje wbrew zaleceniom lekarza, który ostrzegał go przed podejmowaniem większych wysiłków fizycznych. Nie martw się — dodała widząc przerażoną minę Paige — wyzdrowieje do jutra rana. Bardzo mu zależy, by skończyć zaczęłą partię powieści przed przyjazdem Partricha.

Paige spędzała całe popołudnia pracując, nie domyślała się nawet, że Zeller w tym czasie aktywnie odpoczywa, wspinając się na pobliskie szczyty, biegając po plaży, pływając.

— Pływanie przedkłada ponad wszystkie inne sporty. Dawniej pływał każdego dnia z rana. Teraz wstaje wcześniej i pracuje. Po południu pływa rzadko.

Margharita była wielce rozmowna tego wieczoru. Paige ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy jedzą posiłek tylko we dwie. Zeller dominował zawsze rozmowę przy stole.

Przy deserze Paige wspomniała o swoich planach na niedzielę.

— Wybieram się na wycieczkę z Lance'em Dały.

— Dały...? Ach, to ten młody reżyser teatralny. Bert twierdzi, że ten chłopak ma talent. Miły, młody człowiek — Paige wyczuła w jej głosie aprobatę.

Rozeszły się do swoich pokoi zaraz po kolacji. Upłynęły dwa dni, nim Paige ponownie ją zobaczyła.

Spotkała Lance'a w umówionym miejscu następnego ranka. Tym razem bezbłędnie rozpoznała głos silnika jego motorówki i bez wahania odwzajemniła powitalny gest. Patrzyła, jak cumuje łódkę, a potem w rekordowym czasie pod pływa do kamienia, na którym go oczekiwała.

Wymienili uśmiechy i Paige poczuła, jak robi jej się lekko na duszy.

— Wierzysz w syreny? — spytał zniecierpliwiony Lance siedząc obok niej.

— Oczywiście! A ty?

— Wcale. Aż do wczoraj.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Uśmiechnął się.

— Wziąłem cię wczoraj za syrenę... Choć już raz cię widziałem.

— Naprawdę? A kiedy? — spytała zaciekawiona.

— Jakiś tydzień temu. Byłem na przystani w San Marello, gdy zaczepił mnie zrozpaczony dostawca warzyw, Tony Capricio. Znamy się dobrze, bo często robię u niego zakupy, wyręczając naszego kucharza. Biedny Tony, miał atak podagry i ledwo się ruszał. Poprosił mnie, bym zawiózł na wyspę zamówione przez Marię warzywa, obiecując mi złote góry...

— I co, zawiozłeś?

— Tak, wtedy cię zobaczyłem. Wysłaś zniecierpliwioną z za domu, dzierżąc dumnie zeszyt i ołówek w ręku.

— ... a co ze złotymi górami?

— Znalazłem je tu na wyspie — powiedział cicho Lance pochylając się nad nią...

Paige dała nurka pod wodę. Śmiejąc się posłał jej dłonią prawdziwą fontannę, gdy się wynurzyła.

Wiedziała, że chciał ją pocałować. Może to głupie z mojej strony, tłumaczyła sobie, płynąc w stronę plaży, ale nie chcę, by Lance pocałował mnie dzisiaj. Nie teraz. I nie tak szybko. Znali się dopiero od dwudziestu czterech godzin.

Rzucił się za nią do wody, ale gdy dopłynęli do pokrytej białym piaskiem plaży, nie powiódł już poprzedniej próby.

Jeżeli uważa mnie za łatwą do upolowania zdobycz, to się grubo pomylił, myślała drżąc ze zdenerwowania.

Tymczasem Lance, widząc jej wzburzenie, zasypał ją gradem pytań. Czy lubiła chodzić do szkoły, czy pamięta egzaminy wstępne na uczelnię, co lubiła najbardziej na studiach... Paige, zaskoczona, z początku odpowiadała niechętnie i lakonicznie. Po chwili zupełnie niepostrzeżenie dała się wciągnąć w spontaniczną dyskusję na temat ostatniej powieści Zellera, przerobionej na sztukę teatralną. Lance przy okazji scharakteryzował niektórych członków zespołu.

— Weźmy, dla przykładu, Dużego Johna. Przez jeden sezon grał na Broadwayu, ale z powodów rodzinnych musiał wrócić na zachodnie wybrzeże. Ożenił się, rzucił studia, potem zmienił decyzję, zaczął znowu studiować i zrobił dyplom. Świetny aktor, musisz go koniecznie poznać.

— Zgoda, ale jeszcze nie tej niedzieli.

— Dlaczego? Mogłabyś zostać na noc w hotelu? W poniedziałek z samego rana odwiózłbym cię na wyspę...

Paige doznała irracjonalnego uczucia, że jest obserwowana. Odwróciła instynktownie głowę i obrzuciła strone z boczne niespokojnym spojrzeniem. Ani śladu cudzej obecności. Nagle wzdygnęła się z przestachu. Zobaczyła zarys męskiej postaci znikającej w krzakach porastających brzegi ścieżki prowadzącej do zatoczki.

Jose? A może Zeller? A właściwie, co za różnica. Nie mogła się jednak otrząsnąć z przeświadczenia, że ktoś ich śledził.

Zapytała Lance'a o jego pracę i plany na przyszłość. Odpowiedział, że jego marzeniem jest, by któregoś dnia wyreżyserować prawdziwy film.

— Ambitny jesteś, tylko, czy starczy ci sił, by to zrealizować?

— Musi. Ostatnie letnie wakacje, dwa razy pod rząd, spędziłem w Warner Brothers pracując w dziale scenariuszy. Miałem przedsmak tego, co mnie czeka... Ale nie przeraża mnie to.

— Przyjeżdżają tu agenci artystyczni?

— Kilku zawsze się zjawia na naszych premierach. Polują na młode talenty. Dwa lata temu porwali nam trzy najlepsze dziewczyny i to tuż przed zamknięciem sezonu. Chodź, popływamy jeszcze!

Zaczęli się ścigać. Nurkowali i pływali na zmianę przez następne pół godziny.

— Muszę już lecieć! — przerwała wesołą zabawę Paige.

— Spotkamy się jutro rano?

— Nie mogę. Muszę napisać kilka listów.

— No to spotkajmy się jutro wieczorem. Co byś powiedziała na piknik na plaży?

— Świetny pomysł! — przyklasnęła zachwycona. — Będę gotowa koło szóstej — ominie ją wątpliwa przyjemność spożywania kolacji w towarzystwie Zellerów.

— Skombinuję stek na barbecue, i kupię warzywa na sałatkę.

— A ja poproszę Marię, żeby nam upiekła bułeczki i przygotowała deser.

— O. K. Do zobaczenia jutro o szóstej wieczorem. Odczekał, aż Paige pozbierawszy swoje rzeczy weszła na ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Dopiero gdy zniknęła za pierwszym zakrętem, wsiadł do motorówki i włączył silnik.

Paige usłyszała słaby warkot odpływającej łodzi, wspinając się coraz wyżej po stromym zboczu. Wiał tu silny, lodowaty wiatr znad oceanu. Otuliła się szczelnie płaszczem kąpielowym. Zerknęła na zegarek. Było jeszcze wczesnie. Z przyjemnością pomyślała o gorącym śniadaniu, czekającym już pewnie w jej pokoju.

Ścieżka urwała się. Paige weszła na miękki trawnik ogrodu. Usłyszała chrzęst kroków zbliżających się ku niej po żwirowej alejce. Wkrótce jej oczom ukazała się zachmurzona twarz Zellera.

— Dzień dobry! — powitała go uprzejmie.

Skinął jej głowę. Paige stała na ścieżce, nie bardzo wiedząc, czy ma poczekać, czy odejść.

— Cudowna woda w zatoczce. Czuję się taka rześka — powiedziała przerywając ciszę.

— Mam nadzieję, że zostało ci jeszcze trochę sił do pracy — odezwał się z przekąsem. — Czekam na cię ciężki dzień. Zapomniałem cię ostrzec wczoraj wieczorem, że w ciągu bieżącego tygodnia musimy uzupełnić wszystkie zaległości, jakie nam ostatnio narosły. Od pół godziny czekam na ciebie na próżno!

Paige popatrzyła na niego całkowicie zbita z tropu. W końcu wykrztusiła.

— Nie miałam pojęcia, że godziny naszej pracy uległy zmianie.

— Jestem pewien, że wspominałem ci o tym wczorajszego popołudnia.

Zmarszczyła czoło. Nie wspomniał o tym ani słowem, dałaby sobie głowę uciąć.

— A, byłbym zapomniał — ciągnął dalej rozdrażnionym tonem. — Twój maszynopis aż roi się od błędów. Zakreśliłem je wszystkie na czerwono.

Nie mogła złapać tchu. Czy to możliwe? Sprawdziła wszystko bardzo starannie wczoraj wieczorem, jak zwykle.

— Oczywiście, to nie moja sprawa, co pani robi, panno Maitland, w wolnych chwilach, ale proszę, by pani przyjemności nie kolidowały z pani pracą.

— Nigdy sobie na to nie pozwalałam, panie Zeller — jej oczy zrobiły się niebezpiecznie szkliste. — Natychmiast poprawię wszystkie błędy.

Zeller rzucił jej szybkie spojrzenie i stanął zażenowany swym wybuchem.

— No, no, uspokój się, moje dziecko. Bez obrazy. Wiem, jak niewiele czasu zostaje ci po pracy. Tęsknisz też pewnie za towarzystwem rówieśników — zbliżył się do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Paige ugięła się pod jej ciężarem. — Myślałem, że jesteś ze mną szczęśliwa — powiedział cicho, po czym szybko dodał — i z Ritą.

— Ależ, jestem! Przepraszam... — puściła się pędem w kierunku domu z oczyma pełnymi łez. Nie chciała, by je zobaczył. Czy to możliwe, aby spotkania z Lance'em wpływały tak destrukcyjnie na jej pracę? Jeśli to prawda, postanowiła solennie zrezygnować z porannego pływania... Ale nie z jutrzejszego pikniku... I z planów na weekend... A w ogóle, nie zrezygnuje z Lance'a!

Zeller nazwał ją panną Maitland, a przecież nie zwracał się do niej ostatnio inaczej niż Paige, albo drogie dziecko. Uporczywe pytanie „dlaczego” nie dawało jej spokoju. Umyła się i przebrała. Do drzwi zapukał Jose. Nie była w stanie przełknąć ni kęsa. Poprosiła, by zabrał tacę ze śniadaniem.

— Panienska musi dużo jeść, jak pływa — Jose nie posiadał się ze zdumienia widząc jej brak apetytu.

— Wypiję tylko kawę, Jose. Resztę zabierz na dół. Kawę wypić duszkiem. Sięgając po notatnik i ołówek, zatrzymała wzrok na kopii maszynopisu. Zauważyła w jednym miejscu brak cudzysłowu, drugie, co prawda dyskretnie, ale do wykrycia, było podmazane gumką i poprawione.

Zeszła na dół kompletnie zdruzgotana. Zellera nie było na patio. Zajrzała do biblioteki. Pusto. Weszła do kuchni. Maria pochylona nad piecem mieszała bulgoczącą wesoło w garnku zupę. Drewniane szczapy płonące pod blachą promieniowały na całą kuchnię domowym ciepłem. Paige poczuła, że wraca jej pewność siebie. Podeszła do Marii. Meksykanka uśmiechnęła się do niej i ogarnęła jej postać zatroskanym wzrokiem.

— Mario, czy wiesz, dokąd poszedł pan Zeller? — zapytała Paige.

— Nie. Stał chwilę na patio i poszedł w kiehrunku lasu.

— Musiał przecież wiedzieć, że zaraz wrócę — pomyślała zagniewana Paige i dodała na głos: — Mario, czy mogłabym dostać swoje jajko, mam nadzieję, że go nie zdążyłaś wyrzucić?

— Ja ci zhrobię świeże jajko, szybko! — wprawnym ruchem sięgnęła po mały rondel z długim uchwytem stojący w szeregu z innymi na skraju blachy. — Jeszcze ciepły. Chcesz pahrówkę?

— Nawet dwie, jeśli można. Umieram wprost z głodu! — wykrzyknęła ochoczo Paige i nagle jasno uzmysłowiła sobie motywy postępowania Zellera. Musiał zobaczyć ją na plaży z Lance'em Dały. Obserwował ich z pewnością przez lornetkę. A teraz jest zły, bo wie, że Paige nawiązała znajomość z obcą osobą. — Przecież to nie ma sensu — pomyślała Paige — a nawet gdyby, jestem tylko jego pracownicą, a nie niewolnicą, i sama decyduję o sobie.

Zjadła z apetytem parówki i dwa jajka, wypila duży kubek kawy dopingowana pełnymi zadowolenia okrzykami Marii.

— Przygotuj mi na lunch tylko jedną kanapkę. Jose może mi ją przynieść do pokoju. Albo nie, zejdę po nią sama, jak tylko skończę pracę.

— Dobrze — kiwnęła głową Maria. A potem zamruczała ze zrozumieniem — Ach, ten Zellehr... — odwróciła się tyłem i odeszła wzburzona od stołu, przy którym siedziała Paige. — Ty się nie przejmuj dużo. Ty nie zawracaj sobie uwagi nim. On cię unieszczęśliwi.

— Dlaczego, Mario?

— On diabeł czasem — wymamrotała pod nosem cicho, po czym głośniejszym głosem dodała: — Panienska Hildegahrda miała dużo throski z niego. Tak jak Senora Hrita.

— Mahria dużo gada, panienko Paige — do kuchni wszedł niespodziewanie Jose. — Ona nie wie, co mówi.

— Ty taki sam diabeł czasem — powtórzyła nie zrażona Maria. Zellehr ma napady, i nikt, nawet Jose, nie umie go zhrozumieć. Ty nie przeszkadzaj, Jose. Ja ostrzegam panienkę Paige. Kto wie, gdybym na czas ostrzegła panienkę Hildegahrde... Powtarzam, ty się strzeż Zellehra, panienko Paige! — Maria z twarzą pokrytą szkarłatnym rumieńcem z nożem kuchennym w dłoni ruszyła w kierunku męża, który stojąc w progu dawał jej znaki, by zamilkła. — Tak, to diabeł wcielony, jak mi Bóg miły!

Paige zastygła w przerażeniu.

— To tylko jakiś głupi sen. Ja tylko śnię — powtarzała w myślach histerycznie.

Nagle w kuchni zapanowała cisza. Oboje, Jose i Maria, spojrzeli na Paige, sami przestraszeni tym, co powiedzieli. Paige z pobladłą twarzą, trzymając się kurczowo blatu stołu wstała powoli z krzesła.

— Jose, jakiego rodzaju napady miewa pan Zeller?

— Ot, Mahria papla, co jej ślina na język przyniesie — powiedział Jose uśmiechając się niepewnie. — Zellehr złości się, jak inni. Nie ma się, co bać.

No, tak. Jose i Maria są tu zaledwie służącymi, a ona nie powinna nawet wchodzić do kuchni i kontaktować się z nimi w celu zasięgnięcia opinii na temat ich wspólnego pracodawcy. Zmusiła się do uśmiechu.

— Dziękuję ci za śniadanie, Mario. Przepraszam za kłopot, jaki ci sprawiłam.

— Nia ma kłopot — odpowiedziała głucho Maria popychając Jose do wyjścia. — Whracaj ścinać thrawę, Jose. Hrobi się późno.

Paige wyszła na patio.

— Przynajmniej jak Zeller wróci, niech myśli, że kornie na niego wyczekuję — pomyślała z dziwną satysfakcją.

Nie potrafiła jednak zaakceptować tak dwuznacznego stosunku do Zellera, którego ciągle uważała za wielkiego człowieka. Miał prawo do humorów. I nie jej, istocie tak marnej, przyjdzie oceniać jego zachowanie. To jej własna pycha popchnęła ją do bzdurnych wniosków, każąc wierzyć, że światowej sławy pisarz ma inny powód do zwrócenia jej uwagi na niestosowne zachowanie, aniżeli marne wyniki w pracy, którą jej zlecił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Skutek krytyki, jaką poczynił Zeller na temat jej pracy, okazał się daleko bardziej przykry. Przede wszystkim straciła zaufanie do własnych umiejętności zawodowych. Stenografowanie przychodziło jej z prawdziwą trudnością, co w konsekwencji prowadziło do coraz liczniejszych błędów i bardziej wytężonej pracy nad tekstem maszynopisu. Przypomniała sobie, z jakim zdziwieniem Zeller przyjął do wiadomości fakt, że wolała zjeść lunch sama w swoim pokoju. Oboje czuli się wtedy jednakowo zażenowani.

Margarita nie zjawiła się na obiedzie tego wieczoru. Paige i Zeller spożyli go samotnie na patio słuchając płyt, które pan domu wybierał ze swej ulubionej kolekcji. Tym razem" była to najbardziej ponura muzyka, jaką Paige kiedykolwiek słyszała, i z niedowierzaniem zerkała na Zellera, który zdawał się rozkoszować jej brzmieniem.

Po głównym daniu Zeller przeprosił ją i wyszedł do salonu. Nadzieja na opuszczenie stołu przed deserem prysła jak bańka mydlana. Musiała teraz czekać na jego powrót. Usłyszała, jak wtórował partii solowej z „Fausta”, a następnie z „Rigoletta”.

W końcu wrócił na patio i usiadł przy stole uśmiechając się do niej.

Ann Carter — Posłuchaj tego, dziecinko, czyż nie jest to dzieło sztuki? Zwróć uwagę na partię wiolonczeli, to prawdziwy majstersztyk!

— Proszę mi wybaczyć, panie Zeller — Paige wstała od stołu, starając się nie czynić przy tym żadnego hałasu. — Nie będę jadła dzisiaj deseru.

— Dlaczegoż to, moje dziecko — zerwał się gwałtownie z miejsca. — Mamy dzisiaj Cherries Jubilee. Nie możesz oprzeć się takiej pokusie. Sprowadziłem specjalny gatunek wiśni aż z Willamette Valley, nie mają sobie równych o tej porze roku! Proszę, nie odchodź — powiedział to tonem człowieka prawdziwie zranionego w swych uczuciach i Paige, zrezygnowana, na powrót usiadła przy stole.

— Myślę, że jednak nie powinnam, panie Zeller. W życiu nie zjadłam tylu deserów, ile w przeciągu ostatniego miesiąca.

— Wyjdzie ci to na zdrowie, moja droga — zaśmiał się. Jego śmiech zabrzmiał diabolicznie w nagłej ciszy, która zapanowała po skończeniu się płyty. — Zapalimy brandy, którą się go polewa. Pogasimy wszystkie światła, zostawiając jedynie małą latarnię sztormową — poderwał się z miejsca i zniknął w drzwiach dla służby prowadzących do kuchni. W chwilę później ogarnęła ją ciemność.

Płomień świecy w lampie sztormowej migotał i rzucał na kamienną posadzkę patio absurdalne cienie. Wyczuła, że Zeller uśmiecha się do niej. Zabrakło jej sił, by spojrzeć na niego. W tym momencie Jose wniósł płonący półmisek i stanął przy stole czekając, aż niebieskawy płomień dopali się do końca. Zapach płonącej brandy, mocna woń topiącego się wosku przytępiły uczucie skrepowania i podziały na Paige jak środek nasenny.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w skupieniu w słowa nie znanego francuskiego poematu deklamowanego przez Zellera. Automat nastawił kolejną płytę, ale tym razem zauważyła, że muzyka najwyraźniej przeszkodziła Zellerowi, bo wyłączył ją zniecierpliwiony.

Zmusiła się do spróbowania kilku wiśni. Jadła je wolno smakując ich niepowtarzalny aromat. Mimo wszystko posiłek był dla niej prawdziwą męką. W chwili gdy dobiegał końca, znad ciemnej linii oceanu wynurzyła się pomarańczowa kula księżyca. Dał się słyszeć dochodzący z oddali monotonny szum fal rozbijających się o piaszczysty brzeg i głuchy odgłos uderzanych miarowo przyplływem boi, stojących u wylotu do portu. Były to kojące uszy dźwięki, jakie niepodzielnie zapanowały w ciszy, która nastąpiła po wyczerpaniu nieskończonego na pozór zapasu płyt Zellera.

— Miałabyś ochotę na mały spacer po plaży?

— Dziękuję — niespodziewanie dla samej siebie powiedziała Paige. — Muszę popracować jeszcze nad maszynopisem.

— Jesteś dla mnie niedobra, moja droga. Proszę, nie chowaj w sercu urazy. Zachowuję się czasami jak tyran, przyznaję, ale musisz mi wybaczyć, bo wiesz, jak ważna jest dla mnie książka, którą piszę. Partrich robi awanturę o każdy, nawet najbłaższy błąd.

— Ależ, panie Zeller, myślę, że ma pan prawo domagać się rzetelnie wykonanej pracy. Przykro mi, że i dzisiaj popełniłam nieopatrznie kilka błędów. — Już raz go dzisiaj za to przepraszałam, pomyślała skruszona i dodała szczerze wzruszona: — Wiem, że jest to jedna z najważniejszych pańskich książek, i nigdy nie będę w stanie słowami oddać podziwu, jaki mam dla niej. Pragnę jedynie przekonać pana, że zrobię wszystko, by moja praca spełniła pańskie oczekiwania. Muszę jednak przyznać, że moja uwaga czasami bardziej skupia się nad treścią utworu, a nie, tak jak powinna, nad jego czysto techniczną stroną.

— Nie pracuj więcej dzisiejszej nocy, moje dziecko. Masz już dość na dzisiaj. Jeśli zarwiesz noc, nie będziesz mogła się jutro skupić przy pracy.

Oszczędzaj siły. Myślę nawet, że pojutrze nie będę pracował. Będiesz miała okazję nadrobić zaległości. A prawda, dostałem kolejny list od Lance'a Dały — zawiesił głos.

Paige bezwiednie pochyliła głowę i zamarła w oczekiwaniu.

— Chce, bym przeczytał sztukę osnutą na kanwie mojej powieści „Tysiąc dni”. No cóż, zrobię to w czasie weekendu, a może wybralibyśmy się z małą wizytą do San Marello w sobotni wieczór i zobaczyli próbę? Co ty na to? Zapewniam cię, że jestem świetnym sternikiem i znam każdą skałę w naszej starej zatoce. Mogę prowadzić łódź z zamkniętymi oczami, od portu do naszej przystani. Pojedziesz?

Zawahała się przez moment.

— Brzmi to zachęcająco, proszę pana.

— Ach, dajże spokój z tym „panem”, Paige. Mów do mnie po prostu Bertrand.

— Ależ... Doprawdy, nie wiem, czy śmiem...

— Nie śmiem... śmiem... Za kogo ty mnie uważasz? Jestem takim samym śmiertelnikiem jak inni, w dodatku nie zdążyłem się jeszcze nawet porządnie zestarzeć. Masz mi mówić Bertrand i tyle!

— Dobrze, Bertrandzie, skoro nalegasz... A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę do siebie na górę i korzystając z okazji, że nie muszę dziś już pracować, napiszę list do rodziców — czuła, że musi jak najprędzej uciec od niego. Przejście na ty z Zellerem uważała za niezbyt fortunne podsumowanie wieczoru. Więcej, było to prawie świętokradztwo i burzyło bezpieczną hierarchię stosunków panujących między nimi. Nawet żona Zellera zwracała się do niego od czasu do czasu per „panie Zeller”.

— Mimo wszystko to dziwna kobieta — pomyślała Paige idąc na górę schodami.

Na przekór prośbie Zellera jeszcze tego samego wieczoru zabrała się do pracy. Przepisała na bezszmerowej maszynie ponad pięć stron. Woląa mieć to za sobą jak najszybciej. Inaczej musiałyby wstać wcześniej rano, by to zrobić. W tekście roilo się od błędów. Nie chciała oddać mu maszynopisu do przegładnięcia w takim stanie.

Położyła się do łóżka późno. Po zgaszeniu lampy siedziała ponad godzinę w oknie patrząc na migoczące po drugiej stronie zatoki światelka portu San Marello.

Czuła wzbierający w niej niepokój. Na Wyspie Ptaków działo się coś dziwnego, co dotąd uchodziło jej uwagi. Przypomniała sobie, jak bardzo

obawiała się pierwszego spotkania z panią Zeller. Nieprzystępna i wyniosła Rita okazała się miłą towarzyszką wieczornego posiłku, jaki spożyły razem pewnego wieczoru. Było to zaledwie trzy dni temu... Paige nie widziała jej od tamtej pory. Dowiedziała się od Jose, że pani Zeller cierpi na atak potwornej migreny. Kiedy poprosiła go, by doręczył jej liścik, w którym ofiarowała się z pomocą, dostała raczej cierpką odpowiedź, „Nie potrzebuję niczego, dziękuję.”

Zaczął padać deszcz. Miarowy stukot pojedynczych kropeł spadających na blaszany dach nad oknem w końcu uspił Paige. Obudziła się późno. Na dworze wciąż padało. Z żalem pomyślała o pikniku, który nie mógł się odbyć. Przy takiej pogodzie Lance z pewnością nie będzie mógł dostać się na wyspę.

Tego dnia Zeller nie znalazł żadnych uchybień w jej pracy. Siedzieli w bibliotece aż do południa. Paige czuła, że znów jest w świetnej formie. Jej dłoń trzymająca ołówek unosiła się nad notatnikiem lekka i swobodna niczym ptak. Zeller od czasu do czasu wstawał zza biurka i przemierzał pokój wielkimi krokami nie przerywając dyktowania. Gestykulował, przy dialogach modulował głos.

— To ciekawsze niż teatr — pomyślała Paige, porwana wartką fabułą.

Tak bardzo była pochłonięta akcją, że nie zauważyła, jak dalece na zewnątrz zmieniała się pogoda. Słońce wciąż schowane było za grubą warstwą chmur. Nadciągał sztorm. Gdy tylko skończyła zapisywać ostatnie zdania, Zeller otworzył okno. Pochylił się głęboko nad parapetem i zerwał z płożącej się po ścianie róży pęk kwiatów.

— Przyjmij ten dar ode mnie, dziecinko. Byłaś wspaniała dzisiaj! — powiedział. Podszedł do Paige, wsunął jej w dłoń kwiaty i zacisnął ją mocno, niepomny ostrych kolców na łodyżkach róż.

Popatrzyła na niego w niemym zdumieniu, czując ciepłą strużkę krwi spływającą wzdłuż przegubu.

— Och! Kochanie, zraniłem cię, wybacz! — wyciągnął w pośpiechu nieskazitelnie białą chustkę i starł dokładnie z jej ręki krew. Następnie pocałował zranione miejsce.

Paige, drżąc, z pobladłą twarzą, wstała.

— To tylko lekkie draśnięcie. Muszę się natychmiast zabrać za przepisywanie.

Zeller odwrócił się do okna. Zaczął deklamować wiersz. Uśmiechnęła się. Spojrzała na zapisane kartki: Saraceni, srebrny Graal. Potem zobaczyła krew na swoim przegubie.

— Szalenciec czy gerusz, a może jedno i drugie...?— pomyślała, wiedząc, że nie potrafi rozwiązać kłębiących się w jej umyśle wątpliwości. Zebrała notatki i wymknęła się niepostrzeżenie z biblioteki zostawiając Zellera zwróconego ku oknu i zasłuchanego w poemat, który w natchnieniu recytował.

Niepokój, niezrozumiały i dręczący, towarzyszył jej w pracy przez dwa następne dni. Zauważyła zmienione zachowanie Zellera.

— Sprawia wrażenie, jakby miał lada chwila wybuchnąć — myślała patrząc na niego ukradkiem.

Całą uwagę starała się skupić na pracy, ale bez przerwy powracał do niej obraz twarzy Zellera w chwili, gdy zaciskał w jej dłoni pęk róż. Nie potrafiła znaleźć żadnego logicznego usprawiedliwienia dla jego postępuku. Musiał przecież wiedzieć o ostrych kolcach na łodyżkach róż.

— Robię z igły widły — pomyślała przytomniejąc i ze zdwojoną energią zaczęła przepisywać stenogram.

Skończyła na krótko przed piątą i zeszła do kuchni ciekawa, czy Maria upiekła bułeczki, o które prosiła Jose przy śniadaniu. Obok półmiska pełnego pachnących, świeżych bułek maślanych leżał smakowity kawałek placka z jagodami, miseczka z masłem, słoik domowych konfitur i pikli, a nieco dalej stał pusty wiklinowy koszyczek.

— Mario, jesteś wspaniała! Zadałaś sobie tyle trudu, dziękuję! Zawiadomiłaś panią Zeller, że nie będę, obecna przy obiedzie?

— Tak. Ona powiedziała bardzo dobrze. I tyle.

— Dziękuję ci. To na „Fundusz Anity” — położyła banknot dziesięciodolarowy na małym podręcznym stoliku. Wychodząc przyjaźnie poklepała szerokie ramiona Marii.

Przebrała się w luźną drelichową spódnicę i białą kretonową bluzkę. Strój uzupełniła lekką marynarką, na nogi założyła espadryle. Zobaczyła w lustrze swoje promienne odbicie. Błękit jej oczu idealnie stapiał się z kolorem marynarki. Z wdzięcznością pomyślała o Joan, która niemal wymogła na niej zakupienie kilku nowych ciuchów tuż przed wyjazdem na Wyspę Ptaków. Gdzie jest teraz Joan? Pewnie gdzieś w Szwajcarii, lato się dopiero zaczynało. Joan miała spędzić środek lata w Londynie, a po trzech tygodniach leniuchowania rozpocząć studia w Paryżu na Sorbonie.

Paige stłumiła w sobie rodzącą się tęsknotę za podróżowaniem. Wakacyjna praca i ciężące na niej obowiązki zaczęły jej nieco doskwierać. Odkąd poznała Lance'a, przestała żałować, że tu przyjechała. Schowała do kieszeni jedwabną chustę, na wypadek, gdyby musiała związać włosy.

Zarzuciła koszyk przez ramię i opuściła dom wyjściem dla służby. Wąska ścieżka zaprowadziła ją wprost w chłodny cień lasu. Mijając pierwsze drzewa niespodziewanie usłyszała głos Zellera i zobaczyła go nadchodzącego z przeciwnej strony.

— Byłem pewny, że mam przed sobą driadę wyłaniającą się z pnia drzewa!

— Żałuję, że nią nie jestem — odparła ze śmiechem.

— Zastanawiam się, które imię boginki pasowałoby do ciebie najbardziej. A może masz jakąś ulubioną?

Nie podchwyciła wezwania do dowcipnej dyskusji, wyteżając słuch w nadziei, że usłyszy zbliżającą się motorówkę Lance'a.

— Idę na plażę, gdzie umówiłam się z Lance'em Dały na piknik — postanowiła otwarcie stawiać sprawy, uważając, że jak każda młoda dziewczyna ma prawo spotykać się z chłopcem i nie czuć z tego powodu skrępowania.

— Nie zobaczymy się zatem przy obiedzie? No cóż, baw się dobrze. Nie ma to, jak być młodym i pięknym — zakończył, dwornym gestem wskazując jej drogę.

Paige pełna wdzięczności przeszła obok. Zeller skierował się ku domowi. Na szczycie niewielkiego pagórka Paige zatrzymała się i spojrzała za siebie. Z miejsca, w którym stała, widziała balkon przyległy do sypialni Zellera. Postać Margharity była niewyraźna i zamazana, a jednak Paige była przekonana, że patrzy na nią przez lornetkę. Odrzuciła od siebie tę myśl, niczym zbędny przedmiot, i pospieszyła w dół ku plaży. Teraz słyszała już zupełnie wyraźnie silnik w łodzi Lance'a, chciała go powitać, zanim zacumuje łódź.

— Zeller traci poczucie rzeczywistości — pomyślała przypominając sobie jego aluzje o driadach i boginiach. — A może jest tak pogrążony w świecie fantazji i iluzji, który sam przywołuje do życia w swoich powieściach, że człowiek żyjący w normalnym świecie i poddający się jego prawom wydaje mu się dziwny i niepojęty? — czuła, że gubi się w domysłach i wątpliwościach. Postanowiła nie zaprzątać sobie nimi więcej głowy dzisiejszego wieczoru.,

Wychodząc na plażę zobaczyła Lance'a cumującego łódź. Miał na sobie dzinsy i miękkie zamszowe mokasyny. Feerię barw hawajskiej koszuli skrywała stonowana w kolorze marynarka. Zachodzące słońce połyskiwało złocistymi refleksami w jego gładko zaczesanych włosach. Przerwał na chwilę wiązanie cumy i pozdrowił ją ręką.

Wyładował z łodzi przywiezione wiktuały, do których Paige dołączyła zawartość swojego koszyka.

— Musimy nazbierać dREW na ognisko, popatrz tam! — zobaczyła ślad po ognisku, którego nie było parę dni temu, gdy pływali w pobliżu. — No tak, miejsce jest zbyt piękne, by mogło należeć tylko do nas, pomyślała niechętnie.

Wkrótce nazbierali całe naręczą gałęzi leżących na plaży w zasięgu wzroku. Znaleźli kilka większych konarów, które niewątpliwie przyniosły fale ze stałego lądu. Lance ułożył je w dwa stosy obok siebie; jeden, mniejszy, miał służyć za palenisko do przygotowywania ciepłych potraw, drugi, większy, miał zapewnić im ciepło.

— To bardzo praktyczne podczas pikników na plaży — wyjaśnił, gdy Paige spytała, po co im dwa ogniska.

Upiekli steki na rozżarzonej drewnie, po czym Paige zagotowała wodę na kawę i przygotowała sałatkę. Lance rozłożył na piasku obrus i pomógł jej nakryć do posiłku.

— Dwóch wygłodniałych rozbitków przy pierwszym posiłku, który ratuje im życie — zaśmiał się Lance napełniając jej talerz po brzegi. Siedzieli na kikucie gigantycznego pnia sekwoi wyrzuconego na Wyspę Ptaków prawdopodobnie podczas sztormu.

— Mmm... Steki są wyborne — przyznała Paige. — Pewnie nie po raz pierwszy zdarza ci się je przyrządzać?

— To prawda, ma się praktykę! Ale nigdy nie robiłem tego w towarzystwie pięknej syreny. W dzieciństwie starsi bracia zabierali mnie czasem ze sobą na ryby. Zdarzało się nam podwędzić tłustego kurczaka z okolicznej farmy. Piekliśmy go na ognisku. Pewnego ranka mama znalazła ślady pieprzu i soli w moich kieszeniach i wszystko się skończyło.

Roześmiali się oboje. Paige opowiedziała, jak chłopcy w jej rodzinnych stronach wybierali się nocą na pola pełne dojrzałych arbuzów.

— A co nowego u naszego pisarza? — zapytał Lance, gdy pili kawę.

— Powieść robi się coraz ciekawsza i zaskakująca. To prawdziwy geniusz — powiedziała odwracając się plecami i krojąc jagodowy placek.

— Mówiąc o wilku, wybiera się do was na próbę i zaproponował mi, bym mu towarzyszyła.

Lance odstawił gwałtownie kubek z kawą na fajansowy talerz. Przedmioty zderzyły się ze sobą głośno.

— Nie możesz się wyłgać od tego?

— Dlaczego? — spytała zaskoczona patrząc mu wprost w oczy. — Już się zgodziłam. Bardzo bym chciała zobaczyć was przy pracy. Stanowicie wspaniały zespół.

— Niewątpliwie — Lance cisnął do morza kamyk, który trzymał w ręce. — W porządku! Przyjedź i oglądaj sobie. Chciałem tylko... — przerwał niespodzianie, i Paige pomyślała, że nie do końca chyba jest z nią szczery. — Miałem nadzieję, że przyjedziesz trochę wcześniej. Ale nie ma sprawy. Będę na ciebie czekał. W sobotę wieczorem. A może jednak zostałabyś na noc w hotelu? Zarezerwuję ci pokój. Jesteśmy umówieni na niedzielę, pamiętasz?

Pomyślała z ulgą, że uniknęłyby nocnej przejażdżki po zatoce z Zellerem. Był to jedyny powód, dla którego się zgodziła.

— Dobrze, zrób rezerwację. Zostanę na noc w hotelu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W kilka godzin później, kładąc się do łóżka, z przyjemnością wracała myślami do chwil spędzonych wspólnie z Lance'em na plaży. Księżyc niczym wielka lampa oświetlał srebrzystą poświatą drzewa, morze i grupę przybrzeżnych skał, przydając im zgoła nieziemskiej piękności.

Poruszali w rozmowie mnóstwo tematów, ona i Lance. Wspominali dzieciństwo, ulubione książki, sztuki teatralne, potrawy. Opowiadali o rodzinnych domach, wydarzeniach historycznych, strojach różnych epok, muzyce. Nader często wracali do spraw teatru. Wspominając dyskusje, jakie ze sobą toczyli, miała wrażenie, że czyta cudowną książkę. Na w pół zasypiając nie wiedziała już, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Choć nawet wtedy jednego była pewna: Lance istniał na pewno.

Obudziło ją słońce. Zerwała się z łóżka w przeświadczeniu, że zasnęła. Ubierając się zadzwoniła na Jose. Ten wniósł tacę ze śniadaniem w błyskawicznym tempie, jakby od dawna wyczekiwał w kuchni na sygnał z jej pokoju.

Mimo to Paige czuła się tak szczęśliwa, że nic nie było w stanie popsuć jej nastroju. Udało się jej nawet wejść na patio trzy minuty przed czasem. Zeller już na nią czekał. Zauważyła leżącą na stole depeszę.

— W przyszłym tygodniu będziemy mieć gości.

— Przyjeżdża twój wydawca, Partrich? — spytała ze zdziwieniem.

— Ależ skąd! Tylko nie Partrich! Paczka starych znajomych. Amiensowie, Delricksowie i Masonsowie. Pewnie słyszałeś o Charlesie Amiens,' sławnym aktorze, i Thomsonie Derlicks, globtroterze? Twarze z pierwszych stron gazet. Trzech wspaniałych mężczyzn, wraz z nie mniej wspaniałymi żonami, przylatuje do nas wprost z Nowego Yorku, skąd uciekają przed falą lipcowych upałów. A więc, przygotuj się na krótkie wakacje, wypełnione radością i zabawą. Żadnej pracy. Żadnych obowiązków. Zasłużyłaś sobie na to.

— A co z zapowiedzianą wcześniej wizytą pana Partricha w następnym tygodniu. Będzie lepiej, jeśli dopilnuję, by maszynopis był w nienagannym stanie.

— To jeszcze nic pewnego. W naszym domu zapanuje żelazna zasada powszechnej wesołości. Musisz i ty jej przestrzegać. Nie chcę cię widzieć z nieszczęśliwą minką, dziecino. Jose przygotowuje domek dla gości. Będę miał z tym trochę pracy — zamyślił się. — Tak, domek dla gości wydaje się

niezłym pomysłem, choć mogliby równie dobrze zamieszkać w oddzielnym skrzydle domu. Jest wystarczająco duży, by pomieścić nas wszystkich.

Paige uśmiechnęła się. Tak, dom mógłby pomieścić dwakroć tyle gości bez uszczerbku dla wygody jego mieszkańców. Była jednak ciekawa zdania Rity na temat nagłej wizyty aż sześciu niespodziewanych przybyszów.

Wspomniała jej imię, uświadamiając sobie, że nie widziała jej od kilku dni.

— Rita? Ma się całkiem dobrze. Dogląda swoich kwiatów w ogrodzie z tyłu domu. Nie wie jeszcze nic o ich przyjeździe — Zeller urwał w pół zdania. Jego oczy zwężyły się. — Powiem jej trochę później. Może po lunchu.

Paige zajęła swoje miejsce przy niewielkim stoliku. Przygotowała blok i zamarła z ołówkiem gotowym do notowania.

— Paige, musisz się bardziej przyłożyć. Znowu znalazłem w twojej pracy błędy. Stanowczo za dużo, bym mógł je zignorować. Zastanawiam się, jaka jest tego przyczyna; czyżbym narzuciła zbyt duże tempo, czy też po prostu nie czujesz się na siłach, by kontynuować naszą współpracę?

Zaskoczona ostatnią częścią pytania popatrzyła na niego i zauważyła, że celowo unikał jej wzroku. Pochylił się nad krzesłem i wolno wiązał sznurówkę w bucie.

— Skoro tak myślisz — głos miała jasny, opanowany — to chyba będzie lepiej, jak odjadę. W pełni cię rozumiem.

— Ależ wybij to sobie z głowy! Widzę, że nie wyraziłem się zbyt jasno. Miałem na myśli długość stenogramów, które codziennie przepisujesz. Mógłbym skrócić czas dyktowania, albo zacząć używać dyktafonu.

Nareszcie jakaś rozsądna propozycja. Faktem jest, że użycie dyktafonu usprawniłoby jej pracę. Paige od początku nie bardzo rozumiała niechęć Zellera do posługiwania się nim. Później pojęła, że lepiej mu się pracuje mając przed sobą żywą istotę, przed którą odgrywa sceny, śledzi jej reakcje. Paige w zdenerwowaniu gryzła wargi. W końcu przemogła się.

— Czy mógłbyś pracować dzisiejszego ranka z dyktafonem? Ja w tym czasie poprawię błędy i uporządkuję tekst.

Partia wczorajszego materiału sprawiła jej dużo kłopotu, bo choć zdążyła sprawdzić znaczenie wszystkich obcych słów i ich pisownię, to na przygotowanie wstępnych materiałów źródłowych do następnego rozdziału nie starczyło jej czasu.

— Nie, nie uważam tego za dobry pomysł — Zeller pokręcił głową. Ale postaram się dać ci trochę wolnego czasu, abyś mogła to spokojnie nadgonić.

— Popracuję nad tym dzisiejszego wieczoru i jutro. Jeśli pozwolisz, nie pojedę na próbę do San Marello w sobotę wieczorem.

— O, co to, to nie! Nie pozwolę na podobną nedorzeczność. Nie możesz pracować bez wytchnienia — machnął ręką z dezaprobatą i zapytał: — Możemy zaczynać? — po czym widząc jej przyzwalające skinienie, cichym, łagodnym głosem zaczął opisywać scenę otwierającą dialog.

Paige notowała zasłuchana. Straciła poczucie czasu i przestrzeni. Problemy chwili bieżącej przestały zaprzętać jej umysł, gdy patrzyła oczami wyobraźni na długą kolumnę chrześcijan maszerujących w kierunku świętego miasta.

Wybiła pierwsza, gdy skończył dyktować. Popatrzyła na niego z zachwytem.

— To bardzo piękne, Bertrandzie.

Oczy zajaśniały mu dumą z osiągniętego sukcesu.

— Cieszę się, że ci się to podoba. Wiesz, twoja opinia ma dla mnie niebagatelne znaczenie. Chciałbym, abyś mi przeczytała ten rozdział na głos koło czwartej. Uda ci się go przepisać?

Wstała, zbierając notatki.

— Myślę, że tak.

Powróciła do pracy po pospiesznie zjedzonym, lekkim lunchu. Przepisała najpierw ostatnie strony stenogramu. Potem przeglądnęła maszynopis, który spotkał się z tak ostrą krytyką Zellera tego ranka. Zauważyła kilka poprawek zakreślonych ołówkiem. Przyjrzała im się. Prychnęła z lekceważeniem. Trudno je było nawet nazwać błędami.

Zaintrygowana, przeglądnęła dokładnie maszynopis, strona po stronie. Przypomniała sobie szok, jaki przeżyła po pierwszej krytyce Zellera. Teraz wiedziała, że nie powinna tak się tym przejmować. Był najprawdziwszym tyranem, ot co! Mimo to nie znalazła dla siebie wystarczającego usprawiedliwienia za popełnianie czysto mechanicznych błędów. Zapatrzona w rzeczy istotnie ważne, nie zauważyła paru miejsc, w których zawiniła maszyna, źle wybijając litery lub przestawiając ich kolejność.

Poczuła, że wraca jej determinacja i chęć do pracy. Zebrała rozsypane luźno kartki, z niezłomnym postanowieniem, że przepisze je wszystkie na nowo do jutra rana. Zrobi to, choćby miała siedzieć całą noc.

Tego popołudnia Zeller promieniał. Paige odczytała na głos rozdział, który ukończyli przed lunchem. Czytając ostatnie zdanie zauważyła schodzącą po schodach Ritę. Miała na sobie białą dżersejową suknię, której krój i elegancja zapierały dech w piersiach.

Pomijając wszelkie formy powitania, odezwała się tak, jakby się widzieli zaledwie przed godziną.

— Bertie, kochany, kazałam nakryć do stołu w jadalnym. Zmarzlibyśmy na patio. Nad zatoką zbiera się gęsta mgła.

— A na łądzie pewnie piekący upał. Dziękujemy Bogu, że jesteśmy na wyspie. Żałuj, moja droga, że nie słyszałaś panny Maitland odczytującej ostatni rozdział mojej powieści. Jest bez wątpienia najlepszy. Przeczytaj jej dwie ostatnie strony, kochanie.

Rita zapadła w miękkości salonowej kanapy. Znajdowali się w pokoju zdominowanym przez elementy zdobnicze przywiezione z Hawai. Rita, w swojej białej sukni, na tle czerwono-białej ludowej narzuty, wyglądała jak pogańska bogini.

Paige poczuła ucisk w gardle. Wiedziała, że nie potrafi skupić się w obecności Rity.

— Mógłby pan to odczytać, zrobi pan to o niebo lepiej ode mnie?

— Jesteś zbyt skromna. No, dobrze. Podaj mi tekst, dziecko.

Zaczął czytać. Rita była pod wrażeniem przepięknego opisu przyrody wieńczącego rozdział.

— Czas na koktajle. Powinniśmy uczcić to osiągnięcie, nie sądzisz, moja droga? — zwrócił się do Rity.

— Bez wątpienia, Bertie. Zadzwoń na Jose, żeby je przygotował.

— Pozwól, że sam je przyrządzę. Będzie to coś specjalnego — oddalił się zostawiając je same.

Paige odczekała kilka minut, dając Ricie szansę, by przemówiła pierwsza. Dopiero widząc, że ta nie zamierza z tego skorzystać, zadała pytanie.

— Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze.

— Jakoś egzystuję w tym okropnym miejscu.

— Nie lubi pani wyspy? — Paige była zaskoczona.

— A powinnam...? Nudzę się tu jak mops. Z nudów uprawiam ogrodnictwo. Czy wie pani, jakie to otepiające zajęcie?

— Ale goście przyjeżdżają tu z prawdziwą przyjemnością. Ich przyjazd rozbija codzienną monotonię — ugryzła się w język. O mały włos, a wypaplałaby prawdę o telegramie, jaki nadszedł do Zellera rano.

— Podejrzewam, że psychiatra nazwałby rzecz po imieniu i zaliczył mnie do grona nieszczęśliwych kobiet. Goście nie są w stanie nic zmienić.

— Chciałabym pójść na górę przebrać się, jeśli pani pozwoli.

— Oczywiście. Policzek masz pobrudzony atramentem. Wspinając się po schodach, Paige zastanawiała się, czy Rita choć raz opuściła wyspę od momentu przyjazdu na nią. Musiała się tu czuć straszliwie osamotniona. Paige od czasu swego przyjazdu była jedyną obcą osobą, jaka pojawiła się w ich domu.

Umyła się pod prysznicem. Zdecydowała się założyć prostą suknię z żakietem z tego samego materiału, w drobny ciemny rzucik. Mogłaby zamiast żakietu ubrać krótkie bolerko, ale ponieważ suknia nie miała ramiączek, mogła się wydać zbyt frywolna o tej porze. Poza tym ilekroć pojawiała się z odkrytymi ramionami, Zeller nie spuszczał z niej wzroku. Krępowało ją to i postanowiła nosić w jego obecności tylko skromne sukienki.

Koktajle rzeczywiście miały przedni smak i wypila aż dwa. Nigdy dotąd tyle nie piła, ale Rita poprosiła o trzeci i Paige, chcąc nie chcąc, - dotrzymała jej towarzystwa. Maria przeszła samą siebie; kolacja była królewska. W ogóle cały wieczór był wyjątkowy. Rita i Zeller śpiewali. Paige akompaniowała im na dużym, pięknym fortepianie. Śmiali się i dowcipkowali. Był to najbardziej udany wieczór, jaki udało się Paige dotąd u nich przeżyć.

Sobotniego wieczoru wyruszyli do San Marelo, jeszcze przy świetle dziennym. Słońce chowało się w głębiny morza, gdy opuszczali przystań na wyspie. Zeller odbierając od niej mały neseser, do którego zapakowała parę niezbędnych drobiazgów, wyglądał na zaskoczonego.

— Poprosiłam Lance'a, by zarezerwował dla mnie pokój w hotelu. Chciałabym zostać na niedzielę w miasteczku.

— Szkoda, stracisz niezapomniane widoki, jakich dostarcza pływanie łodzią po skąpanej w księżycowym blasku zatoce. Tego się nigdy nie zapomina.

— Może innym razem. Lance i ja chcemy wyruszyć wczesnym rankiem.

— Żadnych wakacyjnych romansów, pamiętaj — pogroził jej palcem. — Lance to straszny nudziarz.

„Może dla ciebie — pomyślała zła — ale nie dla mnie”.

Silnik był niesamowicie i skutecznie gasił wszelką chęć do kontynuowania rozmowy. Paige patrzyła na niknący w dali rząd

prowizorycznych zabudowań z falistej blachy, wzniesionych na portowym nadbrzeżu. Mieściły się tam magazyny, gdzie przechowywano części do maszyn przetwórstwa rybnego i wyposażenie łodzi rybackich.

Zapach gnijących desek i pojawiające się w wielkiej obfitości na powierzchni wody wodorosty bezbłędnie zapowiadały bliskość doków w San Marelo. Przyjazne pokrzykiwania rybaków przedzierające się przez szum radiowej muzyki otoczyły ich nagle, gdy Zeller wyłączył silnik podchodząc wolno do brzegu.

— Łap cumę, chłopcze! — krzyknął Zeller do młodzieńca siedzącego na nadbrzeżu.

Chłopak złapał koniec liny i przywiązał do kamiennego słupa. Stał obok czekając na napiwek. Paige wysiadła z łodzi rozglądając się w nadziei, że zobaczy gdzieś Lance'a. Szedł już w ich stronę.

— Witam! — zawołał wesoło. — Dobry wieczór, panu! — dodał zwracając się do Zellera.

— Za każdym razem, gdy go widzę, jest przystojniejszy — pomyślała oczarowana Paige.

— Sądziłem, że będziesz czekał na nas w teatrze, Dały — odparł chłodno Zeller.

— Wszyscy już tam są, gotowi rozpocząć próbę. Czekamy tylko na wasze przybycie.

— Ciekawe, czy uda nam się przebrnąć choć przez pierwszy akt.

— Bez obaw, sir. Muszę się przyznać, że to już czwarta próba. Nigdy nie śmiałybym narazić pana na bałagan i zamieszanie towarzyszące naszym pierwszym próbom.

— Phi — prychnął zniecierpliwiony Zeller — strata czasu! Tekst trzeba zmienić w paru miejscach i będziecie musieli się go uczyć od nowa.

— Zrobimy to z największą przyjemnością, panie Zeller.

Szli wąską uliczką prowadzącą do centrum miasta. Paige zobaczyła rozległy budynek mieszczący salę widowiskową. Zaraz obok stał miejski hotel.

— Idźcie naprzód. Załatwię formalności w recepcji i zostawię swój bagaż, potem do was dołączę.

— Daj spokój, pošlemy kogoś z obsługi technicznej do hotelu z twoim bagażem — ścisnął jej ramię i poczuła falę ciepła emanującego z jego dłoni. Uśmiechnął się zaglądając jej w oczy. Szczęśliwa odwzajemniła uśmiech.

Zeller stał w otwartych drzwiach czekając na nich. Na jego twarzy malowało się wyraźne zniecierpliwienie. Przemknęła skruszona obok niego. Sala była mizernie oświetlona i bardzo zimna. Lance zostawił ich w pierwszym rzędzie.

— Zaraz zaczynamy! — krzyknął odchodząc.

— Zanudzą nas pewnie na śmierć, banda amatorów! Czekaj mnie co najmniej miesiąc ciężkiej pracy, by ich czegoś nauczyć.

Paige miała na końcu języka: „nie musiał się pan godzić na wystawienie tej sztuki”, ale przezornie milczała. Podniesiono kurtynę.

Przez następną godzinę Paige ani na moment nie spuściła wzroku ze sceny. Charaktery postaci były świetnie uchwycone, akcja potoczysta i wartka. Usłyszała, jak Zeller mruczy z zadowolenia. Odwróciła głowę i zobaczyła go pochylonego w przód pod naporem tłumionego napięcia. Nagle zerwał się z miejsca krzyżąc.

— Nie, nie, nie! On tak tego nie mówi. Spróbuj powiedzieć to w ten sposób!

Na scenie zapanowała martwa cisza. Zaskoczony aktor nie mógł dobyć głosu. Stał pośrodku sceny niczym słup soli. Zeller stanął obok niego i zaczął mówić. Teatr wypełnił się jego miękkim, wibrującym głosem. Aktorzy podeszli bliżej otaczając go zwartym kołem. Wygłosił długą mowę. Król tłumaczył swemu ministrowi, że nie zamierza spełniać dłużej żądań swego ludu. Zapanują nowe prawa, z woli i przykazania królewskiej osoby.

Zakończył mowę. Przez moment było cicho jak makiem zasiał, po czym sala zawrzała żywiołową reakcją. Klaskali wszyscy, i ci na scenie, i za kulisami. Widownia szalała.

Zeller zrobił półobrót i Paige zobaczyła jego zarumienioną ze szczęścia twarz.

Lance wyskoczył naprzód.

— To było wspaniałe! Jedna z dziewcząt zapisała każde pańskie słowo.

— Wracajmy do pracy! — Zeller usiadł w najbliższym fotelu i jeszcze kilka razy przed końcem pierwszego aktu instruował króla.

Po opadnięciu kurtyny Zeller i Lance wstali razem z miejsc.

— Wystarczy na dzisiaj! Na Jowisza, czuję się wyczerpany do cna. Chodźmy teraz gdzieś w spokojne miejsce i nanieśmy do tekstu poczynione poprawki.

Skierowali się ku bocznym drzwiom. Nagle Lance przypomniał sobie o istnieniu Paige i wrócił do niej.

— Chodź, przedstawię cię kilku moim przyjaciołom. Zabiorą cię ze sobą do garderoby j porozmawiasz tam sobie z nimi, a ja tymczasem popracuję z Zellerem.

Poznała dwie spośród dziewczyn i czterech chłopców. Sztuka miała zdecydowanie męską obsadę. Północ zastała ją w garderobie Mary Arnold, gdzie cała szóstka zgromadziła się przy wesołej pogawędce i filiżance kawy.

Paige nie zobaczyła już tej nocy Zellera. Lance wrócił cały czerwony i spocony. Wydawał się zgaszony i smutny.

— Musimy przerobić prawie całą sztukę — wydusił w końcu, nagabywany przez Dicka Chastaina, ciekawego wyników spotkania.

— Dobrze by było, gdyby zajął się tym sam Zeller — powiedziała marzycielskim tonem Mary. — Kitty będzie zdruzgotana na samą myśl o tym.

— Zabrał ze sobą tekst sztuki i sędzę, że sam dokona większości przeróbek.

Paige pomyślała o terminach, których Zeller miał dotrzymać. Prawdopodobnie zamierzał dzielić swój wolny czas w przyszłym tygodniu między zabawianiem gości a pracą nad sztuką. Zdecydowała, że tak pewnie będzie, i natychmiast przestała o tym myśleć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lance Daly siedział przygnębiony w swoim pokoju patrząc na oryginalny tekst sztuki leżący przed nim na stole. Całym sobą buntował się na myśl o pełnych ironii komentarzach Zellera na temat końcowej sceny drugiego aktu. Sam sobie był winien. Pamiętał dokładnie moment, kiedy to podczas próby czytanej zwrócił uwagę, że brzmi nieco sztucznie i amatorsko. Nie było to jednak żadną pociechą teraz. Chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić co do zasadności uwag autora.

Ostatni tydzień był czasem wyteżonej pracy całego zespołu. Obsadę dobrał szczególnie starannie, wiedząc, że Zeller jest wyjątkowo wymagający. Nigdy nie przypuszczał, że wynikiem tak pieczołowicie przygotowanego spotkania będzie sarkazm i ironia oraz konieczność przerobienia prawie całego aktu. Ich dramaturg wpadnie w panikę, Mary miała rację.

Mimo wszystko było to ciekawe doświadczenie. Z czasem nauczy się rozpoznawać tego rodzaju trudności i sprawnie je omijać, oszczędzając sobie bólu i momentów załamania. Pomyślał o Paige. To dobrze, że została na noc w hotelu. Była typem dziewczyny, który zawsze chciał spotkać. Ale nie sądził, że stanie się to tak szybko. Był stanowczo zbyt młody, by myśleć na serio o wiązaniu się z kimś na stałe. Małżeństwo odsuwał na „po trzydziestce”, wiek równie odległy, co przejście na emeryturę. Zawsze w biegu, zajęty bez reszty sprawami teatru, nie miał czasu na przelotne romanse. Och, oczywiście bywał na przyjęciach i piknikach, ale nie dał się porwać żadnej miłosnej przygodzie z dziewczętami z zespołów, z którymi pracował.

Paige zwróciła jego uwagę nie tylko atrakcyjną urodą. Była szalenie inteligentna, a jednocześnie ciepła i kobieca, jak mało która dziewczyna z jego otoczenia. Wywierała na niego przedziwny wpływ. Powierzył jej swoje najskrytsze marzenia, o istnienie których nawet siebie nie podejrzewał.

Zastanowił się, czy ekipa filmowa dotrze na premierę sztuki Zellera. Jeśli uda się im dobrze ją wystawić, istnieje duże prawdopodobieństwo, że kompania filmowa kupi prawa do jej sfilmowania. Może nawet dostałby pracę jako asystent reżysera, kto wie... Na razie musi mu wystarczyć możliwość współpracy z samym wielkim Zellerem. Iluż reżyserów oddałoby duszę diabłu za to!

Gdyby tylko Zeller zechciał przejąć funkcję producenta, choćby dla samej przyjemności bycia obecnym przy narodzinach swojej pierwszej sztuki teatralnej! Już raz to zrobił, gdy wystawiali dramat Maughama. Tamtego lata... Na jego twarzy pojawił się grymas tłumionego bólu. Wydarzenia z końca tamtego lata toczyły się nieskładnie i chaotycznie. Wreszcie udało im się dobrać do końca prób. W wieczór niecierpliwie oczekiwanej premiery zdarzył się tragiczny wypadek. Biedna Hildegarda, wszyscy zdawali sobie sprawę, jak dalece była nieszczęśliwa.

Małomiasteczkowe plotki, kilka luźnych uwag na temat zainteresowania Zellera dziewczyną wywarły nieprzyjemne wrażenie na Lansie. Tłumaczył sobie jednak, że Zellera pociągał talent dziewczyny, a nie ona sama. Jej niezwykła uroda zainspirowała młodego filmowca, który przybył tu pewnego dnia aż z Hollywood. Zeller prawdopodobnie starał się tylko pomóc dziewczynie. W końcu miał wszystko, o czym marzy zwykły śmiertelnik — międzynarodową sławę, piękną żonę i, jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, był szczęśliwy w małżeństwie.

A jednak pewne okoliczności wypadku nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Przypomniawszy sobie, że stary kapitan Morrison zniknął na jakiś czas zaraz po tym smutnym wydarzeniu i pojawił się na wyspie dopiero zeszłego lata. Mieszkał na wyspie od niepamiętnych czasów. Zawsze mówił o niej: Wyspa Zmarłych.

Był to stary, spokojny człowiek, życzliwy ludziom i zwierzętom. Lance nigdy nie ośmieliłby się wypytywać go o prywatne sprawy Zellerów.

Niepokój o losy sztuki ciągle mu towarzyszył, gdy wstał i golił się przygotowując do śniadania, na które umówił się z Paige w hotelu. Spojrzał przez okno na spokojną, skąpaną w porannym słońcu zatokę. Zapowiadał się piękny dzień. Odrzucił wszystkie smutki, postanawiając spędzić go przyjemnie.

Zaparkował samochód na hotelowym parkingu i wszedł do środka. Paige siedziała w hallu, przeglądając niedzielne gazety. Zaszedł ją od tyłu, kładąc znienacka rękę na jej ramieniu.

— Uwielbiam podrywać piękne brunetki — powiedział powstrzymując śmiech.

— Jak pan śmie...! — Paige zerwała się z miejsca jak oparzona, nie rozpoznając zrazu jego głosu.

— No, no! Nie bądź taka drażliwa, księżniczko! Rzucimy coś na zęba?

— O Boże! To ty Lance?! Nie mogłam się ciebie doczekać. Umieram z głodu. Odkryłam, że serwują tu bajeczne potrawy. Wszyscy goście opuszczają salę restauracyjną z takim błogim wyrazem twarzy, że z trudem powstrzymałam się, by tam nie wbiec samej.

— Nie traćmy zatem czasu. Ruszajmy!

Miła kelnerka usadowiła ich przy małym, okrągłym stoliku z bukietem świeżych fiołków pośrodku. Z namaszczeniem studiowali podane menu i Paige w końcu wybrała sok pomidorowy, gotowaną szynkę, rybę z rusztu i całe morze czarnej kawy.

Czekając na zamówione potrawy prowadzili luźną konwersację, starając się unikać wymieniania imienia Zellera.

— Jakies czterdzieści pięć mil stąd, jadąc w górę wiejską drogą, wyasfaltowaną, ale zupełnie wolną od wszelkiego ruchu kołowego, znajdują się ruiny starej misji. Chciałabyś tam pojechać? A może nie interesuje cię historia?

— Uwielbiam ją! Zwiedzanie zabytków to moje hobby, nie wspominałam ci o tym?

— Jest wiele rzeczy, których nie zdążyłaś mi o sobie powiedzieć — przyznał z uśmiechem zaglądając jej w oczy. — Spodoba ci się tam. Misję wzniesli franciszkanie, w czasach, gdy grasowali w tych okolicach piraci. Wiąże się z tym miejscem wstrząsająca historia. Dowiesz się więcej na ten temat z broszurek, jakie tam sprzedają. Zaprowadzę cię na stary cmentarz i poszukamy najstarszych grobów. Słyszałem, że są tam przykłady arcyciekawego pisma nagrobkowego. Misję zamieszkiwali również Indianie, których franciszkanie nawrócili na katolicyzm. Wielu z nich zostało pochowanych na kościelnym dziedzińcu. Budynki wzniesiono z kamienia dobytego z okolicznych kamieniołomów. Większość przetrwała do naszych czasów w nie naruszonym stanie, część niestety rozsypała się. Ale, o ile wiem, w przyszłym roku zaczną się tam prace nad rekonstrukcją całości.

Paige zasypała go gradem pytań na temat historii tego rejonu. Lance ze zdziwieniem skonstatował, że posiada wielką wiedzę na temat historii Kalifornii z okresu poprzedzającego wielką gorączkę złota.

Wsiedli do samochodu około dziesiątej. Paige ubrała na tę okazję błękitną sukienkę i Lance włączając motor zastanawiał się, co ma czystszy błękit: lazurowa zatoka rozpościerająca się u ich stóp, sukienka Paige czy jej oczy? Poczł wzbierającą w nim falę wielkiej czułości.

— To pewnie miłość — pomyślał — a ja nie jestem jeszcze gotów, by ją przyjąć. Chciałbym, by ta dziewczyna została moją żoną, ale będzie to możliwe dopiero za parę lat.

Popatrzył na nią zatrzymując samochód na skrzyżowaniu dróg. Paige uśmiechnęła się.

— Ożenię się z nią — postanowił. — Zrezygnuję dla niej z moich życiowych planów, jeśli będzie trzeba... i jeśli ona mnie zechce.

Ta wątpliwość napełniła go większą pokorą. Dodał gazu, by skoncentrować niespokojne myśli wyłącznie na prowadzeniu wozu.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dzień spędzony pośród ruin starej misji był dla obojga fascynującą przygodą. Po przybyciu na miejsce zaznajomili się dokładnie z jego niezwykłą historią, studiując z zapałem zawartość niewielkiej książeczki. Poszli potem na cmentarz, starając się odczytać daty i nazwiska na pociemniałych ze starości kamiennych płytach nagrobnych. Hiszpańskie nazwiska mieszały się z indiańskimi. Paige, zachwycona brzmieniem niektórych, zapisała je sobie w notatniku. Wnętrze starego monasteru zwiedzili w pobożnym skupieniu. Olbrzymie, spisane na pergaminie Pismo Święte ciągle tkwiło na miejscu wyznaczonym mu przed wiekami przy głównym ołtarzu. Dziś, dla pewniejszej ochrony przed zębem czasu, zamknięto je w szklanej kasecie. Kamienne tablice pamiątkowe i obszerne, tajemnicze krypty były najciekawszymi miejscami, jakie ostatnio udało się Paige zwiedzić.

Porwana atmosferą minionych wydarzeń, przeniosła się do innego świata i epoki. Dopiero w godzinę po opuszczeniu misji oprzytomniała. Jechali autostradą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Obiad zjedli w olbrzymim hotelu, gdzie dzięki przeszklonym ścianom jadalni ani przez moment nie rozstali się z widokiem oceanu.

Ceny zamawianych potraw wprawiły ją w zakłopotanie, ale Lance zdawał się nie zwracać na ten szczegół większej uwagi. Przydało to jego osobie nowych walorów. Oto siedział przy niej młody człowiek, który był w stanie zaspokajać swoją próżność, ilekroć przyszła mu na to ochota.

Wrócili do San Marello około czwartej po południu. Zaraz potem wymeldowała się z hotelu, zabierając stamtąd swoje rzeczy. Lance odwiózł ją na wyspę i pomógł zanieść bagaż do domu. W środku panowała niczym niezmacona cisza.

— Wygląda na to, że wszyscy ucięli sobie poobiednią drzemkę — powiedziała do Lance'a, kiedy oboje przechodzili przez patio.

— Tu się musimy pożegnać. Co byś powiedziała na nowy piknik w naszej zatoczce, powiedzmy, we wtorek wieczór? Przygotuję steki.

— Spodziewamy się gości, ale uda mi się chyba wymknąć.

— A może spotkamy się w teatrze tego wieczoru?

— Zgoda. O piątej? Musimy przesunąć nieco godzinę naszego pikniku ze względu na czas nocnego przypływu.

Przytaknął jej skinieniem. — Zostańmy na obiad w hotelu, tak będzie lepiej.

A więc byli umówieni. Paige była pewna, że Zellerowie będą tak zajęci gośćmi, że prawdopodobnie zyska ich dozgonną wdzięczność usuwając się im z pola widzenia.

Poniedziałek upłynął pod znakiem rutynowych zajęć. Zeller był zadowolony z postępu prac przy wprowadzaniu poprawek w drugim akcie swojej sztuki. Pracował nad tym przez weekend.

Po kolacji, którą spożyli na patio, odczytał obszerne fragmenty drugiego aktu w obecności Rity i Paige. Obie, szczerze przejęte, komplementowały go z zapalem.

— Wprowadziłem dwie postacie kobiece specjalnie dla was. Ta sztuka zaangażuje nas wszystkich w równym stopniu. Rita uszyje kostiumy według mojego projektu.

— A kto zajmie się gośćmi? — oczy Rity zdradzały zaniepokojenie.

— To żaden problem. Przygotowanie kostiumów nie zajmie ci więcej niż dwie godziny.

— Nie mam odpowiednich materiałów!

— Szuflady na strychu pełne są połyskującego metalicznie materiału. Świetnie się nadaje. Stroje będą długie i szerokie. Nie trzeba będzie ich dopasowywać do figury. Przychwycisz materiał tu i tam, w środku zwiążesz i ot, cała praca skończona.

— Wygląda mi to raczej na strój pątnika — ponurym głosem odrzekła Rita. — Nie zagram w tej sztuce, Bertrandzie, nie ma mowy.

— Mogłabyś choć raz spróbować, Rito! Ale nie ma sprawy, jeden ruch piórem i twoja rola przestaje istnieć. Albo zrobię inaczej — oddam ją młodemu Dały. Obsadzi ją, jak będzie chciał. Co do Paige, to nie ma drogi odwrotu. Musi zagrać! I nie będziesz tego żałować, dziecko. Rola daje wspaniałe możliwości!

— Nie wiem, czy sobie poradzę...

— Bez obaw. Będziesz świetna! Rozbuduję twoją partię w trzecim akcie. Nie będzie trudna do zapamiętania. Kilka linijek monologu, bardzo dramatycznego i dodającego swoistego smaczku całości. Zrobisz to dla mnie, prawda? — popatrzył na nią uśmiechając się, jego oczy niemal błagały. Paige poczuła, że nie ma siły odmówić, na przekór zdrowemu rozsądkowi, który podpowiadał, że nie starczy jej na to czasu.

Z drugiej strony, pomyślała, że będzie mogła częściej widywać Lance'a. A poza tym, czas najwyższy, by zacząć korzystać z przyjemności życia. Na studiach nie miała na to nigdy czasu.

Popatrzyła na Ritę. Ta odwróciła spojrzenie.

Spojrzała na Zellera. Hipnotyzował ją wzrokiem. Jej usta poruszyły się. Usłyszała ledwie słyszalne — tak...

— Świetnie! Popracuję nad sztuką jeszcze dziś wieczorem. Goście przejeżdżają jutro rano. Poproszę cię tylko o przepisanie na maszynie poprawionego tekstu. Oczywiście, tekstu sztuki. Spotkam się jutro z Dalym i przedyskutujemy razem ostatnie poprawki. Potem odbiorę gości z lotniska. Ich samolot przylatuje kwadrans po dziesiątej.

Rita rozgrzebywała widelcem sałatkę. Jej twarz była wyprana z wszelkiej emocji. Paige zobaczyła, że w jej gładko zaczesanych do tyłu włosach pojawiło się niespodziewanie pasemko siwizny.

Następnego ranka obudził ją silnik łodzi wyruszającej na ląd. Wstała i ubrała strój kąpielowy. Zaczynający się dzień zapowiadał się całkiem przyjemnie. Żadnego ślęczenia nad notatkami, żmudnego przepisywania. Czuła się bardziej zrelaksowana niż podczas jakiegokolwiek weekendu.

Stanąła w otwartych drzwiach kuchni owijając się szczelniej białym płaszczem kąpielowym. Rzuciła wesołe pozdrowienie Marii i Jose. Idąc w stronę plaży zauważyła szybującą ponad wierzchołkami świerków czapłę błękitną. Nagle zobaczyła nurkującego w jej kierunku jastrzębia. Ptaki starły się w śmiertelnej walce. Dziki wrzask, trzepotanie skrzydeł i niespodziewany finał: jastrząb oddalił się jak niepyszny. Oburzona czapła strzepnęła skrzydłami i powróciła do swobodnego lotu nad lasem.

Paige zostawiła sandały i płaszcz obok powalonego pnia sekwoi. Zanurzyła się w wodzie, chłonąc jej poranną rzeźkość całym ciałem. Zaczęła płynąć raz po raz zmieniając styl i szybkość. Wdrapała się na jedną ze skał okalających zatoczkę. Przypomniał się jej letni poranek, kiedy poznała Lance'a. Dała nurka pod wodę i opłynęła zatoczkę cztery razy. Zadowolona i zmęczona zdecydowała się wracać do domu.

Odwracając się w kierunku plaży, zaskoczona, zobaczyła Ritę siedzącą na pniu sekwoi. Pomachała jej ręką i Rita odwzajemniła pozdrowienie, nie spuszczając wzroku z płynącej do brzegu Paige.

— Masz niezły styl — na jej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Wyciągnęła w kierunku Paige paczkę z papierosami. Paige poczęstowała się jednym.

Siedziały paląc papierosy w ciszy. Paige niezdarnie próbowała nawiązać rozmowę, chwając uroki pięknego poranka, ale nie mogąc się doczekać nijakiego odzewu ze strony Rity, dała w końcu spokój.

— Nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać z tobą o pogodzie, Paige — odezwała się w końcu Rita, puszczając kółko z dymu.

Paige obserwowała je wznoszące się do góry, zastanawiając się, o co jej chodzi.

— Jest mi trudno o tym mówić, Paige — Rita popatrzyła na maleńki żaglowiec poruszający się hen, za linią horyzontu, czekając, aż zniknie całkiem z pola widzenia. — Moje życie u boku Bertranda nie należy do najłatwiejszych. Jest bożyszczem kobiet i wie o tym. Jedne fascynuje jego geniusz, drugie bez wątpienia pociąga jego olbrzymia fortuna, jeszcze inne uważają, że jest niezwykle atrakcyjny fizycznie. Większość dziewcząt, z którymi do tej pory pracował, zakochiwało się w nim po uszy. Liczę na ciebie, Paige, wydajesz się rozsądniejsza i bardziej wrażliwa od nich, nie pozwól sobie na to.

Paige poczuła, że blednie w poczuciu bezsilnej złości i poniżenia. Podniosła drżącą rękę. Zaciągnęła się papierosem i szerokim łukiem odrzuciła go ponad bielejącym w słońcu piaskiem. Popatrzyła na Ritę.

Siedziała nieruchoma z wzrokiem utkwionym w horyzont. Powoli odwróciła głowę i spojrzała głęboko w oczy Paige. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Paige zobaczyła przed sobą spokojną, smutną twarz doświadczonej kobiety. W kącikach jej oczu dostrzegła jakby odrobinę współczucia.

— Nie wiesz, co powiedzieć? Wcale ci się nie dziwię. Tak naprawdę nie musisz nic mówić. Jeśli urok Zellera złapał cię w swoje sidła, cóż, mogę ci jedynie współczuć. Ale jeśli nie, błagam, miej się na baczności i nie daj się.

— Ja... Do głowy mi nawet nie przyszło... — Paige zerwała się na równe nogi. — To śmieszne! Przyjęłam posadę asystentki z czystych pobudek. Sądziłam dotąd, że dobrze wywiązuje się z powierzonych mi obowiązków. Przyznaję, są momenty, kiedy zachowanie pana Zellera wydaje mi się niezrozumiałe. Ale nade wszystko jest wielkim pisarzem i ma prawo do drobnych ekscentryczności.

— Drobnych — uśmiechnęła się blado Rita. — Nie masz najmniejszego pojęcia, na czym polega jego ekscentryczność! Ulubione potrawy... Nikt oprócz niego nie może ich zjeść ze smakiem. Zauważyłam, że i ciebie

zaczęły irytować. Nie!... Nawet jeśli szczęśliwym trafem nie jesteś w nim zakochana, wkrótce on zakocha się w tobie.

Paige otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydostał się ze ściśniętego gardła.

Rita wstała. Uniosła wspaniale uformowane ramiona ponad głowę i przeciągnęła się rozleniwiona, jakby dopiero co skończyły pogawędkę na temat modnej książki, filmu czy śpiewanego przez wszystkich przeboju. Lekko i zgrabnie wkroczyła na ścieżkę prowadzącą na wierzchołek wzgórza i nie odwracając się zniknęła za zakrętem.

Paige bezwładnie opadła na pień. Skuliła się w sobie i długo siedziała nieruchomo, patrząc otepiałym wzrokiem na morze. W końcu podniosła się, zarzuciła na ramiona płaszcz kąpielowy, założyła sandały i wolno ruszyła w kierunku, w którym zniknęła Rita.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Paige, ku wielkiemu strapieniu Marii i Jose, nawet nie tknęła śniadania. Siedziała przy oknie w swoim pokoju patrząc na pogodne wody zatoki. Zastanawiała się, czy nie powinna zakończyć pracy z Zellerem, po tym, co usłyszała od Rity. W pełnym słońcu i przy blasku wody całe wydarzenie na plaży wydało się jej tyleż absurdalne, co nierealne. W końcu nie była pewna, czy sama go nie wymyśliła.

Okolo południa usłyszała łódź przybijającą do przystani i wkrótce cała okolica napełniła się śmiechem i pokrzykiwaniami przybyłych gości. Paige uprzedziła wcześniej Marię, że zje lunch w swoim pokoju i że wieczorem wychodzi. Po południu zajęła się uzupełnianiem zaległości przy przepisywaniu powieści Zellera i dopiero po dłuższej chwili doszły jej uszu radosne okrzyki z miejsca, gdzie pływała rano.

— Odkryli moją zatoczkę — pomyślała ze smutkiem.

Nie spotkała tego wieczoru ani Zellera, ani Rity. Oboje byli zajęci zabawianiem gości.

Kiedy dotarła do przystani o piątej, Lance już tam na nią czekał.

Widząc jej pobladłą twarz zapytał zaniepokojony, czy dobrze się czuje. Skwapliwie go zapewniła, że nic jej nie dolega. Pracowała dziś po południu i nie zdążyła jeszcze ochłonąć. Pozostała część wieczoru upłynęła w przyjemnym nastroju i Paige miała okazję uwolnić się od dręczących ją trosk.

Po obiedzie, zjedzonym w hotelu, Lance zabrał ją do teatru. Wystawiali drugą z przygotowanych na ten sezon sztuk. Obowiązki reżysera Lance przekazał swemu zastępcy, tak że oboje swobodnie mogli zająć się oglądaniem przedstawienia. Paige ucieszyła się widząc, że Lance nie zamierza zajmować się sprawami zawodowymi i całą uwagę skupia na jej osobie. Czowała, że jest na prawdziwej randce.

— Och, zupełnie bym zapomniał ci powiedzieć! — przypomniał sobie nagle, gdy w czasie antraktu popijali pepsa. — Zeller zaprasza cały nasz zespół na barbecue w sobotę wieczorem. Wszyscy mają tego dnia wolne, jak co tydzień, ale nikt nie odmówił przyjęcia zaproszenia. Ludzie nie mogą się wprost doczekać! Część z nich ciekawych jest gości przybyłych ze wschodniego wybrzeża, inni chcą zobaczyć, jak Zeller mieszka.

— Wszyscy będą się świetnie bawić, jestem pewna! Zeller przejdzie samego siebie, by sprostać temu wyzwaniu.

— Co roku zapraszał trupę aktorów do swojej posiadłości na wyspie. Przeszło to niemal w zwyczaj. Niemniej, kiedy dowiedzieliśmy się, że pracuje nad poważną powieścią historyczną, straciliśmy nadzieję, że znajdzie dla nas czas w tym roku.

Paige pomyślała o napiętych terminach Zellera. No cóż, znalazł się czas dla gości, dlaczegóż by przy okazji nie upiec dwóch pieczeni i nie zaprosić aktorów...

Gdy na widowni ucichły ostatnie bisy i kurtyna po raz ostatni powędrowała w dół, poszli razem za kulisy pogratulować aktorom. Paige roziskrzonymi oczami wpatrywała się w pozorny bałagan panujący w garderobie dziewcząt. Tu czuło się prawdziwy teatr. Rząd jasno oświetlonych lusterek, słoiczki z kosmetykami, przekrzykujące się dziewczyny pożyczające sobie nawzajem najdziwniejsze przedmioty, stopy kostiumów. Dziewczyny rzuciły się na nią żądne wiedzy o życiu na Wyspie Ptaków.

— Jak wygląda praca z tak sławnym pisarzem? — zapytała pewna złotooka piękność zapinając guziki przy spódnicy.

— Jest trudna i wyczerpująca. Zdarza się, że pracuję dziesięć albo i więcej godzin. Ale za to jest bardzo ciekawa.

— To musi być cudowne uczucie móc przebywać tak blisko niego — rozmarzyła się druga. — Słyszałam, że jest wielkim smakoszem, i że większość posiłków przygotowuje sam.

Paige uśmiechnęła się na wspomnienie przepysznych potraw Marii. Prawda, Zeller lubił sporządzać sam sałatki i komponować do nich wymyślne sosy. Dziewczyna czytała o tym pewnie w jakimś magazynie.

— A co z jego słynną z urody żoną? — spytała szczupła dziewczyna o ciemnych włosach.

— Pani Zeller jest opanowana, piękna i niezwykle elegancka — trudno ją opisać. Myślę, że stanowią dobraną parę.

— To wiemy, powiedz nam, jaka jest naprawdę, nie rób uników!

Paige roześmiała się.

— Hm... Zobaczycie ją wszyscy w sobotę.

— Nie chcę czekać tak długo! Moja siostra była tutaj, gdy wydarzyła się ta okropna tragedia z Hildegardą, i twierdziła, że pani Zeller miała z tym coś wspólnego — dodała ciszej Mary Arnold.

— I ja słyszałam mnóstwo plotek na temat tego wypadku — odezwała się znowu szczupła dziewczyna z ciemnymi włosami — wystarczająco dużo, by zacząć się zastanawiać, czy to w ogóle był wypadek...

— Czytałam, że to było samobójstwo — powiedziała opanowanym głosem ruda dziewczyna stojąc przy krześle i naciągając pończochę.

Garderoba zawrzała. Paige podniosła się, gotowa do wyjścia.

— Pan Dały czeka na mnie. Do zobaczenia wkrótce! Budynek opuściła wyjściem dla aktorów. Lance stał przy frontowych drzwiach i rozmawiał z grupą studentów, którzy mieli od przyszłego tygodnia wejść na scenę ze swoją sztuką. Czekala, aż skończy, gdy Lance niespodziewanie odwrócił głowę i zobaczył ją.

— Dlaczego nie podeszłaś do nas?

— Mamy dużo czasu, choć wiesz, przypomniałeś mi o przypiływie. Będzie lepiej, jeśli zaraz wyruszymy.

Płynęli przez gładką jak stół zatokę. Księżyc rzucał przed łódkę snop złotego światła. Było cicho, tylko z oddali dochodziło monotonne buczenie przybrzeżnej boi. Małeńkie światełka, zapalające się co sześć sekund, wyprowadziły ich bezpiecznie z portu.

W połowie drogi Lance zaczął śpiewać. Miał dobrze ustawiony, mocny głos. Przerwał na moment i poprosił Paige, by się przyłączyła. Zaśpiewali z pół tuzina piosenek, zanim dobili do piaszczystego brzegu plaży.

Lance wyszedł z łodzi, by ją zacumować. Paige wyskoczyła na brzeg zaraz za nim.

— Miałem zamiar pomóc ci wydostać się na brzeg. Jesteś zbyt samodzielna!

Wziął ją za rękę i oboje skierowali się wąską ścieżką prowadzącą w górę. Na szczycie objął Paige. Zatrzymali się patrząc na rozciągniętą u ich stóp zatokę. Czerwone światełko znajdujące się na szczycie zwodzonego mostu w San Marello gasło i zapalało się co trzy sekundy, w porcie wtórował mu rząd jarzących«się punkcików wzdłuż portowego kanału.

Ponad ich głowami, na patio, odbywała się spokojna biesiada. Lance delikatnie przyciągnął do siebie Paige. Spojrzał na jej twarz skąpaną w księżycowym blasku. Potem ją pocałował.

To był długi pocałunek. Paige słyszała bicie jego serca.

— Paige, Paige... — westchnął, wypuszczając ją z objęć. Wzięli się ponownie za ręce i ruszyli dalej. Paige czuła niewypowiedzianą słodycz przepelniającą ją na wskroś. Nie pozwoliła mu wcześniej na pocałunek, ale

dzisiejszego wieczoru przyjęła go szczęśliwa i odpowiedziała nań całym sercem.

— Zboczmy nieco ze ścieżki, by ominąć patio. Nie chcę się spotkać z nimi.

— Okay, kochanie. Zrobimy, jak mówisz. Przytrzymał gałęzie i pomógł jej przecisnąć się obok.

Ostatni odcinek lasu pokonali w milczeniu. Oczom ich ukazało się rześkie oświetlone patio z siedzącą wokół stołu sześćoosobową grupą gości i obojgiem Zellerów. Widzieli dokładnie wszystkich, sami pozostając niewidzialni. Rita siedziała przy końcu stołu ze znudzoną miną. Zeller z dwoma innymi mężczyznami prowadził poważną dysputę. Obok niewielka grupa grała w kanastę, pozostałe osoby słuchały płyt. Większość trzymała w rękach szklaneczki z drinkami.

— Oto, jak wyobrażam sobie życie nudzących się bogaczy — powiedział z sarkazmem Lance.

— Nie jest to takie złe, jeśli sam w tym uczestniczysz!

— A jednak jest to dla mnie stratą czasu. Zresztą, co tam! Pozwólmy im się cieszyć na swój sposób. Myślisz, że będziemy tacy sami za dziesięć lat?

— Skąd możemy to wiedzieć? — odparła śmiejąc się. Stali przy kuchennych drzwiach.

— Masz klucz?

Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Pochyliła się w przód i zanim zorientował się, co robi, pocałowała go.

— Piękne dzięki za cudowny wieczór, Lance! — a w myśli dodała: — Dzięki tobie odzyskałam równowagę.

Wiedziała, że był zaskoczony jej pocałunkiem. Szybko weszła do domu.

— Spotkamy się jeszcze przed sobotą, Paige? Może popływamy razem któregoś poranka?

— Oni odkryli naszą zatoczkę. Ale wybierzmy się może na piknik w czwartek wieczorem. Pójdziemy dalej, w głąb plaży.

Uzgodnili, że spotkają się u początku leśnej dróżki w zatoczce, wezmą łódkę i popłyną jakąś milę w kierunku północnym, do ujścia niewielkiego strumyczka, który odkryli pewnego dnia.

Idąc do swojego pokoju pomyślała, że Lance ani słowem nie napomknął o roli, jaką stworzył dla niej w swojej sztuce Zeller. A może, co wydawało się trochę dziwne, Zeller nie powiedział mu jeszcze o tym? Faktem było, że starali się oboje unikać w rozmowie tematów związanych z Zellerem.

Przypomniała sobie pocałunek Lance'a. Otworzyła drzwi swojego pokoju. Zobaczyła zapaloną lampkę przy łóżku. Maria i Jose pomyśleli o wszystkim. Jose zostawił jej wiadomość. „Śniadanie o dziewiątej na patio”, przeczytała z westchnieniem. Wiedziała, co to znaczy: Zeller ma dla niej jakąś pracę.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyspa Ptaków przeżywała prawdziwą inwazję. Domek dla gości wraz z całym skrzydłem budynku głównego szczelnie wypełniły się niespodziewanymi przybyszami. Do sześciu zaproszonych ze wschodniego wybrzeża gości w środę wieczorem dołączył Randolph Cary z żoną Betty oraz trzy inne pary, które przyleciały razem wprost z Santa Barbara.

Na wyspie zapanował niepodzielnie czas zabaw i swawoli. Ciche, leniwie płynące godziny zmieniły jakby wymiar i umykały niepostrzeżenie pośród ogólnej wesołości i bez troski, głośniejszej muzyki i konwersacji, gry w kanastę i pływania. Raz, czy dwa, ktoś ambitniejszy próbował wieczorem rozegrać na patio partyjkę brydża, ale wkrótce zaniechano dalszych prób, uznając grę za zbyt monotonna. Zdarzało się, że mężczyźni znikali z pola widzenia pań, pochłonięci bez reszty pokerem. Ale na ogół całe towarzystwo zgodnie i z zapałem oddawało się sportom wodnym i towarzyskim grom plenerowym.

Paige pogodzona z hałasem i powszechnym zamieszaniem pracowała jednocześnie nad tekstem powieści i sztuki Zellera. W czwartkowy wieczór, gdy goście przebierali się do obiadu, cicho wymknęła się z domu. Na plaży czekał na nią Lance. Z dala od Zellerów i ich gości spędzili cudowny wieczór. Paige szczęśliwa syciła się ciszą i spokojem. Tam w domu, siedząc przy stole, musiałaby słuchać zdawkowych rozmów rywalizujących ze sobą dam, udawać, że pije lejące się strumieniem wino, i cierpliwie znosić natarczywe spojrzenia znudzonych mężczyzn.

— Chciałabym, żeby nadeszła jak najszybciej niedziela i żeby wszyscy się wynieśli do stu diabłów! — powiedziała Paige myśląc z niechęcią o powrocie, gdy wyciągali łódź na piaszczystą plażę wróciwszy z krótkiej przejażdżki po zatoce. Dochodziła dziesiąta. Ponad ich głowami rozbawione towarzystwo głośno fetowało kolejny wieczór. Rozejdą się prawdopodobnie koło drugiej nad ranem. Większość pań wstanie koło południa. Panowie zaś, obowiązkowo stawiawszy się na śniadanie, spędzą ten czas wałęsając się po okolicy, łowiąc ryby, grając w golfa lub przeglądając poranną prasę, bez której nawet tu nie mogli się obejść.

— Współczuję ci! Musi ci się bardzo trudno pracować w tym rozgardiaszu.

— To prawda. Hałas bardzo utrudnia mi pracę. Ale to wkrótce się skończy. Nadrobię zaległości w przyszłym tygodniu. Mam prawie całą

pierwszą część rękopisu gotową dla wydawcy Zellera. Ma przyjechać w przyszłym tygodniu, w sobotę chyba.

— My także się spotkamy w sobotę, o piątej trzydzieści — przypomniał jej Lance całując ją na pożegnanie przy kuchennych drzwiach. Raz jeszcze uniknęli przejścia przez zatłoczone patio.

Paige niecierpliwie wyczekiwała nadejścia soboty. Pogodny poranek zapowiadał wspaniałe barbecue. Jose i Maria ustawili ławy i stoły dokoła ogromnego kamiennego paleniska. Miejsce to, oddalone od domu o jakieś sto jardów, znajdowało się na skraju cienistego zakątka ogrodu, graniczącego z rozpościerającym się szerokim łukiem lasem. Jakby tego było mało, dla pewniejszego zabezpieczenia przed palącymi promieniami słońca rozpięto markizy ogrodowe, pod którymi ustawiono podręczne barki, pełne kuszących przekąsek i aperitifów. Pomysł zaproszenia na przyjęcie „bandy dzieciaków” nie przypadł do gustu wielu gościom. Paige niechętnie była świadkiem rozmowy, podczas której umawiali się na wypad do San Marello. Zastanawiała się, jak to przyjmą aktorzy, ale nie powiedziała nic Zellerowi, który tuż przed ich przybyciem oznajmił, że część z obecnych tu gości opuści przyjęcie tuż po kolacji.

Aktorzy przyплыли dwiema dużymi motorówkami, punktualnie o piątej trzydzieści. Dziewczęta miały na sobie kolorowe letnie sukienki, chłopcy dżinsy i lekkie marynarki. Byli podnieceni i przejęci.

— Boże! Jacyż oni młodzi i piękni! — powiedziała siedząca obok Paige kobieta. — Czuję się przy nich jakbym miała sto lat!

Paige z zadowoleniem przyglądała się ładnym dziewczęcym buziom i zgrabnym sylwetkom chłopców.

— To wyjątkowi ludzie, pani Simone. Zdolni, wykształceni i obcy. Zapewniam panią, że umieją się również świetnie znaleźć w towarzystwie. To nie są rozhukane małomiasteczkowe małolaty — Paige nie potrafiła odmówić sobie odrobiny złośliwości, bowiem jej sąsiadka najgłośniejsz ze wszystkich namawiała do rychłego opuszczenia przyjęcia.

— Ten młody człowiek w brązowym garniturze jest wprost boski. Kto to taki?

— Lance Dały, asystent reżysera. Bardzo zdolny. Ma przed sobą wspaniałą przyszłość — odparła Paige, myśląc o czczych komplementach, jakie prawily sobie przy byle okazji kobiety. Tymczasem pani Simone uważnie przyglądała się Lance'owi.

Paige przedstawiła ich sobie. Podeszło do nich kilka osób. Po chwili pani Simone, oczarowana i zasłuchana w to, co cierpliwie jej tłumaczył Lance, sprytnie oderwała go od reszty towarzystwa i pod pozorem pokazania mu widoków z tarasu zniknęła z nim z ogrodu. Paige poczuła lekkie ukłucie. Nie miała czasu na długie rozpamiętywanie tego wydarzenia, porwana w wir towarzyskich obowiązków. Tu i ówdzie dokonywała prezentacji, kątem oka doglądała, by prace nad przygotowaniem kolacji miały sprawny przebieg. Zeller i Rita nie zeszli jeszcze do ogrodu, choć większość gości już tam była. Paige z ulgą dostrzegła, że wszyscy, bez wyjątku, zaczęli świetnie się bawić.

Z olbrzymiego grilla zaczął unosić się smakowity zapach pieczonych steków i kurczaków, przyciągając co głodniejszych uczestników garden party. Gromadzili się wokół paleniska, sącząc wolno drinki i zajadając kolorowe kanapki. Bezbłędnie wyczuli zbliżający się kulminacyjny moment przyjęcia.

Służba wniosła parujące kolby ugotowanej kukurydzy, francuski chleb czosnkowy o wypieczonej, chrupiącej skórce, sałatki jarzynowe oraz imponujących rozmiarów szklane wazy z mrożoną herbatą i kawą.

Pani Simone i Lance powrócili do ogrodu w momencie, gdy Jose w białej marynarce i rękawiczkach uroczyście obwieścił zebranym otwarcie bufetu.

— Proszę ustawić się w kolejce po mojej lewej stronie — zakomenderował jeden z mężczyzn. — Mam parę z panną Paige, a ty Dolly?

— Z Lance'em Dały, jeśli zdołam go wydrzeć Rebie. Pani Simone uśmiechnęła się słodko: — Jest mój, zobaczyłam go pierwsza!

— Prawdziwy balsam dla mojego ego — rzucił rozbawiony Lance.

Wkrótce wszyscy znaleźli dla siebie partnerów i rozpoczęto rozdawanie porcji. Z pełnymi talerzami goście zajmowali miejsca przy stolikach, na pniach powalonych przez ostatnią wicherę drzew, lub gdziekolwiek w obrębie rozścielającego się na trawniku cienia. Paige spojrzeniem odszukała Lance'a. Spokojny i opanowany, grzecznie spełniał zachcianki pani Simone. Jego zachowanie cechowała troska o partnerkę. Paige patrząc na panią Simone domyśliła się, że ta gubi się w domysłach nie wiedząc, czemu przypisać dworność Lance'a: swojej urodzie i wdziękowi, czy też jego doskonałej kindersztubie.

Partner Paige wciągnął ją do rozmowy. Jedzenie było wyśmienite. Nie jadła prawie nic od lunchu, zajęta przygotowaniem. Delikatnie

przyprawione mięso i przystawki smakowały wybornie. Rita i Zeller pojawili się, gdy kończono rozdawać porcje. Rita wydawała się niezwykle blada i jakoś dziwnie zgaszona, Zeller, przeciwnie, promieniał humorem. Troskliwie doglądał gości, czuwał, by Jose i Maria donosili brakujące potrawy.

Uczta przeciągnęła się ponad godzinę. W końcu apetyty zostały zaspokojone i goście zaczęli się rozglądać za innymi rozrywkami. Towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupy. Jedna odsunawszy na bok meble i zwinawszy dywany, zamieniła ogromną jadalnię w salę taneczną. Druga zebrała się wokół Zellera słuchając opowieści o wspaniałym safari, jakie odbył dwa lata temu w Południowej Ameryce.

Paige i Lance nareszcie mogli usiąść razem i spokojnie porozmawiać.

— Widziałem, jak starałaś się zabawić pewnego siwowłosego potentata przemysłowego z Filadelfii — zaczął Lance biorąc ją za rękę.

— Doprawdy? — spytała z niewinną miną. — Z miejsca, gdzie siedziałam, dokładnie mogłam śledzić poczynania pani Simone.

— To nieszczęśliwa istota. Mam nadzieję, że wniosłem nieco radości w jej monotonne życie — Lance wyszczerzył zęby. — Ma tylko jeden luksusowy jacht, dwa domy w mieście i jedną posiadłość wiejską. Biedactwo! Przywykła do przebywania w towarzystwie maharadży, następcy brytyjskiego tronu i jego uroczej małżonki, cierpi więc niewymownie skazana na nasze towarzystwo.

— Bujasz! Nie mogłeś się tego wszystkiego dowiedzieć w godzinę i dziesięć minut.

— Nawet się nie starałem. Lady gadała jak najęta. Reszty domyśliłem się z przejrzystych aluzji. Hej, czas dołączyć do innych! — jego twarz nagle spoważniała. — Nie sądziłem, że mogę zazdrościć innym ich bogactwa i zaszczytów... Dlaczego jedni dostają w spadku kolosalne fortuny, nie splamiwszy nigdy rąk pracą, a drudzy, tacy jak moi rodzice, tyrają codziennie po dziesięć, dwanaście godzin, by zapewnić sobie i swoim bliskim jaką taką egzystencję?

Paige przyjrzała mu się z bliska.

— Jak myślisz, kto jest szczęśliwszy: twoja matka czy pani Simone?

— No dobra, poddaję się. Praca uszlachetnia. Masz absolutną rację. Pomówmy może raczej o sztuce Zellera. Doszły mnie słuchy, że masz w niej zagrać. Cieszę się, bo podziela to na mnie jeszcze bardziej inspirująco. Oczywiście Zeller nawet mnie o tym nie raczył powiadomić. Sam się

zorientowałem z dopisanych fragmentów tekstu w rękopisie. Musisz to dobrze zagrać.

— Nie wiem, czy sobie poradzę.

Dyskutowali nad szczegółami roli przez kilka minut, ale Paige nie mogła się spokojnie skupić nad tym, co jej mówił. Patrzyła na jego włosy i oczy i pomyślała, że jest w tej chwili bardzo podobny do Stinga. Zachichotała na myśl, jaki byłby zły, gdyby wiedział, o czym ona teraz myśli.

Barbecue okazało się wielkim sukcesem. Żaden z gości deklarujących wcześniej chęć ucieczki z przyjęcia nie opuścił go do końca. Zebrani w większe i mniejsze grupki prowadzili ożywione rozmowy z młodymi, zaskoczeni ich erudycją i odczytaniem. Imponował entuzjazm, z jakim młodzi adepci sztuki gotowi byli podjąć każdy temat.

Parę dni później, po wyjeździe gości, Paige odetchnęła z ulgą. Odzyskała upragniony spokój. Pierwszy miesiąc pracy na wyspie dobiegał końca. Z całym przekonaniem mogła go zaliczyć do udanych pod każdym względem. Gdzieś na dnie duszy czaił się jednak dziwny niepokój, zrodzony przez zaskakujące ostrzeżenie Rity, rzucone Paige niby wyzwanie. Paige odrzucała od siebie irracjonalne pomówienia, starając się skoncentrować całą uwagę na pracy. Niemniej, ilekroć znalazła się w towarzystwie Rity, czuła na sobie ciężar jej spojrzenia. Napięcie między nimi rosło.

Praca nad książką posuwała się nadzwyczaj szybko. Zeller, wypoczęty i pełen inwencji, tryskał wprost pomysłami. Udało mu się przerobić całą sztukę i zwrócić ją w poniedziałek rano Lance'owi. Teraz bez przeszkód mógł się, wraz z Paige, oddać pracy nad powieścią.

Pomimo nawału zajęć Paige i Lance spotkali się dwukrotnie wcześniej rano w zatoczce, a nawet w czwartkowy wieczór udało mu się zabrać Paige na jedną z prób do San Marello. W sobotę po południu wynajęli łódź motorową i wypłynęli na pełny ocean. Mieli zamiar łowić ryby. Paige była bardzo przejęta. Nigdy przedtem nie łowiła ryb wprost z łodzi tak daleko od brzegu. Na szczęście mieli sternika, który przejął łódź na czas, gdy oni pochłonięci sobą i przygodą nie zważali na cały świat.

W kilka godzin później, tego samego wieczoru, wracając na wyspę, Paige przypomniała sobie: — Z pewnością wydawca Zellera, Partrich, i jego żona już tam są. Zeller miał ich odebrać z lotniska o czwartej.

— Czy jego przyjazd oznacza więcej czy mniej pracy dla ciebie?

— To zależy, ale sądzę, że więcej. Maszynopis jest bez zarzutu, ale spodziewam się wielu zmian, i to głównie autorstwa Zellera, choć

zastrzegając się już na wyrost, że Partrich uwielbia uprzykrzać mu życie i poprawiać jego pracę. Myślę, że to niewinne kłamstwo podyktowała mu nadmiernie rozbudzona miłość własna. Wybaczam mu to, bo jest rzeczywiście wspaniały.

— To prawda! Jest prawdziwym mistrzem i śmiało mógłby konkurować o palmę pierwszeństwa z którymkolwiek z żyjących w Europie wielkich pisarzy. Wiesz, myślę, że jego książki przetrwają wiele burz dziejowych, zachowując świeżość i autentyczność, tak jak dzieła najwybitniejszych artystów.

— Mocno powiedziane, ale w pełni się z tobą zgadzam. Mam szczęście, że mogę na co dzień obserwować go przy pracy. To niezapomniane chwile!

Dwa dni później Paige przypomniała sobie, jak żywo, tę rozmowę. Partrich był zachwycony powieścią i wychwalał pod niebiosa talent literacki Zeller.

Zeller łaskawie przyjmował pochwały, ale rzucał się jak poparzony na każdą, choćby najniewinniejszą, próbę krytyki.

— Kompletnie nie mogę rozgryźć tego człowieka! Mówię mu, co jest zresztą zgodne z prawdą, że od lat nie spotkałem tak świetnie napisanej prozy, wskazuję miejsce, które mógłby jeszcze udoskonalić, a on wpada w szal — głos Partricha zdradzał wyraźne rozdrażnienie. Mieszkał z żoną w pokoju obok Paige, i przy otwartych oknach, chcąc nie chcąc, słyszała ich podniesione głosy.

Daphne, którą Zeller nazywał Baryłą poza jej plecami, odparła z właściwą sobie prostolinijnością: — Alboż czy wszyscy pisarze to nie szaleńcy? Ja to wiem, ty to wiesz, wszyscy to wiedzą...

— Przestań, Daphne. Mówisz jak nie douczona nastolatka. To ciężki kawałek chleba, w dodatku chodzi tu o powieść historyczną, a to wymaga dokonania wielu syntez i szczegółowych badań źródłowych. Zeller jest w tym niezastąpiony. Stworzył arcydzieło, ale w tym jednym miejscu, z czysto merytorycznych powodów, powinien dokonać niewielkiej przeróbki, dla własnego dobra.

— Kochany, a może tym jednym jedynym razem to on ma rację...?

Paige uśmiechnęła się i przymknęła cicho okno. Wiedziała, że się nie mylił. Partrich dopatrywał się drobnej nieprawidłowości w sposobie rozwinięcia pewnego problemu, na który Zeller miał krańcowo odmienny pogląd. Miała jednak nadzieję, że zdążą to sobie wyjaśnić do rana, w

przeciwnym wypadku szansa, że Zeller coś potem zmieni, była raczej mizerna.

Następnego ranka Daphne i Rita odleciały do Seattle, skąd miały pojechać dalej aż do Lake Louise.

— Zabiorę ją jak najdalej, nie martw się — zapewniała Rita dzień wcześniej załamane na wieść o jej przyjeździe Zellera.

W domu panował błogi spokój do końca tygodnia. Zeller po pierwszym wybuchu złości poddał się skruszony woli Partricha i w ciągu jednego przedpołudnia przerobił żądany fragment powieści. Partrich, rad z odniesionego zwycięstwa, nie zwracał mu głowy pomniejszymi wpadkami, które, jak to wyjaśnił Paige, łatwo mogą zostać wyeliminowane na miejscu w redakcji.

Lato miało się ku końcowi. Premiera sztuki Zellera została ustalona na ostatni tydzień sierpnia. Pozostałe dwa tygodnie przeznaczono na codzienne próby i przygotowanie kostiumów.

Rita i Daphne zrobiły rundę po wszystkich renomowanych kąpieliskach, zanim powróciły na dobre do domu. Partrich, zachwycony przyrodą i spokojem niepodzielnie panującym na Wyspie Ptaków, został dłużej, niż to początkowo planował. Paige i Zeller systematycznie, krok po kroku, posuwali się każdego ranka dalej ku końcowi powieści.

— Dziecino, obawiam się, że znowu zmuszam cię do wyteżonej pracy. Wysypiasz się chociaż?

— O tak! Wcale nie czuję się aż tak zmęczona! — odparła. Choć w głębi duszy czuła znużenie pracą, która, jak słusznie przypuszczała, nie zakończy się przed rozpoczęciem jesieni. Krzyżowało to trochę plany, jakie poczynili wspólnie z Lance'em. Chciał, by zapisała się na podyplomowe studium dla scenarzystów filmowych na uniwersytecie w Berkeley. On sam złożył podanie o pracę asystenta reżysera w pobliskiej wytwórni filmowej. Tym sposobem, mieszkając blisko siebie, mogliby się częściej widywać.

— No i, wykorzystując sąsiedztwo wytwórni, mogłabym się zaczepić gdzieś przy jakimś zespole opracowującym scenariusze — dodała rozentuzjasmowana.

— Poczekaj, jak tylko dostanę tę pracę, wejdę w filmowe środowisko, postaram się, żebyś dostała ciekawsze propozycje.

Pełni zapału snuli młodzińcze marzenia, nie mogąc się doczekać końca sezonu. Dni, jak na zawołanie, umykały szybko i niepostrzeżenie, wypełnione pracą, która dla Paige nie straciła nic na swej atrakcyjności.

Każdy dzień spędzony wspólnie z Zellerem przynosił porcję wspaniałej prozy i zaskakujące spostrzeżenia, związane ze sposobem, w jaki ją tworzył. Popołudnia wypełniały jej żmudne studia nad materiałem źródłowym i przepisywanie stenogramów.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rita okazała się niezrównaną krawcową. Pewnego wieczoru po skończonej kolacji usiedli razem z Zellerem nad zwojem metalicznie połyskujących materiałów. Paige miała mieć srebrzystą, spływającą gładko do stóp suknię bez rękawów. Zeller zaprojektował dla siebie szatę ze złotego brokatu z ciekawym, abstrakcyjnym czerwonym wzorem.

— Wygląda w tym bosko, nieprawdaż? — Zeller zwrócił się do Rity, upinając materiał na zgrabnej sylwetce Paige. — Przypomina mi syrenę z okładki książki zaprojektowanej przez starego Petaina. Słowo daję, mógłbym się założyć, że pozowałaś mu do niej, Paige!

Paige zarumieniła się zakłopotana. Prawdę mówiąc, brała udział w przedstawieniu bez zbytniego entuzjazmu, a teraz kostium zamiast pomóc, utrudni jej wejście w rolę. Popatrzyła na Ritę, szukając u niej wsparcia. Ta jednak wydawała się pochłonięta szyciem, z ustami mocno zaciśniętymi i wzrokiem utkwionym w kawałku zszywanego materiału. Po raz pierwszy Paige zobaczyła ją w okularach, nadawały jej twarzy surowy wygląd.

— Jak tam przebiegają próby? — zapytała przerywając ciszę, podczas której Zeller z zapalem upinał coraz to nowe kreacje na Paige.

— Wyobraź sobie, że nadspodziewanie pomyślnie. Dały przywiózł w tym roku zdolny i zgrany zespół. Ta dziewczyna, Mary... jak jej tam... Arnold, chyba? ... radzi sobie całkiem nieźle z rolą Ann. Przypomina mi kogoś. Ona tu była już wcześniej. No, teraz możesz się przegłębnie w lustrze, Paige, spójrz!

Paige nie wierzyła własnym oczom. Czowała się jak brzydkie kaczątko w chwilę po cudownej metamorfozie, która diametralnie odmieniła mu życie. „Chryste, czy to naprawdę ja...?”

Olbrzymia tafla lustra odbijała powabną postać czarnowłosej piękności z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami i twarzą delikatną niczym kwiat kamelii. Najlżejszy ruch ciała wywoływał cichy szelest delikatnego materiału opinającego ciasno zgrabną postać dziewczyny. Paige nigdy dotąd nie uświadamiała sobie potęgi swej urody. Pochwyciła pełne zachwyty spojrzenie Zellera, Rita pochylona nad maszyną nie przerywała swej pracy.

Zeller odszedł parę kroków przypatrując się fałdom jej sukni.

— Powinnaś nieźle w tym wyglądać na scenie. Zastanawiam się, czy nie poświęcić się projektowaniu kostiumów teatralnych, co o tym sądzisz, Paige?

— Wspaniały pomysł, ale proszę się za to nie zabierać tak długo, jak tylko będzie pan zdolny tworzyć takie powieści, jak ta ostatnia.

— Skorzystajmy z okazji, że jesteśmy w kostiumach, i przećwiczmy nasze kwestie. Zostawimy cię na chwilę samą, Rita, i przejdziemy do salonu. Myślę, że atmosfera tamtego pokoju pozwoli nam łatwiej wczuć się w charakter naszych postaci.

Po raz pierwszy Paige miała odegrać swoją rolę sam na sam z Zellerem. Była młodą dziewczyną z pobliskiej wioski, która niespodziewanie spotyka królewskiego wysłannika w osobie przystojnego żołnierza, granego przez Zellera. Wrócił on niedawno ze zwycięskiej wyprawy, która przyniosła mu bogactwo i chwałę. Teraz na rozkaz króla ma powiadomić dziewczynę o zaszczytcie nadania jej tytułu damy dworu królowej i obowiązku stawienia się na zamek. Dzielny wojak zakochuje się w dziewczynie i kradnie jej cnotę, za co ona pozbawia go życia sztyletem. Widząc go zbrogzonego krwią u swych stóp, dziewczyna nagle uświadamia sobie, że go kocha, i w akcie skrajnej rozpaczyny popełnia samobójstwo, używając w tym celu tego samego sztyletu.

— Trochę tandetne, nie sądzisz? — skwitował Lance odczytując po raz pierwszy rękopis.

Teraz Paige, przygotowując się do końcowej sceny drugiego aktu, przypomniła sobie jego kwaśną uwagę, żałując, że nie ma go tutaj. Czuli się nieswojo mając odegrać tę scenę tylko w obecności Zellera. Rita, wiedzona jakby szóstym zmysłem, pojawiła się w drzwiach salonu. Zeller machnął ręką wskazując jej miejsce na sofie.

Wolno, głuchym głosem Paige zaczęła deklamować swoją kwestię. Wiedziała, że jeśli zagra w ten sposób na premierze, położy całe przedstawienie.

— Więcej uczucia, Paige, pomyśl, ta dziewczyna kocha, a ty mówisz jak mechaniczna zabawka. Spróbuj jeszcze raz!

Tym razem poszło jej lepiej.

— Bertrandzie, nie sądzisz, że Paige potrzebuje obecności pozostałych członków zespołu, by lepiej wczuć się w swoją rolę? — pospieszyła jej na pomoc Rita. — Poczekajcie z tym do jutra, macie próbę w San Marelo, pamiętasz?

Zeller nie dał się zwieść delikatnym aluzjom i Paige dwukrotnie jeszcze musiała powtarzać znieawidzoną scenę.

— Jest pewna poprawa, dziecko, ale doprawdy niewielka — skomentował jej syzyfową pracę na koniec. — Idź, prześpij się teraz. Jutro nie będziemy pracować nad powieścią, tak że będziesz mogła odpocząć przed wieczorną próbą. Twój kostium powinien być gotów na jutro, miej go na sobie podczas próby.

— Pojedzie pani z nami, pani Zeller?

— Tak, z prawdziwą przyjemnością, Paige.

Zeller rzucił swojej żonie zdziwione spojrzenie. Po raz pierwszy miała im towarzyszyć we wspólnej wyprawie do miasta.

I zrobiła to na przekór Paige, która do ostatniej chwili wątpiła w szczerść jej intencji. Przy Ricie nie czuła się skrepowana obecnością Zellera. Przekrzykując warkot silnika rozmawiały chwilę o pięknie zatoki prezentującej się rzeczywiście okazale przy świetle wschodzącego właśnie księżyca.

Lance wraz z całym zespołem oczekiwał ich przybycia siedząc na widowni. Próbę rozpoczęli od aktu drugiego, chcąc oszczędzić czas Zellera. Paige, zdeterminowana, postanowiła zagrać jak najlepiej, widząc niebywały entuzjazm pozostałych aktorów. Przeszła samą siebie.

— Byłaś wspaniała, kochanie! — pospieszył z gratulacjami Zeller, jak tylko zapadła kurtyna. Położył rękę na jej ramieniu i zwrócił ją łagodnie ku sobie. — Jeszcze trochę ciepła w głosie. Ciepła i rozpaczy, oczywiście. Całkiem niezła mieszanka, a jeszcze wczoraj wypadłaś tak drętwo, kto by pomyślał, że możesz sobie tak świetnie poradzić...?

Zarumieniła się z przyjemności. A więc udało jej się zadowolić wielkiego Zellera! Z wrażenia nie mogła dobyć słowa.

Wokół nich zgromadzili się pozostali aktorzy, uważnie słuchała ich komentarzy, czując się jedną z nich.

Powtórzyli całą scenę raz jeszcze. Premiera była tuż, tuż. Paige pewna swych aktorskich umiejętności, wyczekiwała jej z niecierpliwością.

Tego weekendu nie udało jej się spotkać z Lance'em. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności stara scenografia uległa uszkodzeniu i musiał dopilnować prac przy sporządzaniu nowej.

— Jak zwykle... — skomentował krótko całą katastrofę Zeller.

W końcu nadszedł tak niecierpliwie oczekiwany przez wszystkich dzień premiery. W sumie mieli wystawiać sztukę Zellera przez trzy kolejne

wieczory. Wszystkie nadające się na nocleg miejsca w miasteczku były szczelnie wypełnione ludźmi, którzy przybyli z najodleglejszych zakątków stanu, a nawet spoza jego granic. Bilety zostały wyprzedane co do jednego na długo przed dniem premiery.

Próba kostiumowa okazała się drogą przez mękę, za to pierwsze przedstawienie poszło nad wyraz sprawnie. Krytycy wyrażali się w bardzo oględny sposób na temat gry aktorów, chwalili treść sztuki, ale pewne jej ustępy budziły ich poważne zastrzeżenia, jako tchnące zbytnią amatorszczyzną. Zeller zdawał się być zadowolony takim obrotem spraw. Powiedział Paige, że krytykowane strofy są bez wątpienia tymi, które zostały się z wersji pierwotnej autorstwa jednego z członków zespołu.

Cóż, nie miała powodu mu nie wierzyć, choć razila ją zbytnia pewność siebie, z którą bynajmniej się nie krył.

Podczas drugiego przedstawienia wszelkie artystyczne niedociągnięcia zostały zgrabnie usunięte i sztuka spotkała się z jeszcze gorętszym przyjęciem. Lance promieniał po ostatnim opuszczeniu kurtyny.

— Jutro przyjeżdża przedstawiciel wytwórni filmowej. To będzie mój wielki dzień, Paige. Jutro zdecydują się moje losy.

Nazajutrz pierwszy akt nie wypadł zbyt dobrze, za to następny wyrównał szanse aktorów, którzy po prostu przedobrzyli, starając się wypaść-jak najlepiej. Ale liczy się wspaniała końcówka, która rzuciła dosłownie publiczność na kolana. Bisom nie było końca. Z drugiej strony rampy również panował podniosły nastrój. Była to ostatnia sztuka tego sezonu, i niektórzy mieli w oczach łzy cofając się za linię kurtyny.

Garderoby zapełniły się gośćmi składającymi gratulacje i kwiaty napęczniałym z dumy artystom. Zewsząd słyhać było śmiech i wesołe przekomarzania.

Paige przebrała się szybko w letnią sukienkę. Tej nocy nie musiała wracać na wyspę. Zarezerwowała pokój w hotelu, ostatni raz spędzała w nim noc chyba miesiąc temu. Cieszyła się na myśl o czekającym ją spokojnym wieczorze we dwoje, tylko ona i Lance. Był to ich pożegnalny wieczór. Lance wybierał się na tydzień do domu, jak tylko wyjadą ostatni studenci.

Paige zarzuciła na ramiona lekką marynarkę i poszła odszukać Lance'a. Zobaczyła go rozmawiającego z nieznajomym, w którym intuicyjnie rozpoznała wysłannika z Hollywood. Nie chcąc przeszkadzać wróciła do garderoby.

Po drodze natknęła się na Zellera.

— Rozglądałem się za tobą wszędzie, chérie. Wrócisz ze mną na wyspę? Zatoka wygląda przepięknie. Jest pełnia. To byłby grzech stracić taki wspaniały widok.

— Dziękuję, ale zostaję na noc w hotelu. Pamiętasz, przyjechałam tu z walizką?

— Sądziłem, że wiesz w niej swój kostium. No tak, trochę szkoda... Kiedy wracasz na wyspę?

— Jutro wieczorem, ale sądzę, że spotkamy się dopiero przy pracy w poniedziałek rano.

— Przyrzekłem sobie nie zaprzętać ci głowy tym problemem teraz, ale nie mogę już dłużej się z tym ociagać.

Paige, będę cię potrzebował, może nawet bardziej niż do tej pory, jeszcze przez następny miesiąc. Czy mogłabyś zostać i pomóc mi skończyć powieść? Wiem, umawialiśmy się tylko na letnie wakacje, ale praca niespodziewanie się przeciągnęła, o czym sama wiesz najlepiej. Dziś już wiem, że nie skończę jej przed listopadem. Zostaniesz i pomożesz mi?

Poczuła ucisk w dołku. Od dawna wiedziała, że książka może być ukończona nie wcześniej niż z końcem października, najpóźniej początkiem listopada.

Popatrzyła na Zellera, ale zamiast niego zobaczyła, niby barwny film, przesuające się szybko obrazki z planów, jakie snuli oboje z Lance'em. Wytwórnia nie nawiązała z nim jeszcze żadnej współpracy, ale miał nadzieję, że dzień dzisiejszy przyniesie bodaj realną jej propozycję.

— Mogę na tobie polegać, dziecinko, nieprawdaż? — spytał Zeller dotykając jej ramienia.

Niech to diabli... Praca, którą włożyła w jego dzieło, była przecież coś warta. Nie chciała, żeby przejął ją po niej jakiś partacz. Z drugiej strony, gdyby wyraziła zgodę, musiałyby zostać na wyspie dwa miesiące dłużej, niż zamierzała.

— Pozwól mi się nad tym zastanowić, Bertrandzie. Sądziłam, że zdążymy przed jesienią.

— Naprawdę bardzo cię potrzebuję, Paige — w jego głosie zabrzmiały wyraźnie proszące nutki, hipnotyzował ją niemal wzrokiem. Uwierzyła jego słowom. Któż odważyłby się przyjechać na wyspę w takim niesympatycznym okresie i ukończyć pracę równie szybko i efektywnie?

— Nie mógłbyś kończyć pisania gdzieś w południowej Kalifornii?

— A czy to ma jakieś znaczenie, gdzie dokończymy powieść, mając zapewnione dwie najważniejsze rzeczy: spokój i ciszę? — spytał z wyrzutem.

Paige uśmiechnęła się blado. Wyspa Ptaków była rzeczywiście idealnym miejscem pod tym względem.

— Zostanę. W końcu to tylko kilka tygodni... — jej oczy pojaśniały z radości. Będzie miała swój udział w kulminacyjnym momencie zakończenia pracy nad powieścią, która bez wątpienia wejdzie do historii światowej literatury. Czy mogła się temu oprzeć?

I właśnie wtedy zauważyła Lance'a. Podszedł do nich spokojnym krokiem. Ich oczy spotkały się. Zobaczyła jego tryumfalne spojrzenie. Z trudem udało jej się przełknąć ślinę. Zrozumiała, że popełniła straszliwą pomyłkę.

— Dostałem pracę w wytwórni. Zaczynam pierwszego września na planie filmowym nad rzeką Missouri.

— Moje gratulacje, Dały! Wiedziałem, że masz tę pracę w kieszeni, jak tylko zauważyłem agenta z Hollywood na dzisiejszym przedstawieniu.

Twarz Paige pobladła. Złożyła Zellerowi oMetnicę o dwie minuty za wcześniej... Głos Lance'a docierał do niej jakby zza ściany.

— Mają też propozycję dla ciebie, Paige.

— O nie, Dały! Nie uda ci się porwać mojej najlepszej asystentki. Właśnie zobowiązała się zostać, dopóki nie skończę powieści. A potem, kto wie, może zaproponuję jej coś na stałe?

Mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Lance powoli odwrócił się do niej.

— Zamierzasz zostać na Wyspie Ptaków?

— Tylko do listopada, Lance. On mnie naprawdę bardzo potrzebuje, dlatego zgodziłam się pomóc mu przy kończeniu powieści — jej usta ledwo się poruszały.

— Rozumiem — powiedział opanowany już Lance. — To tylko kilka tygodni. Przyłączy się pan do naszego przyjęcia w zajeździe, panie Zeller?

— Dziękuję, ale nie mogę. Muszę już wracać — odparł sucho Zeller.

Patrząc za oddalającym się Zellerem, Paige pomyślała z goryczą, iż zostaje tylko dlatego, że dała słowo. Wyspa Ptaków będzie najsmutniejszym miejscem na ziemi bez Lance'a w pobliskim San Marelo.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zeller, jakby zgadując rozczarowanie i smutek Paige, spowodowane złożoną obietnicą, powitał ją w poniedziałek rano wiadomością, że po ukończeniu książki, oprócz ustalonego wcześniej wynagrodzenia, dostanie wysoką premię gratyfikacyjną.

— Nie potrzebujesz tego robić.

— Ale chcę, nic nie sprawia mi większej satysfakcji, jak płacenie za dobrze wykonaną robotę. Ty bez wątpienia na to zasługujesz, moja droga. Za niedługo nad wyspą będą szaleć jesienne nawałnice kładąc kres żywotowi najbardziej rosnących drzew, które śmiały wspiąć się wyżej od innych. Możesz się wtedy poczuć tu bardzo samotna i przerażona. Za ten okropny czas spędzony razem z nami również należy ci się premia. Przepraszam, że narażam cię na to wszystko, ale sama chyba rozumiesz, że nie ma innego wyjścia.

— Tak, oczywiście.

Lance wyjeżdżał tego dnia do domu. Za jakiś tydzień miał wrócić, by się z nią spotkać przed wyruszeniem na plan filmowy, gdzie czekała na niego pierwsza poważna praca. No i czekał ich jeszcze wspólny tydzień tuż przed świętem Dziękczynienia. Miała nadzieję, że skończy do tego czasu pracę nad książką Zellera i że wrócą do domu razem.

Poprzedniego tygodnia Zeller otrzymał od swego wydawcy pierwszą opinię, jaką wydali jego ludzie po przeczytaniu kilku gotowych rozdziałów powieści. Wydawał się być z niej najwyraźniej zadowolony. Zeller wprowadził tu i tam kilka niewielkich poprawek i wrócili do pracy nad sporządzaniem planu do ostatniej części. Pracowali nieprzerwanie od dziewiątej rano do lunchu.

Rita nie pojawiła się przy kolacji poprzedniego wieczoru. Za to we wtorek po południu, kiedy Paige porządkowała swe biurko po skończonej pracy w bibliotece, zjawił się tam ponownie Zeller proponując jej, by poszła z nim popływać przed kolacją.

— Nie jest to może sezon na pływanie w naszej zatoczce, ale woda o tej porze dnia jest przez jakąś godzinę znośnie ciepła. Dzieje się tak na skutek przyływu, który blokuje ujście nagrzanej przez dzień słońcem wody.

— Wspaniały pomysł! — ucieszyła się Paige. — Nie pływałam od ponad dwóch tygodni.

Kiedy zeszła na dół, ubrana już w strój kąpielowy i szlafrok, zastała czekającą na nią obok Zellera Ritę. Cała trójka skierowała się ku skalistej ścieżce spadającej w dół ku plaży. W powietrzu dał się wyczuć delikatny zapach jesieni. Słońce prażyło mocno. Paige wciągnęła z lubością w płuca haust świeżego powietrza. Rzadko ostatnio przebywała na dworze.

— Wchodzisz razem z nami do wody, Rita? — zapytał Zeller zatrzymując się, by zrzucić z nóg sandały.

— Raczej nie. Usiądę na skałach i popatrzę na was. Paige była już w wodzie. Tuż przy brzegu woda była ciepła i orzeźwiająca. Oddalając się czuła napór chłodniejszego prądu. Płynęła pełna animuszu i werwy, zagarniając wodę szerokim, mocnym łukiem. Kierowała się ku wierzchołkom skał znaczących koniec zatoczki. Po dopłynięciu do nich zrobiła pełny obrót pod wodą i ruszyła z powrotem. Zatrzymała się przy skale, na której siedziała Rita, i wygramoliwszy się na górę usiadła obok. Zeller opływał w koło zatoczkę. Wspiął się na najwyższą ze skał i skoczył z niej do wody zataczając w powietrzu piękny łuk.

— On wprost ubóstwia pływanie. Odkąd zamieszkaliśmy na wyspie, nie było dnia, by nie pływał, aż do tego lata — odezwała się milcząca do tej pory Rita.

Widząc wychodzącego na brzeg Zellera, Paige wskoczyła do wody. Znowu opłynęła zatoczkę, zanurkowała-i... zobaczyła Zellera płynącego tuż obok. Zdziwiła się, gdyż pewna była, że został przy brzegu dotrzymując Ricie towarzystwa.

— Ścigajmy się! — zaproponowała Paige.

Kiwnął głową przyjmując wyzwanie. Ruszyli niemal równocześnie. Wyprzedził ją i w mgnieniu oka stanął na brzegu, czekając na nią z uśmiechem.

— Jesteś cholernie dobrym pływakiem — przyznała sapiąc nieznacznie z wysiłku.

— Lata praktyki... — rzucił niedbale.

— Kiedyś, dawno temu, na początku swej pisarskiej kariery, mieszkał przez rok na zagubionej na południowym Pacyfiku wysepce. Tubylcy nauczyli go pływać miejscową techniką. Teraz to wykorzystuje. To nie fair, Bertrandzie — zauważyła Rita.

— Wysepka, gdzie to było...?

— Na archipelagu wysp polinezyjskich — odezwał się Zeller. To była Tepuka. Pewnego dnia może opowiem ci o Maono. Był wodzem dwóch

atoli koralowych, historycznie przynależących do francuskiej Oceanii. Jego imię przywołuje tysiące wspomnień. Pamiętam dźwięk motoru mojej chińskiej łodzi, widzę odległe laguny z małymi canoe, na których krajowcy podnoszą wyplataną z palmowych liści żagle, pamiętam rozgwieżdżone nocne niebo i słyszę słowa ich pieśni: „Tera, tera hoki, i te taetae rekareka...”

Miękki, drżący z emocji głos Zeller'a przeniósł Paige w krainę lazuruwej zatoczki na koralowej wyspie, gdzie tubylcze piękności umilały życie mężczyznom grając na gitarach.

— Fajka jest jak kobieta — rzecze stary wilk morski, zacytował Zeller patrząc w dal, ku morzu. — Nie ma dwóch identycznych. — Jeszcze raz zanucił strofę niezrozumiałej pieśni nie tłumacząc jej. Potem znowu przeszedł na angielski. „Trzy rzeczy na świecie są prawdziwie dobre — stary żeglarz śmieje się — kobiety, rum i tytoń. Na inne, brachu, spluń! Wy płynął nocą wśród mgieł, ze śmiercią za pan brat, ruszając w swój ostatni rejs na wyspę, co bez nazwy trwa” — Zeller urwał nagle. — Nie umiem tego dobrze przetłumaczyć, ale mimo wszystko to piękna pieśń.

„Nie zakochuj się w nim!” Straszne słowa Rity odbiły się w jej pamięci głośnym echem. „On zawsze rozkochuje w sobie dziewczyny, które dla niego pracują.”

Paige nigdy nie przywiązywała do tych słów większej uwagi, uważając, że są pozbawione sensu. Biedna Rita, ma zbyt wybujałą wyobraźnię. Od pewnego czasu starała się jednak dotrzymać im jak najczęściej towarzystwa.

Paige zauważyła, że Zeller wyciągnął ze swojej plażowej torby fajkę i tytoń. Nagle przeszła jej ochota do pływania. Zapragnęła wrócić do domu, wziąć prysznic i przebrać się w suche ciuchy.

— Jeśli nie macie nic przeciwko, pójdę już sobie.

— Nic a nic — odpowiedziała Rita.

— Papierosa na drogę? — zapytał Zeller wyciągając w jej stronę paczkę, — Zapalę ci — podszedł do niej, czekając, aż owinie się szczelnie w płaszcz kąpielowy z frotte. Paige wzięła papierosa i pochyliła głowę w kierunku płomienia zapalniczki. Wiatr zdmuchnął go, zanim zdążyła zapalić. Zapalił ją raz jeszcze, obydwójce starali się osłonić wąły płomyk swoimi dłońmi. Spotkali się wzrokiem. Ugięła się pod naporem jego spojrzenia.

Szła w górę ścieżką, drżąc cała. Rita wydawała się tak pewna tego, że Zeller się w niej w końcu zakocha! Paige traktowała te przypuszczenia jak mrzonki. Ale teraz nie była pewna... Nie, nie da się zwariować! A jednak czuła to instynktownie całą sobą, że gdyby na plaży nie było Rity, Zeller na pewno by ją pocałował.

Myśląc o tym w domu, nie mogła sobie wybaczyć, że dopuściła się takiego bluźnierstwa. Zobaczyła, że w międzyczasie Jose przyniósł jej do pokoju list Lance'a. Rozdarła szybko kopertę i usiadła w fotelu przebiegając oczami treść listu. Rodzice cieszyli się bardzo z jego przyjazdu. Miło było znowu znaleźć się w domu wśród swoich. Młodszy brat nie odstępował ani na krok, odwiedzają razem starych znajomych. Tęskni za nią. Stanowczo za bardzo. „Myślami jestem przy tobie marząc o dniach, kiedy nie będziemy musieli się już więcej rozstawać, kochanie.”

Oderwała roziskrzony szczęściem oczy od listu. Gdzieś w głębi domu dzwonił budzik. Spłoszona popatrzyła na zegarek. Musi się pośpieszyć, w przeciwnym wypadku spóźni się na kolację.

Przypomniała sobie o wątpliwościach, jakie ją ogarnęły po drodze z plaży.

— Ależ ze mnie idiotka! — zganiła się w myślach. — Rita znudzona beczynościami wymyśla na poczekaniu sensacje, mając z reguły podejrzliwą naturę. Biedny Zeller! Musi mieć przy niej pieskie życie!

Przypomniały jej się inne, na pozór bez znaczenia, wydarzenia, które układały się teraz w czytelną mozaikę niedomówienia i dziwne aluzje rzucane raz po raz przez Marię i Jose, świadomość, że była obserwowana przez Ritę, siedzącą na balkonie i śledzącą każdy jej krok przez lornetkę, ilekroć tylko oddaliła się z domu. Ogarnęło ją paraliżujące uczucie skrepowania, które towarzyszyło jej pierwszemu spotkaniu z Ritą.

To wszystko jest już prawie poza nią! Nie ma doprawdy sensu rozpamiętywać na nowo trosk z przeszłości! Wzruszyła ramionami i zmusiła się do skupienia nad chwilą bieżącą. Suknia biała czy kremowa? Wybrała beżową z cieniutkiej, niczym pajęczyna, wełenki. Na szyi zawiesiła zwój bursztynów. Po siódmej wieczorem na patio może się zrobić chłodno. Pewnie to będzie ich ostatni posiłek na wolnym powietrzu, chyba że Jose założy na tarasie szyby przeciwsztormowe.

Wchodząc do salonu zauważyła, że Zellerowie nie zeszli jeszcze na dół. Zajmowali pokoje w najbardziej oddalonym skrzydle głównego budynku.

Paige rozejrzała się wokół i wzrok jej spoczął na zapraszających miękkościach hinduskiej kanapy. Zbliżyła się do niej i w chwilę później zapadła się cała w olbrzymie puchowe pufy. Z nudów zaczęła dokładniej przypatrywać się umieszczonym w szklanych szafach kuriozom. Jeśli Zeller zdolny był spędzić rok na zapomnianej przez Boga i cywilizowanych ludzi wysepce, to musiał mieć w sobie żyłkę nieustraszonego łowcy przygód. To nieprzeciętny mężczyzna, przyznała sama przed sobą, uśmiechając się nieśmiało.

Willa wagabundy! Dlaczego oburzyło go to skojarzenie? W tych szklanych szafach zamknięto przedmioty z najodleglejszych zakątków świata: wyroby z drzewa tekowego, kości słoniowej, hinduskiej miedzi, dowody niebywałego kunsztu artystycznego prymitywnych plemion, których istnienia nawet nie przypuszczała. Tajemnicze nazwy niesamowitych kształtów, które gdzieś tam daleko kołysły ból, wzniecały miłość i zadawały śmierć.

Usłyszała szmer u szczytu schodów. Wielki pisarz schodził na dół różnym krokiem. Miał na sobie kremowo-biały garnitur, który nosił ze zniewalająco nonszalanckim wdziękiem. Wyglądał w nim nader korzystnie. Włosy szesane z czoła były w połowie tylko suche. Gładko wygolona skóra twarzy miała miły złoty kolor. Cała sylwetka tchnęła zdrowiem i pogodą, miała też w sobie uwodzicielską męską moc.

Nie wygląda na sponiewieranego wysiłkiem twórczym artystę — pomyślała Paige patrząc na zbliżającego się Zellera.

Usiadł obok niej i wyciągnął swoją dłoń. Paige nie poruszyła się. Zeller wziął jej rękę, odwrócił i nakrył swoimi smukłymi, opalonymi palcami.

— Moje maleństwo ciężko ostatnio pracuje?

Paige gwałtownie wyszarpnęła z jego uścisku dłoń, śmiejąc się ze swej niekontrolowanej reakcji.

— Wcale nie!

Wstała i odeszła kilka kroków od sofy. Była mocno poruszona. Ciągle czuła na swej dłoni dotyk jego palców. Oparła trzęsące się ręce o blat stolika z różanego drzewa.

— To, co robię, jest tak interesujące, że trudno to nazwać ciężką pracą. Myślę, że praca staje się ciężka z chwilą, gdy człowiek traci swe zainteresowanie nią — jej głos zabrzmiał sztywno, co zaskoczyło ją.

— Widzę, że zaczynasz mieć filozoficzne podejście do życia — oparł głowę na poduszkach sofy i obserwował ją spod wpróprzymkniętych

powiek. Czuła na sobie jego wzrok. Stała obrócona tyłem. Wiedziała, że on czeka, by spojrzeć na niego. Nie chciała tego zrobić.

A jednak zrobiła.

I pożałowała tego natychmiast. Bo spotkała się ze spojrzeniem, które zobaczyła już raz, tam w dole na plaży, gdy zapalał jej papierosa.

— Mimo wszystko — przyznała w myślach, kierując się niemal na oślep ku wyjściu na patio — Rita ma chyba rację.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Północ zastała Margharitę Zeller siedzącą przy otwartym oknie sypialni. Był nów. Jasny blask księżyca srebrzył grzbiety fal, załamywał się w poszarpanych konturach wierzchołków drzew i rzucał ich atramentowe cienie w mroczną toń zatoki. Wszzechwładnie panującą ciszę odmierzał miarowy odgłos fal rozbijających się o brzeg plaży i stłumione odległością buczenie portowych boi. Krzyk nocnego ptaka raptem przeciął powietrze, niby trzask bicia.

Margharita nerwowo splatała i rozplatała dłonie. Myślamy była przy Bertrandzie. Wyglądało na to, że zgodnie z przewidywaniami lekarza będzie w stanie dokończyć swą powieść. Zagrożenie ponownym atakiem chwilowo zostało zażegnane. Jednak nikt nie wiedział, na jak długo. Bolesne wspomnienia ostatniego załamania nerwowego męża zapadły tak głęboko w jej pamięć, że nie potrafiła się uwolnić od dręczącego ją dniem i nocą uczucia strachu.

Lata cierpień i wyrzeczeń nauczyły ją przyjmować ze spokojem słabostki Zellera. Etap przygotowawczy do pisania powieści był dla niego zawsze najcięższy. Spalał się do cna gromadząc materiał historyczny, obmyślając intrygę. Dwa razy zdarzyło mu się przeholować i zapaść poważnie na zdrowiu z powodu zbyt dużego przeciążenia organizmu pracą. Nigdy nie wątpiła w jego niebywały talent literacki. Jego powieści wymieniano jednym tchem na równi z dziełami Manna i Tołstoja. Sława, którą przynosiły mu kolejne książki, zataczała coraz szersze kręgi ponad granicami politycznymi i geograficznymi świata.

Toteż nic dziwnego, że jego ostatni pobyt w prywatnej klinice neurologicznej trzymano w głębokiej tajemnicy przed opinią publiczną. Leczone go tam pod przybranym nazwiskiem i, gdy tylko pozwoliła na to jego kondycja psychiczna, co rychlej powierzono go troskliwej opiece Rity. Nie było to wcale dla niej łatwe. Mijały miesiące względnego spokoju, po czym przy intensywniejszej pracy i wzmożonym napięciu nerwowym w każdej chwili mógł nastąpić nawrót choroby.

W końcu, ostrzegł ją doktor Paul Liederstrom, nadejdzie taki dzień, że trzeba go będzie hospitalizować na stałe. Tego obawiała się najbardziej.

Paige Maitland od początku wzbudziła w niej zaufanie i szacunek. Spokojna, zrównoważona, rozsądniejsza od swych poprzedniczek i, co najważniejsze, niebywale kompetentna, zdawała się być idealną asystentką,

jakiej poszukiwał Zeller. Wspaniale sobie dawała radę w pracy, a niewinne ekscentryczne zachowania, na które sobie Zeller pozwalał w jej obecności, przyjmowała z przymrużeniem oka. Niestety, ostatnio Rita zaobserwowała pewne niepokojące objawy, które zaostrzyły jej niepokój o zdrowie Zellera.

Od ponad roku nieprzerwanie zajmował się zagadnieniem wypraw krzyżowych. Pracę tę rozpoczął na dwa lata przed swym ostatnim atakiem. Kiedy zawieziono go do kliniki osiemnaście miesięcy temu, właśnie wychodziła z druku jego ostatnia książka. Łatwo było więc wytłumaczyć rozentuzjasmowanym czytelnikom, że autor szukając spokoju i wypoczynku schronił się w nieznanym miejscu poza granicami kraju.

Ostatniej zimy czuł się tak dobrze, że zdecydował się na serię odczytów. Jeden z nich wygłosił na uniwersytecie, na którym studiowała Paige. Nawet Randolph Cary nie wiedział nic o jego chorobie.

Służbie wytłumaczono, że Bertrand przeżył wstrząs psychiczny spowodowany wypadkiem, w którym zginęła Hildegarda. Tragiczna śmierć sekretarki oraz stres wywołany intensywną pracą skończył się tak, jak się tego obawiała — ciężkim załamaniem nerwowym. Opuścili wyspę w pośpiechu dwa dni po wypadku. W pobliżu kręciło się mnóstwo dziennikarzy i policji. Rita zrozumiała, że na dłuższą metę nie uda się jej utrzymać tajemnicy. Policjanci wykazali nad podziw dużo taktu i zrozumienia. Bez zbędnych pytań zaakceptowali jej wersję wydarzeń, według której Bertrand spał w pokoju w momencie nieszczęśliwego wypadku.

Sama w to wierzyła. Bo nie miała innego wyjścia. Tylko w najgorszych nocnych majakach powracało do niej paraliżujące wspomnienie chwili, w której odkryła, że nie był tego popołudnia w swoim pokoju. Wróciła wtedy z plaży, gdzie do jej stóp padło martwe ciało Hildegardy...

Skuliła się w sobie pod naporem wspomnień dni, jakie potem nadeszły.

Bertrand zdawał się z trudem kojarzyć, kim była Hildegarda. W ogóle nie pamiętał niczego z dnia wypadku. Właśnie dlatego zaczęła się bać.

Policja przyjęła za prawdziwą hipotezę zakładającą, że Hildegarda przypadkowo poślizgnęła się i spadła ze skały. Przecież zdarzało się, że ludzie ginęli w takich okolicznościach i nikt tego nie kwestionował.

Po upływie długich miesięcy spędzanych w osamotnieniu na wyspie, na którą po pewnym czasie wrócili, Rita w końcu pogodziła się z myślą, że pewnego dnia będzie musiała przestać zmagać się z wyzwaniem rzuconym jej przez los. Skończy się też bać. Nie o siebie, o nie! Ale o niego. To nie

miłość kazała jej trwać przy nim. Dawno temu zdała sobie sprawę, że go już nie kocha.

Opuściła go już raz. Pięć lat temu. Odszukał ją i zaklinał na wszystkie znane mu świętości, by do niego wróciła. Desperacja, z jaką to czynił, uświadomiła jej po raz pierwszy, jak dalece jej obecność przy nim pozwala mu normalnie funkcjonować. Nie mogła zlekceważyć tak wielkiej odpowiedzialności. Liederstrom zapoznał ją bliżej z charakterem choroby męża. Choroby psychicznej, podkreślił z całą stanowczością. Pomógł jej pokonać wewnętrzny opór, jaki budzi się w każdym człowieku w takich okolicznościach. Paul starał się być dla niej miły. Przekonał ją, że Bertrand przy zachowaniu pewnych środków ostrożności i w sprzyjających warunkach może i powinien żyć jak normalny mężczyzna, i wyłącznie od niej, jako jego żony, zależeć będzie, by warunki takie w jego otoczeniu przeważały.

Od tamtej pory studiowała uważnie medyczną literaturę, która, jak sądziła, pomoże jej lepiej zrozumieć Bertranda i tym efektywniej mu pomóc. Następowały kolejno po sobie okresy głębokiej depresji i wielkiego ożywienia. Po nich przychodził czas powrotu do normalności. Bertrand zabierał się ochoczo do pracy i nikt, nawet najbliższy, przyjaciel, nie był w stanie dostrzec u niego oznak drażącej jego organizm choroby psychicznej.

Obowiązkiem Rity było czuwanie, by ten okres normalnej egzystencji trwał jak najdłużej. Frustracja i stres, jakie musiała pokonywać, dzień po dniu stawiając czoło szalonej odpowiedzialności, naraziły ją samą na poważny uszczerbek zdrowia. Od pewnego czasu jej zmaganiom towarzyszyły potworne ataki migreny. Troska, strach, samotne rozmyślenia... Czasami myślała, że los płata jej złośliwego figla, że to ona jest chora, nie Bertrand. Wydawał się taki szczęśliwy, syt sukcesów i pochwał, wielki ekscentryk, ale nie większy od innych artystów tej co on miary.

Ostatnie miesiące kuracji dały nadszpodziewanie dobre rezultaty. Sam doktor Paul przyznawał, że istniała niewielka, ale zawsze, ewentualność całkowitego wyleczenia. Rita spalając się z emocji niecierpliwie oczekiwała powrotu Liederstroma z Europy. Najwyższy czas, by ponownie zbadał Bertranda. Nie powinno to zburzyć ustalonego porządku na wyspie, albowiem szanse na to, że Bertrand rozpozna w przybyszu własnego lekarza, były raczej nikłe. Nadszedł czas, czuła to, gdy potrzebne jej będzie jego wsparcie. Jutro popłynie na ląd i spróbuje się skontaktować z jego

biurem w San Francisco. Może powiadomił ich już o dokładnej dacie przybycia do Stanów. W liście, jaki od niego dostała w czerwcu, wspominał o początku października jako terminie ostatecznego powrotu. Raz na miesiąc pisała do niego donosząc mu o wszelkich zmianach w zachowaniu Bertranda.

— Byłam głupia mając się nadzieją, że jest w stanie całkowicie wyjść z tego — myślała ponuro. — Jeszcze trzy tygodnie temu byłam przekonana, że mu się to uda. Powinnam była to przewidzieć! Zbyt późno kładł się spać, za ciężko pracował, od dwóch tygodni jest jakiś nieswój.

— Dziś na plaży — myślała dalej — na własne oczy zobaczyłam grożące niebezpieczeństwo. No tak, próbowałam ostrzec Paige Maitland, z dość marnym skutkiem, przyznaję. Przestraszyłam ją tylko. Może powinnam porozmawiać z nią raz jeszcze, powiedzieć jej o jego chorobie, może będzie w stanie mi pomóc...?

— Ona jest szczerze oddana Zellerowi. I lojalna. Z pewnością nie zdradziłaby nikomu naszej najświętszej tajemnicy!

Wstała i podeszła do drzwi. Ręka ześlizgnęła się bezwładnie z gładkiej powierzchni klamki. Nie mogła się przemóc, by iść i powiedzieć tak otwarcie i nagle o czymś, co przez lata starała się ukryć skrzętnie przed całym światem. Nikt oprócz lekarza i niej samej nie wiedział, że Bertrand Zeller jest chory.

Niech tak już zostanie.

Zeller przemierzał nerwowym krokiem tam i z powrotem całą długość swojego pokoju.

Ta chmara psów gończych zamierza mnie znowu dopaść — myślał. Wydawca i ta banda skretyniałych redaktorków, pozostających na jego usługach. Myślą sobie — wyciśniemy co się da z Zellera. Niech przerobi ten rozdział raz jeszcze. Nigdy dość pracy dla prawdziwego geniusza! Słyszę nawet tutaj diabelski rechot Partricha i jego Baryły. Będą się znęcać nade mną do ostatniej kropki! A potem będą się grzać przy świetle lamp błyskowych i jupiterów, pęczniąc z niezasłużonej dumy i zdradliwie przejmując cały ciężar sukcesu na własne barki. A ja, odcięty od świata na odludnej wysepce, posłusznie rozpocznę pracę nad nowym arcydziełem. O, niedoczekanie!

Czuł, że to, co teraz pisze, jest najlepsze ze wszystkich dotychczasowych powieści. Tym razem nie wyściubi nawet nosa poza granice Ameryki. To tu w blasku glorii, przy dźwiękach fanfar, odbierze należną mu chwałę!

Okrzykną go geniuszem wszechczasów. Pogładził pieśczośliwie grzbiet teczki ze schowanym wewnątrz tekstem nowego rozdziału. To jest niezrównanie doskonałe.

Paige sama to przyznała. Ta dziewczyna wielbi mnie, to się rozumie samo przez się. Jest święcie przekonana, że pomaga mi w tworzeniu absolutu. No tak... Myślę, że sporo się zdążyła nauczyć.

Położył teczkę na stole, ostrożnie i wolno, jakby była kruchym przedmiotem, niezwykle drogocennym. Podszedł do drzwi, otworzył je i przeszedłszy przez hall, zatrzymał się przy schodach. Po chwili zaczął nimi schodzić, trzymając się blisko ściany, skąpany w smudze księżycowego światła. Przywiodło go ono do drzwi salonu, gdzie w szklanych szafach spoczywały tajemnicze kurioza.

— Bóg Manoa miał rację. Święte przedmioty: pochwa i nóż. Nie mogę znaleźć klucza do szafy. A, tam leży.

Zgrzyt otwieranego zamka. Małe szklane drzwi stanęły otworem.

Rita Zeller, ledwo oddychając, stała tuż obok pogrążona w głębokim cieniu. Jej mąż wydał westchnienie ulgi. Zobaczyła połyskujące w księżycowym blasku upiorne ostrze. Zeller zrobił w tył zwrot i ruszył ku schodom. Rita cicho podążyła za nim.

Zatrzymał się na moment na najwyższym piętrze, jakby się wahał, potem wrócił wolno do swego pokoju.

Rita schowana w ciemnym korytarzu, nie ośmielając się głośniej odetchnąć, czekała. Po godzinie, wsłuchując się w miarowy oddech śpiącego Bertranda, wślizgnęła się bezszelestnie przez drzwi, które zostawił szeroko otwarte. Nóż leżał na teczce z rękopisem.

Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, wolno wyciągnęła rękę i zabrała go stamtąd.

— Po kilku godzinach snu — pomyślała dodając sobie otuchy — zapomni, że ten nóż kiedykolwiek istniał.

W swoim pokoju, patrząc na odbijający martwe światło przedmiot, zatrzęsa się ze strachu. Otworzyła sekretną szufladę w swojej szafie. Wyciągnęła stamtąd szkatułkę z kości słoniowej. Podniosła wieko i wsunęła do jej wnętrza sztylet. Cała drżąca, z pobladłą twarzą, zamknęła szkatułkę na kluczyk, który ukryła w tekturowym pudle na buty. Na jego dnie spoczywała para satynowych bale-tek, przewiązanych wyblakłą, różową wstążką.

Następnego dnia rano zeszła na taras, by zjeść z nim śniadanie. Wyglądał wspaniale, a niewielkie cienie pod oczami dodawały mu jedynie uroku. Był w cudownym 'nastroju.

— Czeka mnie interesujący dzień, gołąbku. Czuję się świetnie. Nareszcie się wyspałem!

— Cieszę się, Bertie. Wybieram się zaraz z rana do miasta na zakupy. Potrzebujesz czegoś?

— Tylko listy z poczty, kochanie. Możesz przywieźć pudełko tych francuskich czekoladek, które sprowadza do siebie stary Tomlinson. Zrobię niespodziankę naszej małej, chyba ją ostatnio cokolwiek za bardzo przemęczam. Czekolada, może choć w części, podreperuje jej nadwątlone siły. Wyborna kawa, kochanie. Powiedz Marii, że dzisiejsze śniadanie było iście królewskie.

— Muszę lecieć, Bertie. Morrison pewnie się już niepokoi, czekając na mnie w łodzi na przystani.

— Stary Morrison jeszcze żyje?

Popatrzyła na niego zdziwiona, powstrzymując się od komentarza. Kapitan Morrison przywoził im zakupy przez całe lato. Zeller wielokrotnie z nim rozmawiał.

W miasteczku pierwsze kroki skierowała do budki telefonicznej. Zamówiła błyskawiczną z przywołaniem doktora Paula Liederstroma. Telefon odebrała jego sekretarka, informując zwięźle, że w tym tygodniu jego jacht wypływa z Cherbourga.

Rita zanotowała pospiesznie adres. Nie traciła czasu na zbędną depeszę. Posłużyła się szyfrem, który wymyślili wspólnie. Klucz do niego miał tylko Paul.

Kapitan Morrison wiernie im służył od lat. Był na wyspie tego lata, gdy zginęła Hildegarda.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Żadne spotkanie z Lance'em nie uradowało Paige tak bardzo, jak to w połowie września. Było późne popołudnie, gdy usłyszała dzwonek i pośpieszyła otworzyć drzwi. W progu stał Lance. Nigdy przedtem nie wydawał się tak przystojny, jak w tym momencie.. Przyciągnął ją łagodnie do siebie i pocałował. Poczowała łyzy napływające jej do oczu. Skryła twarz w jego ramionach, starając się nad sobą zapanować.

— Kochanie, ty cała drżysz! Co za powitanie! Nie śmiałem nawet przypuszczać, że mój widok wywrze na tobie takie wrażenie! Jak to dobrze znowu cię widzieć. Pozwól, niech no ci się przyjrzę, Paige, ty schudłaś! Pracujesz za dużo. Ta praca jest dla ciebie stanowczo za ciężka. Oboje odetchniemy z ulgą, gdy tylko ją skończysz!

Trzymając go za rękę usadowiła Lance'a na sofie naprzeciw trzaskającego wesołym ogniem kominka. Znajdowali się w małym, przytulnym pokoiku tuż obok salonu. Poczciwy, stary Jose przygotował go z myślą o nich.

— Opowiedz mi o swoich wakacjach i o pracy, którą niedawno zacząłeś.

— Przykro mi, że zjawiam się dopiero teraz. Były kłopoty z obsadą i reżyser ponaglał mnie, bym jak najszybciej przyjechał i pomógł mu przy doborze nowych aktorów. Tęskniłem za tobą jak diabli. Ale, jak to się mówi, pierwsze koty za płoty, poznałem trochę wcześniej warunki, w jakich naprawdę przyjdzie mi wkrótce pracować. Wiesz, spotkałem tam ludzi, z którymi robiłem parę lat temu letni teatr. Będziemy razem pracować przez następne cztery miesiące. Czy to nie cudowny zbieg okoliczności?

Rozmawiali przez jakąś godzinę, potem Jose przyniósł im podwieczorek, na który składały się małe rogaliki z ciasta francuskiego i gorąca, mocna herbata z cytryną. Lance bez większych ceregieli zabrał się do jedzenia.

— Jestem głodny jak wilk. Nie zatrzymałem się nigdzie po drodze na lunch, bojąc się, że nie zdążę dopłynąć na wyspę przed przyływem.

— Zostaniesz na kolacji, Lance? Proszę...

— A myślisz, że Zellerowie przenocują mnie później?

— No pewnie! Nie sądzę, by sprawiło im to jakiś kłopot. Och, jak wspaniale! Jutro sobota i nie muszę pracować.

Paige nie wiedziała, kiedy przyjedzie, aż do dzisiaj, kiedy kapitan Morrison przywiózł z lądu pocztę. Co prawda, nie miała czasu obgadać

wszystkiego do końca z Ritą. ale nie sądziła, by ona robiła im jakieś trudności.

I rzeczywiście, gdy poszła do niej na górę, Rita była dla niej miła i pomocna, zapraszając Lance'a, by został tak długo, na ile będzie miał ochotę.

Paige była szczęśliwa. Przed nimi był cały weekend: jutro wybiorą się na wycieczkę, może nawet pójda popływać, jeśli- pogoda na to pozwoli.

Przy kolacji Zeller z zapałem spełniał obowiązki idealnego pana domu. Mieszał, rozlewał i podawał koktajle. Prowadził z Lance'em ożywioną dyskusję na temat jego pierwszego filmu i doboru odpowiedniej obsady. Twierdził, że wprawdzie nie zna szczegółów scenariusza, ale z tego, co mówi Lance, wnioskuje, że film powinien zyskać uznanie krytyków i widzów samym swoim poziomem i zasięgiem prac przygotowawczych.

— Słyszałeś może, by ktoś w wytwórni wspominał o sfilmowaniu naszej sztuki? — zapytał Zeller, gdy kończyli deser przy stole.

Naturalnie nikt nie miał wątpliwości, o jaką sztukę chodzi. Lance ociągał się chwilę z odpowiedzią.

— Nie miałem szans rozmawiać z nikim na ten temat. Byłem zbyt pochłonięty bieżącymi sprawami, panie Zeller. Pamiętam, agent, który nas wtedy odwiedził, zaraz po premierze, mówił, że istnieje ewentualność zakupu praw autorskich do pańskiej wersji i opracowania jej raz jeszcze przez ich własnych scenarzystów. Niestety nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

— Zastanawiam się, czy wasza amatorszczyzna nie zaszkodziła sztuce...

Uwaga Zellera zmroziła siedzących przy stole. Policzki Lance'a pokryły się pąsowym rumieńcem. Paige wiedziała, nie patrząc na niego, że czuje się bardzo dotknięty.

Zacisnął palce na cienkiej nóżce kieliszka, jakby chciał ją zgnieść.

— Nie sądzę — powiedział. — Nie tak dawno sprawiał pan wrażenie człowieka, który czerpie tyleż satysfakcji ze współpracy z nami, co my z obcowania z tak wielkim pisarzem, jak pan.

Zeller zakaszłał, wprawiony w lekkie zakłopotanie.

— Punkt dla ciebie, Dały! A niech tam... Poczekamy, zobaczymy! Pozwólcie, że pożegniam się z wami. Mam na górze trochę pracy. Dobranoc wszystkim.

Dokończyli kolację nadrabiając minami. Rita podążyła za mężem wkrótce po tym, jak wstali od stołu po skończonym posiłku.

Lance i Paige usiedli na chwilę przed telewizorem, potem ubrali kurtki i wyszli pospacerować przy świetle księżyca, starając się nie oddalać za bardzo od domu.

Lance zaprosił Paige na sobotę do miasteczka. Mogliby pójść do kina, zjeść kolację w restauracji, jeśli oczywiście ma na to ochotę. Miała, i to jaką. Pozostało im jeszcze do uzgodnienia niedzielne przedpołudnie. Lance, chcąc zdążyć na samolot do południowej Kalifornii, musiał wyjechać z San Marelo około pierwszej po południu.

Oprócz jednego małego w sumie znaczącego incydentu cały weekend był dla Paige nieprzerwanym pasmem radości, małych i dużych. Czuła, że wracają jej siły i tym bardziej ochoczo zabierze się w poniedziałek do pracy. Przyrzekła Lance'owi pisać codziennie listy, co miało ją chronić przed poczuciem osamotnienia i pustki.

Pierwsza fala sztormów przetoczyła się przez wyspę w drugim tygodniu października. Paige z przerażeniem obserwowała uginające się pod wściekłymi podmuchami nawałnicy olbrzymie drzewa w lesie. Rozszalałe żywiołem morze z hukiem wdzierało się na ląd. Bezsilna patrzyła, jak w tej nierównej walce giną co mniejsze drzewa okalające trawnik. Gałęzie i konary, fragmenty roztrzaskanych pni gęsto zaścielały pobliskie pole golfowe.

Stojąc w oknie następnego dnia rano zastanawiała się, czemu nikt nie kazał Jose zamknąć szczelnie okiennic. Trwająca od kilkunastu godzin burza wyczerpała ją. Zaczęła się bać. Nie była pewna, na ile bezpiecznie może się czuć wewnątrz domu. Zaraz potem zganiła samą siebie. Solidna konstrukcja samym wyglądem stwarzała wrażenie, jakby miała przetrwać setkę lat albo i więcej. Grube ściany z pewnością stawały z powodzeniem czoła większym nawałnicom, tłumaczyła sobie.

— Bardzo się boisz, maleńka? — Zeller położył jej rękę na ramieniu. Poczowała promieniujący od niego spokój. Wróciła jej pewność siebie.

— Nie bardzo, Bertrandzie. To zaiste imponujący widok, ale cieszę się, że mam dookoła siebie grube ściany.

— To jeszcze nic! — zaśmiał się. — Nie widziałaś prawdziwej burzy. Nie byłaś w oku cyklonu, jaki nawiedza wyspy południowego Pacyfiku. Tutaj, to fraszka. Łagodny zefirek. Strąci w lesie parę słabeuszy. Prawdziwe giganty pozostaną nietknięte. Ja również nie dałem się zniszczyć. Czuję się wielki i potężny. I ty taka jesteś, Paige. Na pozór drobna i niewielka, ale drzemie w tobie wielka siła, dziecinko, o której sama nie wiesz.

Paige podeszła do biurka, na którym leżał maszynopis powieści. Uśmiechnęła się.

— Gdy spoglądam na te drzewa, tam za szczybą, czuję się mała i bezsilna. Patrz!

Wichura powaliła z korzeniami rosnący świerk.

— To tylko stare drzewo. Byłem pewny, że nie przetrzyma pierwszej burzy. Selekcja naturalna, przeżywają najsilniejsi. Prawo stare jak świat.

Było im trudno skupić się przy pracy w odgłosach szalejącej na zewnątrz wichury. Zeller nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, miotał się po bibliotece, przemierzając ją wszerz i wzdłuż. Jego głos z trudem przedzierał się przez wycie wiatru. Jose, z naręczem pełnym suchych szczap, dwukrotnie wchodził do pokoju i podsycał gasnący na kominku ogień. Cofając się bezszelestnie do wyjścia, rzucał raz po raz zaniepokojone spojrzenia na ociekające w strugach deszczu szyby, sprawdzając, czy aby które okno nie przepuszcza wody.

Paige z ulgą powitała czas lunchu. Małże i pikantna sałatka smakowały wybornie, ale po paru kęsach odłożyła widelec. Nie miała apetytu. Rita również wydawała się cicha i zgaszona. Siedzieli w pokoju, gdzie zwykli jadać śniadanie. Był mniejszy i przytulniejszy. Tu odgłosy sztormu nie były tak dotkliwe.

O zmierzchu Paige poczuła, że znów opuszcza ją odwaga. Sztorm osiągnął swoje apogeum. Zerwało kabel telefoniczny. Zostali całkowicie odcięci od świata, zdani wyłącznie na siebie.

Długo nie mogła zasnąć. W końcu zmorzył ją ciężki, mroczny jak noc wokół niej sen. Obudziła się nagle w dojmującej ciszy. Była pewna, że śni nadal. Wydawało się nieprawdopodobne, by demoniczne wycie wiatru, który wdzierał się wszelkimi możliwymi szczelinami do wnętrza domu, tak ni stąd, ni zowąd ucichło. Czterdzieści godzin strachu pozbawiło ją wszelkiej nadziei. A jednak.

Kilka dni minęło, zanim Jose usunął zwały połamanych gałęzi zalegających ogród. Szkody, jakie wyrządziła wichura, były znacznie poważniejsze, niż przypuszczali. Dach i większa część szklanej oranżerii, w której Rita pieczołowicie hodowała nowalijki w okresie jesieni i zimy, zostały doszczętnie strzaskane. Cała wyspa wyglądała jak krajobraz po bitwie.

„Zeller wydawał się zachwycony tym stanem rzeczy” — pisała Paige w liście do matki. — „Nie jestem w stanie pojąć jego zachowania.

Wiadomość o zniszczeniu oranżerii przyjął ze śmiechem, twierdząc, że szkoda czasu na odbudowywanie jej w tym roku. Może kiedyś, przy nadarzającej się sposobności..."

Burza najwidoczniej przyczyniła się do lepszego samopoczucia Zellera. Stał się bardziej wylewny, pracował szybciej i efektywniej, unikając skreśleń i poprawek.

Listy od Lance'a przychodziły regularnie. Paige odnajdywała w nich ciepło i pocieszenie. W ostatnim zapowiedział, że przy następnym spotkaniu, w listopadzie, przywiezie jej pierścionek zaręczynowy. Wcześniej ustalili datę ślubu, na pierwszą niedzielę grudnia. Miał się odbyć uroczyste, w kościele, w obecności najbliższej rodziny, w miasteczku, gdzie mieszkała Paige, Riverdale.

Na wypadek, gdyby prace przy filmie Lance'a przeciągnęły się, nie planowali długiej podróży poślubnej. Chcieli spędzić tydzień na nartach w Sun Valley. Oboje uwielbiali sporty zimowe i góry. Lance proponował, co prawda, Honolulu, ale Paige nie miała ochoty wracać na jakąkolwiek wyspę po opuszczeniu Wyspy Ptaków.

Dni mijały jednostajnie, wypełnione pracą i obowiązkami. Cokolwiek jednak nie robiła, czuła, że jest dyskretnie obserwowana przez Ritę, zwłaszcza wtedy, gdy jej mąż nie pracował nad powieścią. Rita rzadko kiedy zostawiała ich teraz samych wieczorami. Paige była jej nawet za to wdzięczna, bowiem nie miała ochoty na przebywanie sam na sam z Zellerem po pracy. I właściwie powodem nie był strach przed nim, a obawa, że zrobi coś nie tak, co uzasadni podejrzenia Rity z jednej strony, a z drugiej powiększy i tak niemałą troskę o nią Marii i Jose.

Żałowała, że Lance nie zostawił jej pierścionka, kiedy ją ostatnio odwiedził, byłby to widomy znak jej narzeczeństwa, o którym nikt z domowników jeszcze nie wiedział.

Pewnego dnia na wyspie zjawił się mężczyzna w średnim wieku, George Sinclair, podający się za archeologa. Przywiozła go motorówka dostarczająca codzienną pocztę.

Jego obecność zaskoczyła nieco Zellerów, którzy nigdy o nim nie słyszeli, ale Bertrand, ujęty jego wiedzą i zainteresowaniem historią wyspy, zaprosił go na kilkudniowy pobyt. Listy uwierzytelniające, jakie przedstawił, otworzyły mu drogę do materiałów historycznych, pieczołowicie gromadzonych przez Zellera od momentu, gdy sprowadził się na wyspę. Rozmowy i dyskusje wypełniły im kilka wieczorów pod rząd.

Profesor, jak go tytułował Zeller, zgłębiał tajniki historii na renomowanych uniwersytetach Francji i Niemiec.

Był autorytetem w swojej dziedzinie. Paige uważała, że był z pochodzenia Francuzem albo Niemcem, nie mogła się zdecydować. Zauważyła natomiast, ze zdziwieniem, jego uważne spojrzenie utkwione w jej skromnej osobie. Zdarzyło się to kilka razy, gdy siedzieli przy stole w czasie posiłków. Było to dość dziwne. Niespodziewanym zbiegiem okoliczności nieufność Paige w stosunku do jego osoby znalazła realne przesłanki.

Pracowała właśnie nad tekstem powieści, gdy zauważyła, że nie zabrała z biblioteki kilku kartek z naniesionymi przez Zellera korektami. Zeszła na dół i ciekawa, co i ile zostało zmienione, zaczęła dokładnie przeglądać strony. Usiadła na sofie krytej zieloną skórą, z wysokim, ozdobnym oparciem. Pograżona w czytaniu, z początku nie zauważyła nadejścia Rity i profesora. Sofa zwrócona tyłem do drzwi czyniła Paige niewidoczną dla nich.

— I co o tym myślisz, Paul? Widzisz jakieś zmiany? Może się myliłam?
— pytała podenerwowana Rita.

W pierwszym odruchu Paige chciała się podnieść, by zauważyli jej obecność. Ale słowa Sinclaira przygwoździły ją do siedzenia.

— Powieść jest prawie gotowa. Musi mu się udać ją dokończyć. To jego najlepsze dzieło. Przyjdzie mu też za nie płacić do końca życia, obawiam się. Teraz nie możemy wykonać żadnego ruchu. Aż do momentu ukończenia pracy nad nią. To najlepsza z możliwych decyzji, zaufaj mi.

Wyszli kontynuując rozmowę. Paige, sparaliżowana tym, co właśnie usłyszała, podniosła się z trudem.

Kim, do licha, był Sinclair? Najwyraźniej nie było to jego prawdziwe imię. Zeller nie znał go wcześniej. To pewne. Ale Rita, tak. Mówili do siebie po imieniu. Paul... Paul, a jak dalej?

Nie zeszła tego wieczoru na kolację bojąc się, że zdradzi się zarówno zbyt dużym zainteresowaniem niezwykle gościnnym, jak i nieopatrzonym gestem bądź słowem, świadczącym, że słyszała jego rozmowę z Ritą. Czy Rita kłamała rozmawiając z nią owego dnia o Zellerze? Co się właściwie dzieje na tej wyspie? Czy można o wszystko winić Ritę? Ale ona najwidoczniej coś knuje. Tylko co...? Nie wygląda to na zabawę w kotka i myszkę.

— Teraz nie możemy wykonać żadnego ruchu. Aż do momentu ukończenia powieści — Sinclair, nie, Paul to powiedział.

Nie mogła spać tej nocy. Dwa razy wstawała, by sprawdzić, czy dobrze zamknęła zasuwkę przy drzwiach. Już przedtem doświadczyła na wyspie uczucia strachu, ale dopiero teraz wiedziała, jak on naprawdę smakuje.

Nazajutrz rano Zeller powitał ją w nie najlepszym humorze. Wydawał się nadąsany i pełen pretensji. Była pewna, że to z jej powodu. Zrobiła o jeden, może dwa błędy za dużo i oto rezultat. A niech to... Nie mogła tego uniknąć pracując w takim stresie.

Sinclair, na szczęście, zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił. Tak przynajmniej myślała Paige. Jednak, gdy zapytała o niego Jose, ten bynajmniej nie zdziwiony odparł, że zabrała go na ląd pierwsza poranna motorówka.

Paige poddała się. Powiedziała sobie stanowczo, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Że jest na wyspie tylko po to, by pracować rzetelnie jako asystentka wielkiego pisarza. Że praca jest na takim etapie, od którego nie ma odwrotu.

Jednakowoż w liście do matki nie mogła się oprzeć, by nie napisać: „Mamo, muszę się stąd na jakiś czas wyrwać, by nie dać się zwariować. Proszę, przyślij telegram, że jestem pilnie potrzebna w domu.”

Dwa dni później kapitan Morrison dostarczył do domu plik listów. Na samym wierzchu leżał telegram.

Paige, zadowolona z obecności obojga Zellerów, natychmiast głośno odczytała jego treść.

Zeller podskoczył jak oparzony. Z jego kolan zsunęła się lawina listów.

— Nie możesz jechać. Nie wolno ci!

— Przykro mi, ale moja matka jest poważną i odpowiedzialną osobą. Nie ściągałaby mnie do domu bez potrzeby. Muszę jechać.

Zeller rzucił jej spojrzenie spode łba. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

Rita wstała i podeszła do niego.

— Kochanie, pozwól, zastąpię ją przy maszynie. Popracujemy razem. W końcu, musisz przyznać, Paige wykazała się ogromnym samozaparciem. Przez całe tygodnie nie opuszczała wyspy. Jeśli potrzebują jej w domu, musi tam jechać, natychmiast. Jutro z samego rana masz samolot, Paige. Jose odwiezie cię na lotnisko. Idź teraz na górę i spakuj się.

Wdzięczna Ricie za wstawiennictwo, wybiegła z pokoju jak strzała. Na górze zatrzęsała się z wrażenia po tym, co zrobiła. W pełnym blasku dnia wydało jej się niepojęte, że zdobyła się na skłonienie własnej matki do kłamstwa. Było to głupie i dziecinne, bo któż potrzebował jej teraz bardziej niż Zeller? Do końca powieści brakowało raptem dwóch ostatnich rozdziałów.

Poczuła się lepiej na myśl, że Rita przejmie jej obowiązki. Nie zostawia Zellera bez żadnej absolutnie pomocy. Jeśli Rita faktycznie umie pisać na maszynie, powinni bez trudu dobrać do końca powieści.

Wrzuciła najpotrzebniejsze rzeczy do torby podróźnej. Pobieźnie przejrzała szafę. Maria zapakuje resztę jej ubrań i wyśle je do domu.

To jest jej pożegnanie. Nigdy więcej nie wróci na wyspę.

Przerwanie pracy i wyjazd wydały jej nagle tak dziecinnie proste, że nie mogła zrozumieć, dlaczego wcześniej tego nie zrobiła. Była głupia zostając na wyspie tak długo. Dwie godziny wcześniej napisała list do Lance'a, zawiadamiając go o swej decyzji.

Płynąc następnego ranka z Jose przez zatokę, poprosi, by przesłał listy adresowane do niej, dalej, do Riverdale, w stanie Waszyngton.

Czuła się niewiarygodnie szczęśliwa opuszczając to straszne miejsce. Wszystko, od samego początku, było tu nienormalne. Miała to już za sobą. Co za ulga!

Szarpnęła zamek dopinając torbę trzęsącymi się rękami. Zapięła żakiet i rzuciła ostatnie spojrzenie do lustra.

No dobra, ale jeśli jesteś taka odważna, taka gruboskórna i taka samolubna, to dlaczego mażesz się jak dzieciak? — pytała samą siebie ścierając płynące z oczu łzy.

Rita czekała na nią w hallu.

— Nie żegnaj się z nim. Uwierz mi, tak będzie lepiej, Paige. Bon voyage! Twoja mama z pewnością na sam twój widok poczuje się lepiej. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze — dodała zmartwiona widokiem jej zapłakanej buzi.

— Nienawidzę się za to, że go opuszczam w takiej chwili.

— Poradzimy sobie — odparła Rita. Tym razem ciepłe tony jej głosu ustąpiły chłodnej determinacji.

— Nie wątpię — słowa zawisły w powietrzu niczym niemy wyrzut. Paige z ulgą powitała wchodzącego po bagaż Jose.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W zaciszu domowego ogniska Paige, otoczona serdeczną troską najbliższych, szybko odzyskała zwykłą sobie pogodzę ducha. O dziwo, potrafiła nawet teraz obrócić w żart to, co na wyspie budziło jej niepokój i było przyczyną wielu stresów.

— Pracowałam za ciężko i zbyt intensywnie przez ostatnie parę tygodni. Nie miałam też za wiele okazji, by oderwać się choćby przez małą chwilę od towarzystwa Zellerów, odwiedzić tętniące normalnym życiem San Marelo — tłumaczyła zaniepokojonej matce drugiego wieczoru po przyjeździe, gdy na spokojnie omawiały powód jej nagłego powrotu.

— Źle wyglądasz: schudłaś, stałaś się bardzo nerwowa — powiedziała zamyślona pani Maitland. — Potrzebujesz wypoczynku. Niezbyt podobał mi się pomysł z tą fałszywą depeszą. Ale, powiedziałam sobie, cel uświęca środki. Z twego listu wynikało, że sytuacja jest raczej poważna. Kiedy zamierzasz tam wrócić?

Padła wymijająca odpowiedź. Paige nie chciała na razie przyznawać się, że nie zamierza już nigdy więcej wracać na Wyspę Ptaków. Niech lepiej myślą, że przyjechała na krótki wypoczynek.

Przyszedł list od Lance'a. Ucieszył się na wiadomość o jej wyjeździe z wyspy. Prosił, by nie opuszczała domu do dnia ślubu.

„Słodkie nieróbstwo dobrze ci zrobi. Wypocznij. Rzuć się w wir towarzyskiego życia, wykorzystaj pozostały miesiąc na zabawy, panieńskie wieczory i inne hece, które dziewczyny robią przed ślubem”.

Powinna też zająć się swoją wyprawą. Gdy myślała o przygotowaniach do ślubu, doszła do wniosku, że miesiąc jej na to wszystko stanowczo nie wystarczy.

Pod koniec pierwszego tygodnia napisała list do Zellera. Wyraziła w nim nadzieję, że jego praca nad powieścią posuwa się do przodu, i powiadomiła, że ona sama, niestety, musi jeszcze przez jakiś czas pozostać w domu. Starannie dobierając słowa, dodała: „jeśli możesz sobie poradzić beze mnie, a jestem pewna, że tak jest, to byłabym ci niezmiernie wdzięczna za zwolnienie mnie z obowiązku obecności przy pracy nad końcowymi rozdziałami książki. Pamiętam, że w chwili mojego wyjazdu kończyliśmy przygotowania do dwóch ostatnich, co pozwala mi mieć nadzieję, że być może w chwili czytania tego listu masz już powieść całkowicie gotową.”

Następnego dnia po wysłaniu listu zadzwonił Zeller. Siła jego perswazji była tak wielka, że mimo iż słyszała jedynie jego głos, oczyma wyobraźni widziała go stojącego ze słuchawką w ręku tuż obok.

— Dziecko, ty nawet nie masz pojęcia, jak bardzo twój wyjazd podziałał destabilizująco na moją 'pracę. Szczerze mówiąc, od tamtej pory nie ruszyłem prawie z miejsca. Nie mogę się skoncentrować. Rita robi, co może, ale nie jest w stanie mi cię zastąpić, Paige. Wracaj. Proszę cię, wracaj jak najspieszniej! Inaczej cały nasz trud spełźnie na niczym. Odwaliliśmy kawał wspaniałej roboty, nie wierzę, by twój stosunek do niej był tak zimny i obojętny.

Zależy ci na ukończeniu powieści tak samo jak mnie, przyznaj...

— Paige, co się stało? — zapytała szeptem jej matka, widząc pobladłą nagle twarz córki. .

Paige skinęła jej głową w uspokajającym geście. Powinna była przewidzieć, że Zeller zareaguje w ten sposób. Do licha, a czego się właściwie spodziewała?! Zostawiła go z rozbabraną robotą w najgorszym momencie. Stojąc teraz ze słuchawką w dłoni, odbijającą wesołe promyki słońca wdzierającego się radośnie do pokoju pachnącego pieczonym w kuchni piernikiem, pomyślała, że wiele rzeczy tam, na wyspie, niepotrzebnie wyolbrzymiała.

— Jak się miewa twoja matka?

Ciepły ton pytania, jak i bliskość matki rozwiały ostatnie wątpliwości.

— Znacznie lepiej, panie Zeller. Przykro mi z powodu opóźnień w pańskiej pracy. Postaram się wrócić już jutro. Czy Jose mógłby wyjechać po mnie na lotnisko? Powinnam przylecieć o czasie. Przy tak pięknej pogodzie nie sędzę, by nastąpiły jakieś nieprzewidziane komplikacje.

— Jesteś aniołem, Paige! Do końca życia pozostanę twoim dłużnikiem...

Odłożyła słuchawkę przerywając tym lawinę słów, jaka w nią spłynęła. Popatrzyła stropiona na matkę.

— O co tu chodzi, Paige? Czym się tak zamartwiasz? Powiedz, co tak naprawdę dzieje się tam na wyspie? Znam cię na tyle, by wiedzieć, że bez ważnego powodu nie przerwałabyś żadnej pracy.

— Zwykle przemęczenie. Ale już mi lepiej. Poza tym i tak myślałam, że czas wracać. Tymczasem nie chcę myśleć o pracy, chcę się bawić i śmiać!

— Paige uśmiechnęła się z przymusem. Pani Maitland patrzyła z troską, jak jej córka wychodzi z pokoju zgaszona i smutna.

— Dzieje się coś niedobrego — pomyślała wracając do kuchni. — Paige najwyraźniej się czymś martwi. Zanim wyjedzie na wyspę, muszę odkryć, co to takiego.

Paige nie pozwoliła, by myśl o jutrzejszym wyjeździe zatrąła jej ostatni dzień pobytu w domu. Razem z matką miały się wybrać do fryzjera, a potem odwiedzić kilka sklepów i kupić parę drobiazgów do wyprawy panny młodej.

— Przez cały dzień nie pomyślę ani raz o Wyspie Ptaków — postanowiła solennie przygotowując się do wyjścia.

Raptem zdała sobie sprawę, że źródłem jej zmartwień nie jest wcale sam Zeller. Chodziło o trudne do wytłumaczenia zachowanie Rity, jak i atmosferę wyspy, a raczej panujące tam poczucie całkowitej izolacji od świata. Teraz, gdy domyślała się, że Rita i ten Sinclair, czy jak mu tam, snują wokół Zellera jakieś perfidne intrygi, poczuła się za niego podwójnie odpowiedzialna. W obliczu nowej sytuacji Zeller urósł w jej oczach do rangi niemal męczennika, ofiary zaborczej i zazdrosnej żony.

— Pojadę, bez względu na to, co się tam będzie dziać, i dokończę z nim powieść — postanowiła. — Nie powinno mi to zająć więcej niż dwa tygodnie. Poproszę Lance'a, by przyjechał po mnie wcześniej. Lance... No tak, nie pomyślałam o nim. Pewnie się zmartwi, dowiadując się o moim powrocie na wyspę.

Tego wieczoru było głośno i gwarno przy kolacji. Siostra i brat Paige zasypywali ją gradem pytań, chcąc dowiedzieć się wszystkiego o jej narzeczonym.

— Polubisz go, Ted — zwróciła się do brata. — Wszyscy go polubicie, zobaczycie.

— To takie ekscytujące mieć szwagra filmowca — westchnęła rozmarzona Sue.

— No tak, możesz być pewna, że nie da mu spokoju, dopóki jej nie zatrudnią w Hollywood — rzucił z przekąsem Ted.

— A o czym to tak debatowałeś zawzięcie wczoraj wieczorem przez telefon z Jerrym Sullivan? — powiedziała oskarżycielskim tonem Sue. — Zapewniałeś go, że gdybyś miał tylko okazję, sprawdziłbyś się na sto procent!

— Masz babo placek, znowu zaczęli — pomyślała rozbawiona Paige. Była pewna, że będą to ciągnąć w nieskończoność, gdy nagle zamilkli,

uciszeni pytaniem ojca o powieść Zellera. Ojciec interesował się nią od samego początku.

Ted i Sue pozbierali talerze po głównym daniu i Paige wniosła deser, jak za dawnych dobrych czasów. Przekomarzaniom i żartom nie było końca. Przerwał je na moment telefon od chłopaka Sue, Jerry Sullivana. Paige z sympatią przypominała sobie miłego nastolatka z najbliższego sąsiedztwa. Pochodził z bogatej rodziny, kiedyś Sue może uwije sobie z nim gniazdko, i to w dodatku prawie u boku rodziców. Oby życie im wszystkim dobrze się ułożyło!

Jerry przyszedł z wizytą koło ósmej. Młodzi zgromadzili się wokół pianina śpiewając najnowsze przeboje, trawestując stare. Rodzice Paige usiedli opodal na miękkiej kanapie i przyglądali się im z uśmiechem. Paige odniosła wrażenie, że starają się nie uronić ni chwili z ostatniego wieczoru, jaki wspólnie przyszło im spędzić. Następnym razem zawita do domu już jako mężatka, przy boku nowo poślubionego męża. W pewien sposób ją stracą.

Poczuła słony smak łez napływających do oczu, gdy wspomniała dotkliwą samotność, jakiej przyszło jej doświadczyć na wyspie. Pomyślała, co czuła jej matka patrząc na pusty pokój u szczytu schodów...

Gdy skończyła pakowanie torby podróżnej, usłyszała pukanie do drzwi. Do pokoju weszła matka. Pomogła zaścielić jej łóżko, po czym razem usiadły na jego brzegu i, zapominając o Bożym świecie, gadały jak najęte przez ponad godzinę.

Nawet jeśli matka Paige miała wątpliwości co do powodu przyjazdu córki na krótki wypoczynek do domu, nie zdradziła się z tym absolutnie. Paige wyczuwając to, ucałowała ją gorąco na dobranoc. Ojciec, zaniepokojony przedłużającą się w nieskończoność rozmową, monitował je kilka razy.

— Szósta rano przychodzi zawsze o parę godzin za wcześnie — zażartował w końcu.

— Ojej, Paige! Musisz przecież się wyspać. Wskakuj szybko pod kołdrę, opatulę cię!

Jakie to wspaniałe, czuć się znowu małą dziewczynką! Podróż do domu i krótki wypoczynek działały cuda. Paige czuła się jak nowo narodzona. Zasnęła z błogim uśmiechem w kącikach ust.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na pozór wszystko było takie samo. Malownicze miasteczko przycupnięte na skraju wielkiego portu wyglądało nie mniej atrakcyjnie niż sześć miesięcy temu. Jadąc taksówką wzdłuż nadmorskiego bulwaru zauważyła czarne flagi na plaży.

Słońce świeciło przez mgłę. W powietrzu dało się wyczuć nadciągający deszcz. Mewy niespokojnie krążyły nad szarymi wodami zatoki. Wszystkie znaki na ziemi i niebie zapowiadały załamanie pogody.

Z portowych doków zniknęły rybackie kutry. Odprowadzono je przezornie w górę rzeki i zakotwiczono wzdłuż spokojniejszych nadbrzeży sąsiedniego miasteczka. Jose najwidoczniej nie był w stanie przyjechać po nią na lotnisko. W porcie zauważyła wyprostowaną sylwetkę kapitana Morrisona. Podeszedł do niej i bez słowa wyciągnął rękę po bagaż.

— Dzień dobry, kapitanie Morrison — powitała go, postanawiając być miłą.

— Dobry.

— Wygląda na to, że będziemy mieć nową burzę.

— Iii... Powieje i przestanie. Wsiadajcie, panienko, zaraz ruszamy! — Postawił bagaż na dnie łodzi i pomógł jej wsiąść. Bynajmniej nie zamierzał trwonić czasu na zbędne konwenanse.

Ruszyli. Motor zagrał miarowym dźwiękiem i wkrótce znaleźli się na szerokich wodach zatoki. Z dala zobaczyła jeszcze olbrzymi szwedzki frachtowiec zakotwiczony w prywatnym portowym basenie. Dwa dźwigi przeładowały na jego pokład potężne pnie drzew ze stojących tuż obok barek. Niewielki holownik, który przyprowadził je tu z głębi ładu, niespokojnie pykał kłębami dymu.

Paige z przyjemnością patrzyła na spiętrzone przyplływem wody zatoki. Nie lubiła odpływu, odsłaniającego mazisty brzeg i piaszczyste mielizny. Zatoka wyglądała wtedy jak kobieta z zadartą przez wiatr spódnicą.

Kapitan Morrison pozostawał przez całą drogę równie milczący, co podczas pierwszej przeprawy, którą odbyli wspólnie w czerwcu.

Zanim jednak łódź dobiła do brzegu, wyrzucił z siebie jedno zdanie.

— Wróciła panienka... Szkoda...

Nie mogła powstrzymać cisnącego się na usta pytania: — Dlaczego?

Wiedziała, że nie odpowie, choćby dlatego, że dobiegł ich właśnie gromki okrzyk powitalny, wydany na jej cześć przez czekającego na podeście Zellera.

Morrison zignorował jej pytanie, ale rzucając Zellerowi cumę pokręcił kędzierzawą głową. Podał torbę z listami i dyskretnie cofnął się na bok ustępując miejsca Paige, do której Zeller wyciągnął dłoń, pomagając jej wyjść z łodzi.

Zeller prezentował się dość mizernie, schudł, pod oczami pojawiły się cienie. Paige poczuła w sercu ukłucie, to jej zasługa, zostawiła go w końcu w najbardziej krytycznym momencie. Z drugiej strony, usprawiedliwiała się, jej ucieczka spowodowana była morderczym tempem pracy, jakie jej narzucał przez całe lato.

— Wyglądasz prześlicznie, Paige. Wyjazd dobrze ci zrobił. Niestety, ja przez ten czas przeżyłem ciężkie chwile. Ale teraz, gdy wróciłaś, wszystkie moje kłopoty się skończyły! — mówił żywo gestykulując. Paige zobaczyła jego oczy. Były pełne wewnętrznego światła. Może jej wyjazd, wbrew temu, co mówił, przysłużył się i jemu?

Zatrzymali się u szczytu stromego podejścia dla złapania tchu. Słońce świeciło nieco jaśniej. Mimo to poczuła na twarzy delikatne krople deszczu. Zanim dotarli do domu, rozpadało się na dobre.

— W samą porę! — wykrzyknął Zeller. — Pośpieszmy się! Podaj mi rękę!

Zanim zdążyła odpowiedzieć, schwycił jej dłoń i pociągnął za sobą. Pobiegli na przełaj przez trawnik, kamienne płyty patio i wbiegli pędem do domu kuchennymi drzwiami. Wytarli starannie buty w słomianą matę. Zeller pomógł jej zdjąć palto strzepując je następnie za drzwiami. Taką samą operację powtórzył ze swoim płaszczem przeciwdeszczowym.

— W jadalni czeka na ciebie świeżo parzona kawa i gorące śniadanie. Chcesz, poproszę Jose, by zaniósł ci je do pokoju. Ach prawda, zapomniałem, Jose jest chory. Maria to robi.

— Tak, dziękuję, Bertrandzie! — uśmiechnęła się pełna wdzięczności za okazaną troskę i zaczęła iść po schodach na górę. Podniosła głowę i zobaczyła stojącą u szczytu schodów Ritę. Jej twarz była blada, rysy ściągnięte.

— Więc jednak wróciłaś. Miałam nadzieję, że tego nie zrobisz! — jej słowa ścięły mrozem ciepłą atmosferę wprowadzoną miłym powitaniem Zellera. Paige pomyliła z wrażenia stopnie.

— Czy mogę z panią zamienić dwa słowa, pani Zeller?

— Oczywiście! — Rita wprowadziła Paige do jej starego pokoju. Zebrawszy siły Paige wypaliła:

— Wróciłam, bo pan Zeller usilnie prosił mnie o to przez telefon. Przykro mi z powodu powstałych zaległości w jego pracy.

— Twój wyjazd wytrącił go z równowagi, Paige. Ale skoro zdobyłaś się raz, by nas opuścić, nie powinnaś była tu wracać. Dla własnego dobra.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by powieść została jak najszybciej ukończona. Proszę mi wierzyć, to jedyny powód, dla którego wróciłam. Pan Zeller powiedział, że bez mojej pomocy nie będzie w stanie dokończyć swego dzieła. Zdaje sobie pani sprawę, jakie to dla niego ważne — popatrzyła prosto w oczy Rity, myśląc, że z nich dwu, kto jak kto, ale Rita mogłaby powiedzieć, dlaczego to takie ważne. O mały włos nie rzuciła jej w twarz tego, co o tym wie. Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. Dwie kobiety zmierzyły się wzrokiem.

— Tak, najważniejszą rzeczą w tej chwili jest ukończenie książki — powtórzyła Rita, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Paige zdjęła beret, uczesała włosy, umyła ręce i siadła przy stole czekając na Marię.

— Nie spocznę, póki nie skończę tej piekielnej pracy. Będę robiła przerwy tylko na posiłki i sen — powzięła mocne postanowienie.

Rita stojąc przed mahoniową toaletką sięgnęła mechanicznie po flakon z perfumami. Otworzyła kryształowy korek i zbliżyła do swych nozdrzy. Skrzywiła się z niesmakiem. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Lśniące, czarne włosy skromnie ściągnięte w tyle głowy odsłaniały w całej okazałości posiwiałe skronie. Napięcie, w jakim żyła przez ostatnich parę miesięcy, lata trosk i samotnych zmagania z losem postarzały ją przedwcześnie. Teraz miotała się w bezsilnej wściekłości. Była wściekła, ponieważ dziewczyna wróciła, w dodatku miała rację twierdząc, że Zeller nigdy nie ukończyłby powieści bez jej pomocy.

Pierwszego dnia po jej wyjeździe Zeller wpadł w szal. Było tak źle, że obawiała się, że to już koniec. Zeller zniknął na pewien czas. Wybrał się na samotną wycieczkę po wyspie. Wrócił spokojny i opanowany, i niebywale głodny.

Przez dwa dni nie wspomniał o powieści. Trzeciego poprosił ją, by posłuchała fragmentu, na którym skończył pracę z Paige.

Jeszcze tego samego dnia podyktował jej dziesięć nowych stron. Rita robiła, co mogła, by sprostać jego wymaganiom, ale nie mogła nadażyć. Później, przepisując stenogram, pogubiła się dokumentnie.

Następnego ranka Bertrand, zaskakująco łagodny i wyrozumiały, pomógł jej zredagować pogmatwany tekst na nowo. Drugiego dnia znowu podyktował jej kilka stron. Poszło jej trochę lepiej, jako że poprzedniego wieczoru do północy studiowała podręcznik stenografii. Zachęcona sukcesem, z niezachwianym postanowieniem niesienia mu pomocy zaczęła wierzyć, że uda im się.

I wtedy nadszedł list od Paige. Wiedział już, że nie wróci na wyspę. Znowu ogarnął go dziki gniew. Siedział godzinami na plaży, wpatrując się w morze, milczący i blady.

Tylko raz odezwał się do Rity mówiąc: — Zrujnowała tą decyzją dzieło mego życia. Nie mogę pracować bez niej.

Rita nie ośmieliła się zaprzeczyć. Następnego ranka wsiadł do swojej motorówki i pojechał do San Marello.

Wrócił promieniując triumfem.

— Ona wraca! Zawsze uważałem ją za inteligentną dziewczynę.

Pozostałą część dnia Rita spędziła licząc godziny, blada ze strachu. Zeller opróżniwszy do dna butelkę whisky, biegał po całym salonie strącając z półek cenne przedmioty, otwierając i zamykając niezdarnie szklane szafy.

— Sztylet, Rita, gdzie on jest? — wpadł do jej pokoju z żądaniem od progu. Oczy miał przekrwione i błyszczące.

— O co ci chodzi, Bertie? — spytała łagodnie.

— Nóż, Manoa dał mi go. Błyszczące ostrze. Tylko bogowie mogą go dotykać. To ostrze ofiarne. Wiesz, co1 mam na myśli, Rita. Czy to złodziejskie nasienie, Jose, ukradł go?

Lodowaty ton jego głosu zmroził ją. Pokonując strach, odezwała się najłagodniej, jak tylko pozwoliły jej na to napięte jak struny nerwy: — Jestem pewna, że leży w którejś z gablot w salonie, Bertie, kochanie. Idź, przygotuj się do kolacji, a ja tymczasem pójdę go poszukać.

— Zgoda. Ale dlaczego ktoś go stamtąd zabrał. Nie wolno go ruszać z miejsca. Czy to jasne?

— Oczywiście, kochanie. Z pewnością odłożono go w złe miejsce przy odkurzaniu.

— Tylko ja mogę go dotykać!

— Tak, Bertie, zapamiętam.

Wzięła go pod ramię i zaprowadziła do jego pokoju. Zawahał się w progu.

Pomogła mu się położyć na łóżku. Pięć minut później spał jak dziecko.

Bała się odłożyć sztylet na miejsce. Z drugiej strony, obawiała się, co będzie, gdy go znowu zażąda, a nie znajdzie we właściwym miejscu. Obudziwszy się następnego ranka, na szczęście zapomniał o całym incydencie. Niestety, przyszedł do jej pokoju późno w nocy, budząc ją z głębokiego snu.

Tym razem zdawał się być zupełnie normalny. Zapytał niewinnie:

— Gołąbeczko, wybacz, że cię budzę, ale chyba ktoś nieproszony buszował po gablotach w salonie. Brakuje drogiego podarunku od Manoy.

— Alabastrowej waży?

— Nie, czegoś daleko bardziej drogiego. Noża ofiarnego ze szmaragdem w srebrnym trzonku.

— Już wstaję, kochanie, i pójde sprawdzic, co się z nim mogło stać. Pewnie wsunął się pod coś w gablocie. Wracaj do łóżka. Przyniosę ci go, byś mógł się przekonać, że nic się z nim nie stało, a potem odłożymy go razem na miejsce, dobrze?

— Dziękuję ci, chérie. Pójdiesz tam zaraz, prawda? Rzeczywiście, w salonie jest ciemno i mogłem go nie zauważyć.

— Oczywiście, kochanie. A teraz już idź do siebie, proszę. — Rita narzuciła na ramiona jedwabny szlafrok. Odczekała, aż jego kroki ucichną, po czym wydobyla z szafy maleńkie pudełko i wyciągnęła z niego sztylet.

Trzymając go ostrożnie w dłoniach, skierowała się ku drzwiom pokoju męża, dbając o to, by slyszal z daleka jej kroki. Odczekała chwile na wypadek, gdyby ją śledził, potem weszła do jego pokoju. Zaświeciła górną lampę.

— Patrz! Widzisz? Był tam cały czas, wsunął się tylko za koronacyjne puchary.

Usiadł na łóżku uśmiechając się z wdzięcznością.

— Jesteś nieoceniona! Odłóż go na miejsce, gołąbeczko, dobrze? Chce mi się spać, przerwałaś mi piękny sen.

Rita wyłączyła światło. Zeszła do salonu i odłożyła sztylet na miejsce do gabloty. Zamknęła ją na klucz, który zabrawszy ze sobą na górę, schowała w sekretnym schowku, w pudełku z atlasowymi baletkami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— Do połowy listopada — zapewniał Zeller Paige — powieść będzie ukończona.

— Urządzimy sobie wtedy wspaniałą uroczystość — dodał.

Nie mylił się. Pisząc do Lance'a, kilkanaście dni później, Paige cała triumfująca zawiadamiała go, że potrzebuje jeszcze tylko dwóch dni, na przeglądnięcie maszynopisu i poprawienie wszelkich błędów, czysto technicznej natury. Po jej powrocie na wyspę praca poszła im nad wyraz sprawnie. Sami byli tym trochę zdziwieni.

Nawet Rita, oszołomiona wynikami, musiała przyznać: — Myliłam się, Paige, winna ci jestem przeprosiny. On cię naprawdę potrzebował. Skończyliście pracę w iście zawrotnym tempie, i nie widziałam go jeszcze tak szczęśliwego zaraz po ukończeniu książki.

Twarz Paige pokryła się rumieńcem zadowolenia. Nie uroniła ani chwili od momentu, w którym przyrzekła sobie zająć się wyłącznie pracą. Śniadanie i lunch jadła w swoim pokoju. Chwile samotnego relaksu pomagały jej zregenerować siły. Jadając przy wspólnym stole wracałyby spięta do pracy. Często zabierała na górę również tacę z kolacją. Całkowitej izolacji zapobiegła jednak Rita, kładąc kres tym praktykom, ku niewątpliwemu zadowoleniu Paige.

Kiedy praca nad książką została definitywnie zakończona, a maszynopis leżał przygotowany do przekazania wydawnictwu, Rita dziwnie przygasła. Paige zastanawiała się, na ile jej plany motane wspólnie z Sinclairem, tak bliskie teraz realizacji, były dla niej bramą do szczęścia.

Ostatnie dwa dni pracy były dla Paige najprzyjemniejsze. Ot, drobne techniczne korekty maszynopisu. Nawet wydawca nie przewidywał żadnych przeróbek w przyszłości, zachwycony konspektem ostatniej części i dotychczasowymi wynikami.

Przyroda, jakby współgrając z finalnym aktem tworzenia arcydzieła potęgi ludzkiego umysłu, rozpętała ostatnią burzę nad wyspą. Po czym w dzień wyznaczony na uroczyste pożegnanie podarowała im pogodę tak piękną, a wyspę tak czarującą, że wprost nie mogli się nadziwić sprzecznościom jej natury.

Zakończyli przygotowania o jedenastej rano. O piątej na wyspę przybywał Lance. Obie pary, Zellerowie oraz Paige z Lance'em, miały

wziąć udział w uroczystym bar-becue, a potem odpłynąć na ląd z kapitanem Morrisonem.

Zellerowie odlatywali na wschodnie wybrzeże następnego dnia rano. Paige miała jednak poważne wątpliwości, czy Rita będzie towarzyszyć mężowi w tej podróży.

Około czwartej po południu Paige, nie mogąc się doczekać przyjazdu Lance'a, zeszła do kuchni w nadziei, że może Maria pozwoli sobie coś pomóc, i w ten sposób szybciej minie jej czas.

— Nie, nie! — Maria zdecydowanie pokręciła głową. — Pobrudzisz piękne ubranie. Widzisz, wszystko gotowe, nawet sos do mięsa, a bułeczki właśnie rhosną — zdjęła niebieską serwetkę z dumą prezentując wzdęte drożdżowe ciasto podchodzące ku brzegom olbrzymiej misy.

Zatoczyła ręką szeroki łuk wskazując efekty pozostałych przygotowań. Plastikowe kubki i talerzyki piętrzyły się na tacach gotowe do wyniesienia do ogrodu, w kryształowej wazie smakowicie zieleniła się sałata, Maria otworzyła lodówkę i wyciągnęła z niej sześć imponujących wielkością steków, owiniętych w szary papier.

— Wszystko wygląda wspaniale, Mario! — Paige pragnęła podziękować jej za ciepło i opiekę, jakie u niej zawsze znajdowała. Wzruszona, niezdarnie szukając słów mających wyrazić jej wdzięczność, umilkła uciszona przez Marię.

— Taka szczęśliwa jestem, ty cała i zdrowa masz jechać stąd — przerwała jej Maria, uśmiechnięta i szczęśliwa. — Twój Lance ma tu przyjechać, tak?

— O piątej. Nie mogę się już doczekać. Mario, chcę ci coś powiedzieć. Ja i Lance zamierzamy wziąć ślub w grudniu.

— Mahria wie o tym, od dawna... To dohry chłopak, będziecie razem szczęśliwi.

Paige ogarnęła wzrokiem całą kuchnię: rząd wypolerowanych do połysku naczyń z miedzi, śnieżną biel lodówki i zamrażarki. Żółte zazdrostki w oknach, piec z czerwonej cegły, pod którym zawsze wesoło buzował niewielki ogień. Czerwone puszki z przyprawami i pęki ziół zwisających z dębowej belki w maleńkiej niszy. Będzie jej brakowało tego miejsca, tu szukała schronienia przed smutkiem i samotnością. Tu czuła się zawsze bezpieczna.

Nagle jej wzrok przyciągnęła puszka z datkami na fundusz Anity. Wykorzystując moment, gdy Maria stanęła odwrócona do niej plecami,

wsunęła tam, bezszelestnie, przygotowany zawczasu czek. I tak nie jest w stanie zrewanżować się Marii i Jose za ich troskliwość.

— Do zobaczenia wieczorem, Maria!

Otworzyła drzwi do ogrodu i wciągnęła całą pierśią rześkie powietrze. Czowała się wolna i swobodna jak unoszące się nad wodami zatoki mewy. Weszła w skąpany w słońcu ogród. Popatrzyła w górę, gdzie wierzchołki drzew z pobliskiego lasu harmonijnie zlewały się w miękką linię horyzontu z wystającymi spoza nich wzgórzami. Wysoko ponad nimi górował niedostępny, strzelający prosto w niebo, samotny szczyt Highpointu. Przez cały czas pobytu na wyspie ani razu nie pomyślała, by wspiać się na jego wierzchołek, ignorując piękno, jakie stamtąd mogłaby dostrzec. Jak to było możliwe? Poczowała nieodpartą chęć dotarcia tam natychmiast. To jej ostatnia szansa, bo, wiedziała to na pewno, nie powróci więcej na Wyspę Ptaków.

— To zaprawdę warte zobaczenia, samotne i piękne miejsce. Chcesz, razem zdobędziemy Highpoint? — zaproponował jej Zeller, jakby odgadując jej myśli.

Pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. Przesłaniając oczy wierzchem dłoni, stał tuż za nią, wpatrzony w wyzywający swym pięknem szczyt. Para czapli unosiła się leniwie nad płasko uformowanym wierzchołkiem góry, nic sobie nie robiąc z przepastnej głębiny roztaczającej się wokół niej. Było bezwietrznie i spokojnie.

— Chciałabym tam pójść — powiedziała wolno — ale nie jestem odpowiednio ubrana. Poza tym, obawiam się, że by mi nie starczyło sił.

— Ależ, dziecinko, nie bój się, Highpoint nikogo jeszcze nie zmęczył — Zeller nie zamierzał widać tak łatwo zrezygnować. — I co najdziwniejsze, im wyżej wchodzisz, tym mniej się męczysz. Czasami myślę, że to miejsce ma w sobie magiczną moc. Chodź, pokażę ci!

— Nie! — Paige nie ruszyła się z miejsca. — Nie mam odpowiednich butów. Zniszczę sobie nowe ubranie.

— Ale skąd! Na sam szczyt prowadzi wygodna dróżka. A buty, jakie masz na sobie, są w sam raz. To nie będzie trudniejsze od zejścia na plażę. — Zeller dotknął jej ramienia. — Pozwól, że pokażę ci Highpoint. Taka wyprawa cudownie zwieńczyłaby naszą dotychczasową współpracę. Tam z góry rozpościera się zapierający dech w piersiach widok na całą wyspę i miasteczko po drugiej stronie zatoki. Sam wspinam się tam prawie codziennie, wspominałem ci o tym, pamiętasz?

Nie śmiała mu powiedzieć, że boi się tego miejsca. Wiedziała, że nie wolno jej wymieniać imienia Hildegardy. Zachowywała się dziecinnie, odmawiając mu ostatniej przyjemności, jaką niewątpliwie sprawiłoby mu pokazanie jej jedyne go miejsca na wyspie, które szczerze podziwiał.

Od dawna nie czuła skrępowania w jego towarzystwie. Uśmiechnęła się do Zellera i ruszyli różnym krokiem zostawiając w tyle różany ogród Rity z kikutami zaschniętych róż, niewielki zagajnik i kilka opustoszałych warzywnych grządek. Ścieżka zaczęła pięć się w górę. Zwolnili nieco tempo. Za zakrętem zaczął się najtrudniejszy odcinek. Krzewy po obu stronach ścieżki zgęstniały, zbocze wyrastało im prawie pionowo spod nóg. Niespodziewanie zarośla nagle urwały się i Paige ze zdziwieniem skonstatowała, że znaleźli się na pozbawionym roślinności, płaskim wierzchołku góry. Wspinaczka, zgodnie z zapowiedzią Zellera, nie była wcale forsowna.

— Odpocznij chwilę, dziecko.

— Nie muszę. Było tak, jak mówiłeś, kosztowało mnie to odrobinę dobrej woli i energii. Co za widok!

Podeszła ostrożnie na skraj przepaści.

Kobaltowy błękit, widziany z góry, miał niespotykane intensywne odcienie. Dwieście stóp niżej skała, na której stała, wpadała wprost w otchłań morską. Biały żaglowiec płynął równo z bryzą, kilka rybackich kutrów dryfowało swobodnie na fali przyływu. Ponad nimi białe kumulusy przeciągały wolno po lazurowym nieboskłonie, podmuch wiatru w wierzchołkach drzew porastających położone niżej zbocza wzgórz wydawał cichy, kojący odgłos. Widok był zaiste wspaniały! Paige, podekscytowana i zauroczone, czuła się całkowicie zespolona z otaczającym ją pięknem. Zawieszona między niebem a ziemią, pozbawiona ciężaru ciała, duszą szybowała w przestworzach. Uniosła ręce w niemym zachwycie ku górze. Raptem, szóstym zmysłem, wyczuła obecność Zellera. Zapomniała o nim, oczarowana pięknem rozpościerającym się wokół.

Rita przebudziła się nagle opanowana dziwnym uczuciem, że zasnęła. Po raz pierwszy, Bóg jeden wie, od jak dawna, poczuła się na tyle odprężona, że udało jej się zdrzemnąć na chwilę po obiedzie.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. W domu panowała absolutna cisza. Tknięta złowieszczym przeczuciem, zerwała się z łóżka i wskoczyła w leżące na krześle ubranie. Zbiegła ze schodów, sprawdziwszy uprzednio pokój Zellera.

W domu nie było ani Zellera, ani Paige. Usłyszała dobiegającą z kuchni rozmowę Marii i Jose. Przebiegając przez kuchnię, rzuciła im pytanie o Zellera i Paige.

W tym momencie zobaczyła nadchodzącego od strony tarasu Lance'a. Zanim zbliżył się do niej, Rita krzycząc jak oszalała, zawróciła go z drogi. Przestraszony podążył pędem we wskazanym przez nią kierunku, wspinając się w górę wąską ścieżką.

Podejście nie było tak trudne, jak się tego spodziewał. Mimo to szybkie tempo wspinaczki pozbawiało go momentami oddechu. Oszołomiony, wyczerpany biegiem, parł niezmordowanie naprzód, starając się złożyć w logiczną całość chaotyczne okrzyki Rity. Coś o ofiarnym rytuale na szczycie Highpointu... Chryste, to nie ma sensu! Życie nie może być tak idiotycznie nieprawdopodobne, to zdarza się tylko w sznurowatych romansidłach. Niemniej wszystko, co budziło choćby cień obawy o bezpieczeństwo Paige, wymagało natychmiastowego działania. Podejście gwałtownie skończyło się, trafił niespodziewanie na pozbawioną roślinności, pustą, skalną półkę.

Pozwolił sobie na głębszy wdech. Zeller mamrocząc coś w niezrozumiałym języku zbliżał się wolno do Paige. Ta z wzrokiem zasnutym mgłą, nieruchomo utkwionym w jego twarzy, niczym w hipnotycznym transie, osunęła się w bok automatycznie, praktycznie unieruchomiona ograniczoną przestrzenią. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z obecności Lance'a. Zeller słaniając się, zrobił krok w przód, łapiąc rękami jedynie powietrze.

Wkrótce było po wszystkim. Powietrze przeszył rozdzierający pisk i Paige znalazła się w ramionach Lance'a, zanosząc się od płaczu. Tam gdzie jeszcze przed chwilą stał Zeller, była pusta przestrzeń. Skalne urwisko żyło w tym miejscu. Nad osuwającymi się kamieniami unosiła się maleńka mgiełka suchego" jak pieprz kurzu, jedyny widoczny ślad powstały na skutek tragicznego odejścia Zellera.

Lance schylił się przyglądając się przedmiotowi leżącemu przy jego bucie. Kopnięciem wydostał go z kępki brązowej trawy. Błysnęło srebrne ostrze, piękny szmaragd zagrał tęczą barw. Paige załkała.

— Kochana, moja kochana! Uspokój się, wszystko będzie dobrze...

Schodzili w dół ścieżką, szepieni w uścisku. Wolno, nie zważając na potknięcia, minęli zagajnik, ogród pełen zwiędłych i martwych kwiatów, weszli na płytę tarasu, gdzie stała nieruchoma jak rzeźba Rita.

— Zeller...? — usta bez kropli krwi ledwo się rozchyliły zadając pytanie.

— On ... spadł...

— Z Highpointu... — odpowiedziała Rita głuchym głosem znikając w głębi domu.

Kapitan Morrison przypląnął na daremno. Nikt nie opuścił wyspy tego dnia.

— Będzie śledztwo i prawda wyjdzie na jaw. Musi wyjść — myślała Paige siedząc otępiała w kuchni, podczas gdy Maria i Jose krążyli wokół niej zatroskani i niespokojni.

Nagle wstała zdeterminowana. Odszukała Ritę.

— Mam prawo znać prawdę, pani Zeller. Byłam mimowolnym świadkiem pewnej rozmowy między panią a Sinclairem, tam w bibliotece — powiedziała lodowatym głosem patrząc jej prosto w oczy.

— Jest pewna rzecz, o której nie zostałam poinformowana. Mój mąż miał zostać oddany do kliniki psychiatrycznej na początku grudnia — odparła cicho Rita. — Wiem, że przez wzgląd na pamięć o nim nie przekażesz tej wiadomości prasie. To, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia, było nieszczęśliwym wypadkiem. Mam nadzieję, że tak to przedstawiś policji.

Paige zarumieniła się w poczuciu bezsilności.

— Nic nigdy nie zmieni faktu, że był geniuszem, pani Zeller. Wierzę, że jeśli będą tego wymagały okoliczności, powie pani policji o jego chorobie umysłowej.

Paul. Nie Sinclair, ale światowej sławy psychiatra z Niemiec doktor Paul Liederstrom. Jak mogła się tego nie domyśleć!

— Przepraszam za wszystko, pani Zeller. Szkoda, że okazałam się dla pani tak bezużyteczna.

Dobrze, że chociaż udało się im dokończyć pracę nad książką. Niewielka to pociecha dla Rity, ale Paige przypomniała sobie, jak wielką wagę do pracy nad nią przywiązywał doktor. Biedna Rita! Może bajeczne honoraria, jakie spłyną na nią ze sprzedaży praw autorskich, wynagrodzą jej choć w części poniesioną stratę. Paige wzdrygnęła się z odrazą nad swą małostkowością.

Policjanci byli bardzo wyrozumiali dla Paige i Lance'a. Zaprotokołowali ich zeznania rankiem następnego dnia i pozwolili im opuścić wyspę. Na lotnisku, mając już pewien dystans do sprawy, Paige pomyślała z żalem, że tragedia Zellera zaćmiła mocno ich szczęście.

Wysoko w chmurach, trzymając dłoń Lance'a, uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej także uśmiechem.

— Odtąd będzie tak zawsze — pomyślała, bezpieczna i szczęśliwa w jego obecności.

RS